

Barbara Kosmowska

Ukrainka

Dobrze, że nie wiozę wiolonczeli...

Iwanka ogarnia spojrzeniem sterty waliz i odczuwa ulgę. Jej instrument, szczęśliwie bezpieczny, został u matki. Nie dla niego droga na obczyznę. Wiedziona nagłą tęsknotą, próbuje znaleźć mu godne miejsce w przedziale. Truchleje na myśl, że leżałby teraz pod stosem cudzych bagaży.

Wieża Babel. Wszyscy mówią i jedzą. Między jednym a drugim nie ma przerwy. Szeleści słownik ukraińsko-polski otwarty na wielu stronach jednocześnie. Szepty, mlaskania, pośpiech, jakby za najbliższym zakrętem kończył się czas na te dwie ludzkie namiętności. Do kąta pod oknem, gdzie siedzi, dociera mdły zapach swojskiej kiełbasy. Zapachów jest więcej.

Iwanka przymyka oczy. Wyobraża sobie, jak wszystkie te intensywne wonie wnikają w wypłowiałe fotele, w smętne firanki, osiadają na jej skórze albo wędrują dalej, do płaszczy i kurt, opasłych jak pierzyny. Dopiero tam konają, uśmiercając pamięć zleżalej cebuli i bladych wędlin.

Przełyka głośno ślinę. Za głośno.

– Głodna?

Kobieta jest niemłoda albo aż tak spracowana. Pewnie jedno i drugie. Żuje pajdę chleba. Nie zważa na okruszki opadające w szeroką spódnicę.

– Jakże niegłodna! Kanapkę dam. – Szeleści papierami i folią. Ma smutny uśmiech i sprytne oczy.

Iwanka zaprzecza ruchem głowy.

Trzeba szybko uciec w głąb rozpostartej gazety. Schować się, bo pytań będzie więcej. Zaczną się plenić jak chwasty.

Kobieta wzrusza ramionami.

– Ot, jaki bodiak! – mruczy gniewnie, trochę obrażona na młodość. Oszczędną w słowach i gestach. Osobną. Jakby ta dziewczyna w dzinsach i zielonej bluzce myślała, że inna jest. Że w innym jedzie kierunku. W innym celu. A przecież wszyscy w tym przedziale, w tym pociągu, na tych peronach pełnych strachu o zawartość brudnych pakunków jadą po to samo. Zawsze po to samo. Tylko powroty owiane tajemnicą. Powroty mogą być różne. Albo może ich nie być.

Ona, stara handlara, potrafi przejrzeć te młode, z ładnymi paznokciami i małą walizką. Wyczytać z dłoni ich i bagaży, na co liczą. Przepowiedzieć, co dostaną. A bardziej jeszcze, czego nie. Choć niejedno zniosą, niejedno wypłaczą w ponury świt w obcym mieszkaniu. Na wiele się zgodzą, czego jeszcze nie wiedzą, kiedy tam jadą. Bo jadą pociągiem, a wrócą złudzeniem. Jadą jak królowny na bal. A wrócą z cierpieniem i zgryzotą. Z tym cieniem w oczach i na pobladłych policzkach, co najbardziej kobietę postarza. Spod każdej pomady wylezie.

Zdarzy się, że zostaną. Na obcą całuszkę połakomią się, a wtedy wiadomo! Czart duszę wyjmie, a pan skórę zdejmie. Wreszcie nikt nie zauważy, gdzie są. Same one nie będą wiedziały...

Teraz, gdy patrzy na tę młodziaszkę, co ucieka od prawdziwego życia w pismo kolorowe, bajek pełne, chciałaby jej, tak od serca, zdobytą na bazarkach wiedzę ofiarować. A już w szczególności wyjaśnić, jak kończą się podróże z małą walizką.

No, dawaj rączkę miłą, córeńka, rzekłaby jej. Ja, stara, powrózę. Przepowiem ci pracę u dobrego gospodarza i noc gorącą, letnią. Taką duszną, że tobie i oddychać odechce się. A jak jeszcze w oczy ci spojrzę, do ich dna dowiercę się łzawym swym okiem, to może i księżę jakiś znajdzie się dla ciebie. Prawdziwie królewski syn. Jak nie u Polaków, to u nas. Jak nie w mieszkaniu z dywanem grubym i kotem tłustym, z tapetą w róże nabrzmiałe, to choćby i pod Lwowem. Z małym metrażem, ale wynajęty na lat wiele, tyle że zdążysz ty, królowno z

włosem złotym, dzieci królewskie jemu w bólu urodzić. Matkę jego, królową, pochować. Niejedną w cerkiewnym chórze pieśń odśpiewać, zanim mieszkanie na mniejsze zamienisz. A i to nie troska. Bo wszystkim w końcu małe wystarcza. Z desek kilku na cztery strony świata zabitych. Taka równość pod ziemią panuje. Tyle samo żebrakowi, co i królowie.

I tak by jej wróżyła, lekko trzęsąc się nad rączką, której ciężka praca obca. I może nawet długą linię życia znalazłaby na niej. Bo z jakich to powodów żałować tej pięknej pannie dni cierniowych i nocy niespanych? Zimnych poranków i głuchych telefonów? Tęsknoty za matki kołaczykiem, co go, jako dziecina, wyjadała prosto z rozpalonej blachy...

Ale żeby przyszłość widzieć, terażniejszość potrzebna. Choćby jedno spojrzenie spod okna z zachętą przesłane. Do powróżenia rozmowa potrzebna. Grzeczność kolejowa od biletu tańsza, bez niej ani rusz. A tu ściana z papieru. Z głupstw i plotek postawiona. Pełna cudzych marzeń, podszeptów diabelskich. Żeby schudnąć, zmarszczki trucizną wygładzić, męża zostawić, duszę karierze zaprzedać. Barachło! Na okładce piękność jakaś, gołe u niej cycki. A sterczą, jakby tak już zawsze miało być. Posterczą i przestaną, wzdycha stara, patrząc na swój pokaźny brzuch. Jeszcze i granica nieprzejechana, jeszcze celnicy w drodze do upokorzeń, a ta młoda już ucieka w lepszy świat...

Drohobycz

Anna Matwijkenko nie wie, czy przez chwilę spała, czy tylko przeleżała wieczność z zamkniętymi oczami. Pierwsza rzecz, którą trzeba zrobić, to wejść do pokoju córki. Sprawdzić. Nie to, że oszalała. Taki dzień zawsze przychodzi. Najpierw córki opuszczają łona matek, potem ich mieszkania. Ale żeby kraj?

I to się oczywiście zdarza. Sprawdzić jednak trzeba. A nuż szafy wciąż pełne zapachu Iwanki. Nuty rozrzucone, bo ćwiczyła, nie złożyła. Zawsze taka roztrzępana. Może wszystko jak dawniej. Na swoim miejscu.

Głowa Anny Matwijkenko jest ciężka jak melitpolska dynia. O, to, to: zrobi dziś zupę z dyni. Dawno takiej z Iwanką nie jadły... Nie jadła.

Trzeba naoliwić drzwi, myśli, kiedy otwierają się przed nią skrzypliwie. Patrzy na pusty pokój, zdziwiona, że tylko co opuszczony, a już zapada w nieruchomość.

Właściwie skąd ten pomysł z zupą z dyni? – zastanawia się; drży z chłodu, choć nocna koszula z przyzwoitej flaneli. Nigdy za zupą z dyni nie przepadała. W przeciwieństwie do córki mogłaby wcale jej nie jeść.

Pociąg relacji Lwów–Warszawa

Iwanka nie patrzy na sąsiadkę. Patrzenie to pierwszy krok do wagonowej niewoli. Jedno grzeczne słowo, a już trzeszczy i pęka tama. Przybiera na sile potok cudzych opowieści i łatwo potem utonąć w ich nurcie. Ludzie mają wielką potrzebę mówienia o tym, co czyha, szczerzy zęby, łapie za gardło. Co zabija i uśmierca. W jaki sposób, którego z sąsiadów, czyją żonę. I bez tłumaczenia, dlaczego tak, a nie inaczej, dlaczego tę, a nie tamtą. Bez wyjaśniania winy i kary, choroby i kalectwa, wielkiej biedy i wygranej w Lotto Zabawa. To są kolejowe ballady, okrutne narracje. Wystarczy chwila nieuwagi, aby przejąć na siebie cierpienie bohatera, który jak nieznany żołnierz ma gdzieś w świecie zarośnięty niepamięcią grób, bo tak naprawdę nikogo nie obchodzi, kim był.

Nie to, co Mila Kunis, próbująca wyjść z okładki prosto w ramiona podróżnych. Wszystkich obchodzi, kim jest. Iwanka wbija oczy w photoshopowe spojrzenie aktorki i przez chwilę zastanawia się, czy są do siebie podobne. Mila też kiedyś wsiadła do swojego pociągu. Dziś jest u celu. Spełniona jak wielkie marzenie.

Sąsiad po lewej robi się niespokojny. Zmęczony mężczyzna, oczy ma pozbawione koloru. Wygląda, jakby całe życie stał w długiej kolejce i dał się pognieść niczym płócienna koszula. Ciężko wzdycha, szeleszcząc w dokumentach.

– Jeszcze czas – uspokaja go handlarka. Sięga po kolejną kanapkę i patrzy na nią z niechęcią. – Jeszcze czas – powtarza, zanim ziarna sezamu i słonecznika ruszą na podbój kolorowej spódnicy.

Spódnica w rajskie ptaki. Aż dziwne, że nie łowią fioletowymi dziobami okruchów chleba. Rozpierają się na kolanach staruszki albo wiszą głową w dół.

Jak z obrazów Marii Prymaczenko, myśli Iwanka.

Pamięta dzień otwarcia wystawy jej prac. Schronili się z Mykołą przed upałem w lwowskiej galerii. Oczom nie wierzyła! Przemierzała zachwyconym wzrokiem świat, w którym mogłaby zamieszkać. Oczywiście z Mykołą, jakże inaczej? To nie szkodzi, że on jeszcze tego nie rozumie. Że śmieje się, ot, prościwna pstrokata, mówi. Nie w smak mu te koronki, pisanki, ludowe wycinanki! – rymuje, pod boki się trzymając, trochę Iwance na złość.

Wystarczy, że ona ma dość wiary. I wyobraźnia podszeptuje przyszłość. Będzie radosna jak to malowanie! O, proszę! Na obrazie rolnik pocieszny – wypisz, wymaluj, Mykoła! Konikiem różowym rajski ugór przemierza. A Iwanka polem falującym nadchodzi. Żonka gniewna i krzykliwa. Usteczka czerwone, bazarowe na niej sukienki. I korale falujące od wezbranego gniewu. Strojna i zła, z jarmarku pewnie wraca. O sobie przypomnieć musi, bo i cóż to za raj bez krzykliwej żonki...

Iwanka śmieje się z pary barwnych prostaczków, a Mykołę razi ten jej głupi zachwyty.

Na szczęście już go dostrzegło stadko licealistek. Poznają, szepcą, szturchają się łokciami. Popatrują nieśmiało, aż podrywa je do lotu zbiorowa odwaga. I dalej, obsiadły idola papużki kolorowe. Już szczebiocą wesoło. Kartki nerwowo drą z zeszytów, o autograf proszą. Pochyliła się nad nimi Mykoła. Hojnie obdarowuje zawijasem. Wreszcie i on odnalazł swój raj.

Wracała kilkakrotnie do tej galerii, kiedy Mykoła wyjechał do Polski...

W przedziale poruszenie.

– Już i granica – szept handlarki przechodzi w lament. – Bagaż panienci żaden, to może tę moją torbę kraciastą na chwilę? Jedną sekundę potrzymać przy sobie, póki nie pójda... Nużda ciężka z bachorami, na utrzymaniu ich mam, po córce łajdaczce, co poszła z chałupy gdzieniewiadomododziś, bajstruki zostawiła... I męża mam, mójbożechorego, choreńkiego...

A żyć jakoś musowo... Choć odechciało się, ale co robić, pańska wola, nasza dola, raz matka rodziła, raz umierać mamy...

Ręce w bagażach. Plądrują, przestawiają. A wokół rzeczy karalne, objęte nagłą amnezją właścicieli.

Krzątanina zamiera, kiedy wchodzi celnicy. Pluton egzekucyjny od metalowych guzików błyszczą. Może trzeba będzie na chwilę stracić życie, odejść od zmysłów. Walka o paczki, torebki i słowa toczy się poza Iwanką. Nic do ukrycia i oclenia, mówi jej ciało, wciśnięte w róg pod oknem. Przy nogach Iwanki torba w kratę. Kładzie na nią dłoń niczym właścicielka. Oczy celnika ironicznie błyszczą.

– A reszta gdzie? – Pochyla się nad Iwanką i ta bliskość staje się przykra.

Wskazuje małą walizkę, podaje bilet.

– Ta torba wasza? Czy raczej niczyja? – Celnik śmieje się pogardliwie.

– Moja... – Iwanka jeszcze nie wierzy, że dołączyła do umęczonych przemysłników.

– Wasza... – mruczy celnik.

Wychodząc, jeszcze raz przemierza wzrokiem Iwankę. Jak piękny widok, który chciałoby się zapamiętać.

– Aniołek ty prawdziwy! – Handlarka w uniesieniu przywiera do ramion Iwanki, a potem mocno wbija dłonie w rajskie ptaki. I Iwanka już wie, że nigdy nie sfruną z jej spódnicy do złotego gaju.

Za oknem dwie dziwnie znajome chałupki – Iwanka przeciera zaparowaną szybę – jakby deska po desce z drohobyckiego wzięte przedmięcia. Boją się rankiem chmurnym obudzić. Mignąć światłem na pustkowiu. Dym tylko w niebo rzucają, wesoły wykrzyknik.

W przedziale bezruch. Mężczyzna pod ścianą drzemie z rozsuniętymi wargami jak dziurawe dętki. Bez powietrza.

Ta ich Polska – Iwanka ogarnia spojrzeniem umęczonych podróżników – to tylko wielki wspólny grobowiec. Leżą w nim od dawna, wyzuci z godności i zdrowych paznokci. Przekonani, że wciąż żyją, od lat nerwowo śnią o celniku. Budzą się, strachem podszyci. I dalej śnią.

Iwanka przypuszcza, że są przynajmniej dwie Polski. Jedna Mykoły, druga matki.

O Polsce matki woli nie myśleć. Jest jak zakalec ze wspomnień i łez. Ma jakieś imię, którego nawet babcia Łesia nigdy nie wymówiła. Może Adam? Od Adama, od któregoś z jego żeber, wzięła się matczyzna apatia dla świata oraz obojętność, z jaką zawsze traktowała męża, Jegora Matwijkenę, kontrolera jakości.

Póki żył, matka patrzyła na niego z niedowierzaniem. Jakby zapominała co chwilę, że temu mężczyźnie przysięgała prasować koszule, dać dziecko i miłość bez terminu ważności. Zepsuta czy nie, zdatna do spożycia. Z miłością kłopot był wielki. Nawet jak Anna Matwijkenko dostrzegała męża, zauważała głównie jego szare swetry, łysinę i źle skrojone marynarki. W najlepszym razie klaser ze znaczkami. Jegor Matwijkenko, wypisz, wymaluj, był jednym z nich. Skromny znaczek pogięty zmarszczkami, włożony do wielkiego albumu podobnych mu kancer. Wystarczyło przejść się po drohobyckiej ulicy, rozejrzeć po cerkwi, aby otrzeć się o tę samą serię ludzkiej pospolitości.

Kiedy Jegor Matwijkenko zachorował, to już tylko istniał poprzez szlafrok i piżamy. Matka sztywniała, ilekroć próbował przekroczyć swój kaszel, wydobyć z chorej krtani jakąś spóźnioną prośbę. Dostrzegła go dopiero wtedy, gdy już odszedł wraz ze swą śmiertelną astmą. Bez narzucania się i oczekiwań. Zwyczajnie. Przestał oddychać i na tę czynność, a raczej na ten wyrafinowany brak czynności, wybrał odpowiednią, poobiednią porę. Została po nim nagła cisza bez solfeżowych charczeń, krztuszeń, i to ona stała się dla matki dźwiękiem nie do zniesienia.

Co innego Polska Mykoły! Dzieli się na dni i wieczory. Dni mają nabrzmiące od niewyspania powieki, ale na plecach wesoły napis: „Pizza hut na telefon. Dostawa gratis”.

Wyobraża sobie Mykołę ustrojonego w ten napis i wizerunek roześmianego pomidora. Zamiast gitary trzyma termalną torbę. Czeka w betonowych klatkach na zapłatę. Sterowany komórkową siecią, esemesem, ememesem, mejlem, apetytem, lenistwem klienta, pokonuje zgrabnie firmowym skuterem trudne etiudy ulic. Flażolety już tylko klaksonem albo dzwonkiem u drzwi. Jej Mykołka. Uczelniany Torres z szufladą pełną konkursowych dyplomów i zwycięstw. Ale szuflada we Lwowie, przy Ormiańskiej. Czasami otwierana przez jego matkę, Julię Oszurko, która te dyplomy rozkłada na stole jak pasjans i patrzy na nie długo łzawiącymi oczami.

Polskie wieczory już inne. Iwanka ma wrażenie, że dla Mykoły wieczory najważniejsze. Wypełnione koncertami w studenckich klubach, ciemnych od dymu i czarnej muzyki. To dla jazzu rzucił przyszłość. Być może z tej przyczyny Julia Oszurko, niegdyś sławna skrzypaczka, cierpi od dwóch lat na bezsenność. Całymi dniami stoi na balkonie w nocnej koszuli i wypatruje syna. Scena jak z Szekspira. Rozmawia wyłącznie z kotami i telewizyjną spikerką. Scena jak z domu wariatów.

Pustki koło Szczytowej

Wolska nie śpi. Nie zaśnie za Boga! Wstaje piąty raz i sprawdza, czy pieniądze w przegródce torebki, na swoim miejscu. Są. Podnosi walizkę, przymierza. Może i za ciężka, ale jak borówek nie zawieźć. Lepiej wcale nie jechać, jeśli bez słoików. Z niepokojem zerka w stronę gipsowej Najświętszej Panienki, pełna niepewności, jakie też ta święta osoba na jej nieobecność planowaną ma zapatrywania. Uspokojona bladą łagodnością gipsowej twarzy, znowu się kładzie, ręce spleta i patrzy w zabieleny krzywo sufit.

Żeby jeszcze złe myśli z głowy wyszły, ale to już wszy szybciej uciekną. Przewraca się Wolska z boku na bok. Bo jak Bronka wspomni, że bogaty, świat lepiej zna niż dyrektor banku w Szczytowej, to zaraz tę radość troska o wnuka przegania. Staś coś chory, niemrawy. No i Agata... Żony szczęśliwej to już by w serialu żadnym nie zagrała, choć taka ładna...

O Heńka tylko zahaczyć pamięcią, a już i tydzień można się wiercić pod kołdrą. Pewnie, że Pan Bóg wie, co robi, musi jej Heniek drogę krzyżową krokiem pijanym, bolesnym przemierzać. Tylko czy Heniek wie, co robi? O to się Zofia Wolska zamartwia i szybko próbuje o synu na chwilę zapomnieć. A znowuż Kazik... Ten w ojca swojego się wdał. Może tylko bardziej jeszcze kobieciarz, w uczuciach niestały...

Przy Kaziku Wolska nie wie, kogo właściwie winić: ojca czy syna. Wzdycha więc tylko bezradnie i dalej szuka jakiegoś ukojenia.

I nagle siada na łóżku, jakże szczęśliwa! Że też nie pomyślała. Przecież jedzie do Warszawy na krótko, króciuteńko! Z wizytą tylko! Zaraz wróci na Pustki i znowu będzie jak dawniej. Wszystko tu na nią poczeka. I wiatr hulający na poddaszu, i westfalka z bulgocącą grochówką. Koty niecnoty po sąsiedzku pojedzą. Za to jak ją zobaczą nadchodzącą z walizką, to jak psy ruszą na powitanie.

Teraz Wolska mogłaby nawet spokojnie się zdrzemnąć, taki ją błogi spokój wypełnił. I zrobiłaby to, z największą przyjemnością, gdyby nie strach, że pociąg bez niej odjedzie. Na wszelki wypadek bierze do rąk różaniec podróżny, tak tylko, żeby się świętemu Krzysztofowi trochę przypomnieć.

Pociąg relacji Lwów–Warszawa

W przedziale ruch. Ale już inny. Oswojony. Głaskanie bagaży, zapinanie toreb, powściągliwe usuwanie siebie z miejsc. Chowanie kanapek, gazet. I co tam jeszcze miałam? Szalik? Czapkę?

– Bo ostatnio to wszystko zostało. Nawet rękawiczki, mitenki. Najlepsze! Złotówkę policzysz, w uchu podłubiesz, a zdejmować nie trzeba! Prezent od wnusia Mychajłyka. Nie upilnowałam, na zmarnowanie poszły – skarżą się usta handlarki. Ale w oczach nie ma już żalu po stracie. Trzeba od nowa. Zająć miejsce w zgiełku. Najlepiej przy drzwiach. Tam niewidzialna linia startu, początek maratonu. Wyskakiwanie, przepychanie, bagaży wyrzucenie. Pociąg dostojnie zwalnia. Kolebie bokami i zgrzyta jak mechaniczna klacz. Potrząsa, jakby chciał zrzucić z siodła wszystkich niewygodnych jeźdźców. – Dalej już nie ze swoimi pojedziesz, aniołku złoty, córucho piękna, biedakom życzliwa... – Staruszka dopina napuszony płaszcz. – Dalej już sama. Z obcymi.

Mówi jeszcze o bogach i diabłach. Przestrzega, kreśli w zatęchłym powietrzu krzyż. Zostawia po sobie litanię życzeń. I trudno powiedzieć, czy wszystkie one dla Iwanki, czy to modły podrózne, handlowe targi ze świętymi od kupna i sprzedaży.

I nagle cisza.

Iwanka bierze głęboki oddech. To dobra chwila, aby pomyśleć o matce. Jeszcze szaro, więc pewnie teraz udaje, że śpi. Potem będzie udawała, że woła Iwankę na mleczną zupę. Bo trzeba jeść mleczną zupę. Dla zdrowia i cery. Nawet kiedy Iwanka mija granicę, mleczna zupa będzie dla niej stała i stygła. W ciasnej kuchni, w której dobrze czuje się tylko paproć zasłaniająca pół okna. W mieszkaniu, gdzie doniczkowe kwiaty zawsze były ważniejsze od mężczyzny. Na przedmieściach Drohobycza. Za dwie godziny matka przyniesie zakupy. Starannie je porozdziela. Mięso, ryby, warzywa. Trzy światy, które trzeba ratować przed zepsuciem. A w południe zobaczy siebie w korytarzowym lustrze. Nie żeby lubiła się przeglądać. Przeciwnie. To przykry obowiązek. Odnajdzie w lustrze osobę sobie samej nieprzyjazną. Zrobi więc wszystko, by wydobyć z niej odrobinę ciepła. Będzie długo otulała się jedwabnym szalem i upinała włosy pod czapką. A kiedy efekt zostanie osiągnięty, usta z nikłym śladem szminki złożą się w wąski uśmiech.

W szkole, gdzie ma jeszcze kilka godzin muzyki, znają tylko taką Annę Matwijkeno. Zakonspirowaną. Przebraną za samą siebie. Sztywną i zasadniczą Annę Matwijkeno. Nikogo to nie razi, choć płaszcz dawno opuścił waciane ramiona i wyszedł z mody.

Profesjonalizm matki sprawi, że na tych kilka lekcji śpiewu Iwanka znajdzie się poza jej pamięcią. Bo nikt tak precyzyjnie jak Anna Matwijkeno nie potrafi rozdzielić życia na prywatne i zawodowe, na święta rodzinne i państwowe, na dom i ulicę. Ale już popołudniem, kiedy po stromych schodach pierwsze uczennice wniosą do pokoju trumienne futerały skrzypiec, Iwanka też się uobecni, bo każda z tych ćwiczących żmudne gamy panien stanie się po trosze nią sprzed lat. I grająca stabilne arco malutka Ołena z cienkim jak mysi ogonek warkoczem, i poważna Larysa z grzywką opadającą w takt muzyki na czoło, i nawet niezbyt miła, ale utalentowana Maryna, której mocne pizzicato wygładza matczyne zmarszczki, a z jej twarzy przepędza na chwilę wyraz skrywanego niezadowolenia.

– Wolne?

Iwanka prostuje się jak uczennica przyłapaną na lenistwie. Rzuca z uśmiechem „dzień dobry”, karci się za akcent i usuwa do swego kąta. Niepotrzebnie tak nerwowo. Przedział świeci pustkami.

– Do Polski? Na długo?

Dziewczyna, która wsiadła, ma miłą twarz, ale jej pytania są wyprane z życzliwości. Przezroczyście.

– Na długo – pada nazbyt śpiewna odpowiedź, za którą Iwanka natychmiast się karci. Na lektoracie z polskiego była przecież najlepsza.

– Warszawa? Gdańsk?

– Warszawa.

– Jasne, tam najłatwiej o pracę. – Dziewczyna rozsiada się zamasyżuje. Nie będzie już o nic pytała. Egzamin z kolejowej grzeczności zaliczony. Wyciąga z przepastnej torby laptopa. Enterem kasuje Iwanke, jej małą walizkę i szczerzy uśmiech.

Wolska w popłochu przemierza wagon. Nieśmiało zagląda do przedziałów, zakłopotana. Bo to jakby ludziom bez pukania do sypialni wchodziła, a nie wypada, niegrzecznie...

Najchętniej postąpiłaby sobie tu, na korytarzu, ale przeszkadza chodzącym tam i z powrotem. Nie może się nadziwić, jak tych ludzi nosi, do baru, z baru, do ubikacji. Przed siebie, choć jakie to przed siebie, kiedy wszystkie wagony takie same... Ostatecznie decyduje się dołączyć do dwóch młodych kobiet. Jedna pochylona nad srebrnym pudełkiem bębni palcami. Jakby na kościelnych organach bezgłośnie grała.

Małeńkie te komputery, myśli i nadziwić się nie może, że w takiej szkatułce ludzie cały swój świat wożą. Przyjaźnie, miłości, banki, a nawet sklepy! Jak Broniek mówił jej, że sklepy też, to w głowę zachodziła, jak się towary pomieścić tam mogą, a żywność to już w ogóle!

Druga z panienek, dziecko jeszcze, takie to bezbronne, śpi.

Wolska przysiadła cicho, zaledwie głową na powitanie ruszając. Niepotrzebnie, bo nikt jej nie zauważa.

Wybiera miejsce naprzeciwko tej śpiącej. Od razu widać, że sen błogosławieństwo, że daleką drogę przejechała, taka umęczona, ciało skulone w rulonik pod tym oknem. Za to ładna. Wolska przymyka oczy. Nie ma wątpliwości. Zawsze marzyła o takiej córce. Wypisz, wymaluj, o takiej! Z buźką czystą, promienną. Jak się przyjrzeć, to widać, że Bóg palce w tym maczał, najlepsze wzory dopasował. Może zbyt wiotka, trochę jak drobny chłopiec, ale teraz moda taka, żeby biodrami nie wadzić, piersi w garści schować. Agata, choć już starsza, też przecież wieszak. Kobietę w niej poznać po spódnicy i szmince tylko... Pod tym względem Mariola, córka burmistrza ze Szczytowej, jakby dorodniejsza. Pełniejsza tu i tam. Zwłaszcza tam. Nie darmo ją często w lokalnej telewizji pokazują. Ale i tak wszystko od Stwórcy zależy, jak swoją duszkę do ziemskiego spaceru ubierze. Strojnie czy szpetnie... Od jego humoru w dniu stworzenia, a może również od innych okoliczności, o których Wolska nie wie.

Przygląda się śpiącej dziewczynie i nagle odkrywa, że szczęście prawdziwe jednak córki nie mieć. Bo cóż by taka pięknotka z nią na Pustkach robiła? Tam miejsca i pracy w sam raz dla jednej kobiety. Synowie to choć rodzą się do drogi, chałupę opuszczają. A córki bardziej domowe. Miałaby taka śliczna panna całe życie przepędzić na mordze nieuprawnej? Przez dzień boży na pijanych Halembów oknem wyglądać? Listonosza Czumy jak zbawienia wyczekiwać? Popłakiwać w krochmaloną poduszkę? Lepiej, że w podróż ruszyła. Może do swego szczęścia dojedzie, a nie, tak jak Wolska, zakorzeni się, wrośnie w ziemię, brudnych paznokci dostanie, grubej skóry na piętach. I dokąd to potem jechać? Z czym do świata się pchać?

Uspokojona swą macierzyńską zgodą na cudze szczęście, wyjmuje z torby ciasto i dbając, by go zbyt głośno nie przełykać, wkłada do ust małeńkie kawałki.

Warszawa

Agata z ulgą opuszcza sterylne łóżko. Boli ją wszystko, nie tylko nakłute mocną czerwienią usta i przyciemnione kąciaki oczu.

Kosmetyczka ma permanentny uśmiech i makijaż. Trudno powiedzieć, co jest bardziej sztuczne. Usłużnie podsuwa Agacie lustro.

Patrzy w nie bardziej z obowiązku niż z ciekawości.

– Podrożowało? – Wyciąga z portmonetki przygotowane pieniądze.

– Nie dla stałych klientek – zapewnia kosmetyczka. O mały włos nie palnęła „dla starych”, bo jej zdaniem twarz Agaty wymaga chirurgicznej interwencji. Na *cito*. Odprowadza ją do drzwi, ignorując obecność kilku banknotów, niedbale pozostawionych na szklanym blacie.

Dworzec Centralny powoli wybija się ponad mgłę. Zofia, matka Bruna, za trzy godziny będzie nieporadnie kręcić się po peronie i wypatrywać synowej. Kolorowy bąk w łowickie paski. Jedna z wielu wirujących kuleczek w bębnie życiowej maszyny losującej. Wrzucona tam na chybił trafił i tak zakrecona nową przestrzenią, że gdyby ją zapytać, czy jest Zofią Wolską, matką Bruna mieszkającego z rodziną w Warszawie, wcale nie byłaby tego pewna.

Bo do całkowitej pewności w jakiegokolwiek sprawie Zofia Wolska potrzebuje swojego miejsca, a konkretnie starej, podremontowanej chałupy, porzuconej przez jakiegoś jej przodka na wiejskich pustkach. Szczęśliwie dla Zofii to sypiące się dziedzictwo od lat walczy z trzema identycznymi o tytuł lokalnej ruiny. Całe Pustki pokrywają leśne wzgórza, z którego widać tylko inne leśne wzgórza. I w tym jednostajnym krajobrazie latami toczy się walka o wielkość garbu zmurszałych dachów. O krzywiznę kominów i pierwszeństwo w siatce tynkowych zmarszczek. Agata ma wrażenie, że jedynym zajęciem na Pustkach jest właśnie to ciche zapadanie się, bezszelestne wchodzenie w głąb ziemi, gdzie życie Zofii Wolskiej i jej sąsiadów mogłoby toczyć się dalej niczym niezakłócone. Wprawdzie bez widoków na leśne wzgórza i obumarły ogród, ale przecież tam nikogo już od dawna nie interesuje, co dzieje się za oknem.

Dla Wolskiej najważniejsza jest kuchnia i pokój gościnny. Z gipsową Najświętszą Panią w wyszczerbionej koronie. Z białą serwetą okrywającą pokracczny stół. Serwetę w szydełkowym zapale zrobiła matka Zofii, na szczęśliwe dla córki zrękowiny. Szczęśliwe nie były, za to płótno mocne. Męża Wolskiej przetrwało i wielu innych Pustkowych sąsiadów. No i sama matka Zofii z radością na serwetę patrzyła, nie wierząc, że to jej dzieło, po tym, jak felczer ze Szczytowej odjął jej dwa palce.

Drugi po Najświętszej Paniencie skarb, pudełko wysłane szarym aksamitem, przyniósł Wolskiej kiedyś listonosz Czuma ze Szczytowej. Na Zofię adresowane, ze zdjęciami i listami jakiegoś przodka. To się uśmieła! Przodek w dworku, na werandzie, bógwiegdzie, jakąś damę za dłoń trzyma, filizankę bieluchną ma w drugiej ręce... Gdzieżby to krewny! Królewicz raczej, dziedzic, co o takich jej mąż nieboszczyk opowiadał, że najbardziej lubili rasowe psy i nierasowe kobiety, dziewczki wiejskie z rumieńcem i cycate. Skoro jednak Czuma upierał się, że adres poprawny, więc zawartość należy się Wolskiej, ona też przestała ubolewać nad jakąś pocztową pomyłką. A z czasem o krewnym w obcym mundurze zaczęła myśleć jak o swoim bliskim. Kimś dobrze znanym, kto w każdej chwili może zapukać do drzwi, żeby odwiedzić powinowatą. Bo dlaczegóż nie? I Wolska, prawdę mówiąc, na tę wizytę czekała, martwiąc się tylko, w czym poda kuzynkowi herbatę, jak on do tych kruchych porcelan przywykł?

Kiedy Agata pierwszy raz stanęła na porośniętej trawą parceli, dom Bruna mógł uchodzić za malowniczy, nawet odrobinę romantyczny dzięki plamie przydomowej zieleni. W żaden jednak sposób nie pasował do jej męża. Dopiero tam, po kilku dniach spędzonych z przyszłą

teściową, zorientowała się, jak bardzo nie pasowali do siebie, Bruno i dom, stawiany szorstką ręką pradziada, pewnie i w dobrej wierze, ale nazbyt dawno, aby teraz dać temu wiarę.

Na to, dlaczego Bruno całym sobą stanowił zaprzeczenie przynależności do rodziny Wolskich, Zofia miała jedną odpowiedź – że on zawsze takie dziwo, nie do siekiery, nawet polan do pieca nie zniesie. I nie do jedzenia obfitego, dobrego, tylko marudzić przy stole, kaski tłuste na brzegu talerza porzucać... A kiedy go rodziła, to też inaczej niż z tamtymi, dużymi jak arbuzy dzieciakami, znaczy się z braćmi Bronka. Bo miała podczas tego rodzenia takie dziwne widzenie. Przecież w izbie porodowej w Szczytowej leżała, jak to rodząca, czyli normalnie. Obok niej dwie inne. I do dziś nie wie, skąd się tam wzięła Panienska Szczerozłota z izby gościnnej. W tej samej niebieskiej sukience przysłała, koroną szczerbatą zabręczała. Nachyliła się nad Zofią, ale jak przerażoną! Jezusmaria, jak! I powiedziała tylko, że król królem urodzić się musi. Tak szepnęła do ucha Zofii Wolskiej, która zawstydziała się strasznie wtedy. Bo przecież uszu umyć dokładnie nie zdążyła. Ani uszu, ani nóg przed tym rodzeniem w gminie. A tu sama Panienska u jej łóżka! Potem, jak Broniek rósł, siedząc tylko przy książkach, nosa nie wystawiając na ogród czy pole, to tak trochę ze strachem na niego popatrywała, czy aby jakiegoś proroka albo świętego nie wydała z siebie.

Ale nie, Bogu chwała, byłaby bieda, żeby jakieś boskie dziecko w jej chałupie dorastało. Książdz, sąsiedzi, nie daj Boże, telewizja!

Potem się wyjaśniło, że pewnie o liczenie szło Najświętszej Panience, bo nauczycielka Bronka powtarzała, jakoby on jakiś geniusz był w dodawaniu.

– I taki to się prorok w Szczytowej wziął, co dwa do dwóch dodać szybko potrafił! – kończyła swą opowieść Zofia Wolska, wycierając rogiem brudnej chusteczki cisnące się na policzki lzy rozbawienia.

Agaty te wyjaśnienia jednak nie zadowolily i rozpoczęła własne śledztwo, badając czujnym spojrzeniem każdy zakamarek przeszłości Bruna. Od wygodki skleconej z dziurawych desek po buki wieńczące wzgórze. Od rozkrzyczanego kurnika pełnego pierzastych strzępków po mulisty brzeg zarośniętego sitowiem stawu, a wszystko po to, żeby ustalić, skąd wzięła się ta dziwna wyniosłość jej męża. I zanim wrócili do Warszawy, Agata znalazła odpowiedź. Siła spojrzenia, którym ją zniewolił, wzięła się z mrocznego lasu porastającego wzgórze. Z szumu ponurych drzew, które tam, za oknami, przyzywały jakimś tęsknym rozkołysaniem. Tak dojmująco, że Agata nie mogła spać na dusznym piętorku. Leżała na sztywnych poszwach z rozrzuconymi nogami, nasłuchując, czy Bruno idzie wreszcie uwolnić ją od wezbranego pożądanía. Nie przyszedł. Strzeżony przez Zofię Wolską i Najświętszą Panienskę pochrapywał z lekko otwartymi ustami na krzywej wersalce. Pod kocem udającym panterę. Ale przez uchylone okno wszedł na piętorko las. Przytłoczył Agatę ciężkim pniem, wsunął konar dębowy pod jej łopocące serce, może nawet zrywając z niej jedwabne szorty. I leżała tak, ukrzyżowana gałęzią dębową, słuchając tkliwego szelestu liści, aż zasnęła mocno, odurzona zapachem jałowca i snującego się pośród drzew dymu polnych ognisk.

Agata nie miała żadnych wątpliwości. Jej przyszły mąż, zanim się przeniósł do Warszawy, okradł Pustki z tego, co najcenniejsze.

Przed Złotymi Tarasami zwolniła. Zanim Zofia Wolska wysiadzie ze swoim wielkim bagażem zakłopotania, Agata zdąży wypić poranną kawę. Cieszy ją i martwi przyjazd teściowej, ale z dwojga złego, z dwóch matek, z obu babć Stasia, zawsze wybierała Wolską.

Jej matka, gdyby to ona wysiadła na peronie, w świeżych ondulacjach i garsonce lilaróż, w butach walecznie zdobytych podczas rozlicznych wojaży, z torebką „w promocji, ale i tak droga jak cholera, tyle że normalnie to dwa razy drożej musiałabym dać”. Obrażona od pierwszego dzień dobry na Wars, złą pogodę i chamów w wagonie pierwszej klasy. Damulka „zawsze mam rację”. Gdyby jakimś nieszczęsnym cudem znowu zamieszkała z Agatą, w jej pięknym domu, byłoby tak, jakby w środek życia wtoczyła się pełna pretensji lokomotywa,

którą z radością odstawiła lata temu na boczny tor. Na szczęście znalazła sobie nowego maszynistę, młodego Tunezyjczyka. „Już ledwo sapie, już ledwo zipie, a jeszcze palacz węgiel w nią sypie”, pomyślała z obrzydzeniem, przyśpieszając.

Każde wspomnienie matki odbiera jej spokój. Choć tym razem wszystkiemu winna Ulana. I na byłą opiekunkę Stasia spada cały gniew Agaty.

Kiedy pracy szukała, pożał się Boże, nędza z biedą lepiej wyglądały! I tylko jak katarynka: „oj, przepraszam ja was, oj, dziękuję, oj, matko ty moja, jaka ja szczęśliwa z państwem! Ja Stasięnką zajmę się, że braciszkiem rodzonym nie lepiej, ja każdym kątem zajmę się, niedrogo wezmę, byle matce mojej, cierpiącej, parę groszy wysłać, oj, przepraszam ja was...”

Przepraszala, dziękowała i frrr, poleciała! Agata wykrzywia usta w wyrazie niesmaku. Tyle było załatwiania, konsultaty, telefony. I nagle walizka w korytarzu. Ulana z oczami w dół. „Oj, przepraszam ja was, ale wracać muszę, ślub brać z Denisem muszę. Za Stasięnką tęsknić będę, oj, dziękuję ja wam...”

W torbie od Laurenta brzęczy komórka. Agata uspokaja Igę, że za chwilę będzie. W duchu karci się za tę pokorę. Uległość wobec Igi ma wszelkie znamiona uzależnienia. Agata wyczuwa ten związek intuicyjnie, ale gdy chce go nazwać, nie potrafi. Może tylko czasami myśli o sobie jak o udomowionej suce, która trafiła na treserkę z charakterem. Ćwiczona nieustannie kijem i smakołykiem, jest za słaba, żeby zaprotestować. Do tego trzeba się urodzić brytanem, nie pokojowym pudlem, który zapomniał, jak się szczeka. Poddał się zabiegom pielęgnacyjnym i zgłupiał do reszty.

Zanim przebije się przez wahadłowe drzwi i ruszy w stronę ulubionej kawiarni, staje przy lustrze w pierwszym z brzegu butiku i z uwagą bada zmienioną twarz. Poza małą opuchlizną w okolicach ust jest całkiem przyzwoicie. W drodze do windy zahacza o Empik. Kupuje pismo z Milą Kunis na okładce. „Ukraińska Angelina robi karierę” – czyta, krzywiąc się lekko. Bo choć piękna aktorka w niczym nie przypomina gnuśnej i noszącej się na różowo Ulany, rośnie w pamięci Agaty okruczeństwo na tę niepoważną dziewczynę, co z dnia na dzień rzuca świętą pracę dla traktorzysty. Złość zatacza coraz większy krąg i zaczyna obejmować też zbliżającą się do Warszawy teściową, lekką opuchlizną nakłutych warg, i syna, najmniej tu winnego, trzeba przyznać, ale przecież nikt, nawet własne dziecko, nie ma prawa aż tak komplikować, tyle wymagać poświęceń, kurwa mać, bez przerwy coś! – kończy wewnętrzny monolog Agata i już znajduje uśmiech na powitanie Igi. Uśmiecha się jak Mila Kunis.

Śródmieście. Złote Tarasy...

Są tu zawsze świetnie obsługiwane. Wpasowane w przytulność nowoczesnej kawiarni, wyglądają jak fragment jej wyposażenia. A już nonszalancja, z jaką płacą za poranny lunch, często nietknięty, to maestria.

– Grzanek w cenie przyzwoitego obiadu zostawić jak jakiś pasztet – obrusza się ruda, wiewiórczo zwinna kelnerka. – Napakowane te baby niczym szwajcarski bank – burczy, odnosząc dania na zaplecze.

Agata patrzy na przyjaciółkę z wyraźnym niepokojem. Od jej komentarza zależy, jak będzie się czuła ze swoją nowszą twarzą.

– Zajebicie – ocenia Iga. – Mogła dać więcej czerwieni na górnej wardze – wyrokuje, ale nadto się zbliża do ust Agaty. Bada je wzrokiem znawcy drobnoustrojów, więc Agata nurkuje w przepastną torbę.

– Gdzieś miałam rozkład jazdy...

Śmieje się, że jeśli nie zdąży na pociąg z teściową, będzie ją odbierać w biurze rzeczy znalezionych.

Iga mruży miodowe oczy. Swojej nie odebrałaby ani z dworca, ani z biura. Kiedyś miała taką, co teraz smaży się w piekle, i Iga myśli o niej tylko wtedy, gdy jest w solarium o pięć minut za długo. A z tą Ulaną, czego tu żałować? Ukrainki są do wymiany, jak koronki u dentysty. Trzeba wziąć nową, najlepiej starą, bo taka przynajmniej pracę szanuje. Z młodymi na początku zawsze ładnie, pięknie, a po chwili wielkie damy z brudną piętą! Za połowę pensji nakupią malowideł od Chińczyka i już się do sprzątanania nie nadają. Dupy dawać polskim mężom to tak, sponsoring elegancki mieć, wakacje na Majorce, walizy pełne Benettona. Wreszcie ucapić jakiegoś z mieszkaniem. Napłodzić mu, nagotować pierogów czy innych kołdunów. To są, proszę ciebie, ich priorytety.

Igę podnieca własny monolog, ale grymas pogardy sprawia, że jej twarz w żaden sposób nie komponuje się z elegancką suknią. A na sukniach i grymasach Agata zna się wybornie.

– Zdecydowałam, że jednak otworzę butik. Przeglądałam szkice. Część z nich to gotowe projekty. – Głos Agaty nie brzmi pewnie, choć bardzo się o to stara.

– Te dawne? – domyśla się Iga.

– Na razie dawne. – Agata puszcza złośliwość mimo uszu. – Przecież od dwóch tygodni sama zajmuję się Stasiem. – Strofuje Igę spojrzeniem, grozi jej zielonym światłem tęczęwek, że jeśli tak mają rozmawiać, to lepiej wcale.

W każdym razie wszystko jest na dobrej drodze. I co ważne, te projekty sukienek, bo z garsonkami już gorzej, ale sukienki wciąż na topie! Choćby szafirowa, z kokardą z tyłu. Niemal identyczna jak nowe fasony Baczyńskiej. Również ta zielona z koronki, jeśli Iga pamięta.

Iga pamięta, bo od kilku lat wciąż ogląda te same projekty i regularnie przyjmuje zaproszenie na otwarcie butiku. Który to już raz Agata jest „na dobrej drodze”, tyle że droga zawsze prowadzi do kolejnej depresji. Za jakiś czas przeobrazą się ze stylistki w kupę nieszczęścia w utyłanym dresie. Wciśnięta w sofę, blada z niewyspania, przestanie na jakiś czas żyć nieskładnymi mrzonkami. I znowu zrozumie, że bez Igi, bez jej wsparcia tyle jest warta, co jej nieistniejące ciuchy i butik.

Teraz, kiedy z podnieceniem opowiada o pasiastych trykotach i wynajmuje agencję modelek, Iga z trudem powstrzymuje falę irytacji. Patrzy na Agatę jak na motyla przebitego śmiercionośną szpilką.

Jest bezbarwna, myśli. Jak powietrze. Niebrzydka, zgrabna, ale to mało.

Gdyby była choć trochę podobna do mnie... Westchnienie Igi brzmi jak pochwała kolejnych trykotów. Wie, że mówią o niej „picernica”. I co z tego, skoro rządzi? Na salonach nie pytają, kim jesteś. Tam wiadomo, że zawsze jest się kimś.

Iga kocha świat, w którym jest się kimś. Wyraz zadowolenia na jej twarzy Agata spisuje na konto swoich śmiałych planów. Szyje teraz głośno kolejną serię bielizny plażowej. Niech szyje.

W tym czasie Iga pieści wspomnieniem ostatnie sukcesy. Znowu się udało! Opłynęła Warszawę w czołówce brukowca. Na pierwszym zdjęciu stoi obok Wojewódzkiego. Trochę może nazbyt bokiem, ale i tak cud, że wepchnęła się przed te nachalne lansiary w tanich legginsach. Na drugim, niestety, bardziej widać Piroga. Szkoda, bo z powodzeniem mogli zmieścić się razem, gdyby nie cholerna torebka celebryty, która ją przysłoniła. W firmie natychmiast poruszenie. Esemesy z gratulacjami, jakby co najmniej w filmie z Szycem zagrała. A Maria, wielka przyjaciółka, nie mogła przełknąć. Niby tej torebki Piroga, że taka odjechana, mówiła. To po co w takim razie czepiała się Igi satynowej spódnicy i kozaczków z cholewkami. Że nie pasują. Prawda jest bardziej złożona. To nogi Marii nie pasują nawet do cholewek. Ale Iga ma klasę. Żadnej polemiki z zawistną suką. No i Marię ukarała. Nigdy się nie przyzna, że miał być Miecugow. Na tej fotce. Tylko właśnie w tych kurewskich kozaczkach z cholewkami wpadła w taki poślizg, że jej się albumu rodzinnego całkiem odechciało.

A ta ciągle o tych trykotach... Iga podziwia swoją cierpliwość, ale przecież jest chyba jakaś granica. Żadna przyjaźń nie wymaga aż takich poświęceń, aż, kurwa, tyłu...

Na przykład teraz. Wielkie skargi na kosmetyczkę. Kosmetyczka nie cudotwórca. Raz od pały pójść na tanią poprawkę i myśleć, że od tego spadnie dziesięć lat! Czasy żakinady i miss studentek bezpowrotnie minęły. Jak się jest babą, trzeba, do cholery, znać się właśnie na czasach. Zwłaszcza na czasie przeszłym. Powtórka z babskiej gramatyki bardzo by się Agacie przydała...

Z Agaty słabości Iga od lat czerpie siłę. Nic tak nie wzmacnia, jak porażki przyjaciółek. Pewnie, czasami żal głupiej, ale jeśli cierpi się na własną prośbę, to przepraszam bardzo, halo, nie mój problem... Cokolwiek by mówić, większość przyjaźni polega na świadkowaniu upadkom innych. A plany Agaty rodzą się tylko po to, żeby upaść. Lecą na łeb na szyję, jak akcje bankrutów na giełdzie albo niezborny Staś. Swoją drogą dziwne mają to dziecko – wciąż się potyka, coś wywala, oszaleć można z takim niezgułą. Mogła wyskrobać, bo więcej kłopotu niż szczęścia. I z wielu jeszcze innych powodów Agata nie powinna być sama. Potrzebuje kogoś, kto jej powie: „Kochana, wyjdź wreszcie z tej dupy, gdzie się przez swoją głupotę znalazłaś, wytrzymaj nos, głowa do góry, twoja seria z trykotem, jak ją wreszcie puścisz na rynek, w tydzień zrobi z ciebie polską Coco. Mówię ci, w tydzień, no, góra dwa!”

Czasami Ige zawodzi cierpliwość. Zwłaszcza jak dają o sobie znać źle dobrane hormony. I wtedy miałyby wielką ochotę tak dobitnie, ze spokojem powiedzieć tej dziewczynie-plastelinie, ulepionej na kruchą królową, co węszy zdrady męża, ale za tropem nie pójdzie, tak jej cicho, ale stanowczo doradzić: „A weźże ty wreszcie zamknij dziób i zobacz, ile masz lat! Dupę zwlec z tej kanapy i zrób coś, do cholery, z tym swoim zakręconym życiem! Zamiast się Bruna czepiać, baby mu liczyć, na siebie spójrz! Bo co taki Bruno, jak nawet kosmetyczkę masz do odstrzału, tak ci te brwi spieprzyła, a o ustach to już lepiej nie wspomnę. Nic, tylko kwef po domu nosić, w pas się kłaniać i każdego dnia dziękować, że jeszcze przy tobie siedzi”.

Agata zdążyła już zmienić wystrój butiku i mocuje w przyszłym sklepie automatyczne rolety. A Idze ten pomysł bardzo odpowiada. Zgadza się i z innymi zmianami, sugeruje jednak, że kolor wanilii bardziej zachęca klientów do zakupów. Musiała o tym gdzieś czytać... W każdym razie wanilia, kadzidełka – koniecznie. I na pewno wpadnie we wtorek, chyba że Agata będzie zbyt zajęta rozkręcaniem biznesu.

Gdyby krócej wyposażały nowy sklep w niezbędne akcesoria albo gdyby Agata włożyła buty na ciut niższym obcasie, nie musiałyby teraz straceńczo biec przez rzędy walizek. Skakać niemal na główkę z metalowej trampoliny ruchomych schodów w czeluść podziemnego dworca. I nie martwiłaby się o teściową, która już pewnie kurczowo trzyma za rękaw jakiegoś pasażera i tłumaczy nerwowo: „Ja tu się zgubiłam, zbłądziłam, nic złego nie zrobiłam, tylko bym chciała do domu! Na Pustki wrócić, do pociągu, co jedzie do Szczytowej, wsiąść! A tam już sobie poradzę. Przepraszam pana, ale sami obcy dookoła, to wie pan, starszej kobiecie strach...”

Na szczęście pośpieszny z Przemyśla dopiero się wynurza z tunelu. Wagon numer siedem zatrzymuje się przed Agatą.

Stała tak, aby widzieć wysiadających z obu stron. Lubi patrzeć na ludzi. Jej uwagę przyciąga młoda para, która nieskrępowanie łączy się zachłannym pocałunkiem. Trudno oderwać od nich wzrok. Dziewczyna jest tak ładna, że mogłaby z powodzeniem pokazywać na wybiegu serię Agaty bieliźnianych trykotów. Chłopca, odwróconego plecami, trudno ocenić. Ma na sobie skórzaną kurtkę, zgrabnie opinającą smukłą sylwetkę.

Kiedy ostatnio Bruno tak ją przytulał, całował? Może zbyt rzadko jeździła pociągami? Przy dalszych drzwiach rwetes. Jest i teściowa, Zofia Wolska próbuje już rozpaczliwie zawrzeć tymczasową znajomość, ale ludzie w Warszawie inni niż w Pustkach. Nikt nie chce jej słuchać ani tym bardziej pomóc. Stoi, biedaczka, tak przejęta, jakby peron był przedpiekłem, znikąd ratunku ni nadziei. Agata z mimowolnym uśmiechem odrywa się od wachlarzowych rozkładów jazdy i pewnym krokiem zmierza ku teściowej.

Kiedy wychodzą na górne piętro, wydaje się jej, że w małym barku znowu widzi tę blondyneczkę z warkoczem. Jej facet też niczego sobie, myśli, łapiąc przez szybę krótkie jak błysk fleszu spojrzenie młodego mężczyzny.

Żoliborz. Willa Bieluchów

– Krystianka nie ma. Leki mi kupuje. A wie pan, jakie to kolejki w aptece. Po krople poszedł, bo ja migreny mam okropne. Teraz, proszę pana, to w aptekach więcej ludzi niż w spożywczym... To proszę zadzwonić później. Za jakąś godzinę... Halo?...

– Mamo!

Błagalny głos syna sprawia, że Bieluchowa odkłada pośpiesznie słuchawkę.

– Jakieś chamy prostackie dzwonią do ciebie, synuś. Bez kultury osobistej! Jak to tak się rozłączyć podczas rozmowy? Kiedyś jednak ludzie inaczej, grzecznie. Proszę bardzo, dziękuję bardzo...

– Prosiłem mamę, żeby krótko, jeśli ktoś do mnie, a nie opowieść cała, co mamę boli, a co nie! – W głosie Krystiana drga tłumione rozżalenie, ale na widok strapionego wzroku matki syn rezygnuje z dalszych pretensji. – Twoje lekarstwa.

Matka chwyta apteczną torebkę z zachłannością zgłodniałego zwierzątka.

– Klonazepam dostałeś, synuś? – pyta jeszcze, myszkując niecierpliwie w szeleszczącym worku. – Dostałeś – szepce z zachwytem. Mocniej przewiązuje paskiem wytarty szlafrok i drepcze do kuchni.

Krystian rusza za nią, zastanawiając się, ile to już miesięcy dzieli swoje życie na dwa etaty. Pomędzy dzieciinną matką a pacjentów, jakże do niej podobnych. Bo matka z każdym dniem coraz bardziej przypomina mu pozamykane w klatkach stworzenia. Wylęknione koty i psy, osowiałe papugi, smętne chomiki.

Teraz, łapczywie popijając jedną ze swoich tabletek, przygotowuje się do spokojnej podróży po oceanie niepamięci. Na chwilę zapomni o ojcu, którego nie ma, o synu, który otuli ją pledem w cętki, i o samej sobie. Nawet o swej kolekcji dumnie połyskujących kryształów, bardziej tu zadomowionej niż Krystian.

Kryształy. Właściwie, jak sięgnąć pamięcią, tylko one miały w willi przy Dygasińskiego swoje stałe miejsce. Przykute matki uwielbieniem do segmentu udającego gdański kredens, pyszniły się na jego półkach, widoczne z każdego kąta salonu.

Miejsca zajmowane w starej willi przez Krystiana zmieniały się wraz z jego wiekiem. Najpierw dzielił pokój z rodzicami, czego nie pamięta. Potem sąsiadował z nimi, oddzielony od ich intymności zbyt cienką ścianą. Wreszcie wyprowadził się na górkę i tam zamieszkał. W najmniejszym pomieszczeniu, którego zaletą była niewielka jaskółka skierowana na okna sypialni sąsiadów. Kilka razy zdarzyło mu się zobaczyć przez niewielką szybkę to i owo, ale zawstydzony, z poczuciem jakiejś nieprzyzwoitości, szybko wycofywał się w głąb swojej nory.

Podobnie jak Krystian emigrował i ojciec. Pierwszy raz – ze wspólnej sypialni do gabinetu. Nocował w nim, tłumacząc się komfortem cierpiącej na bezsenność i migreny żony. Gabinet ojca był pierwszym szczeblem chłopięcej eskalacji męskości. Pod nieobecność właściciela Krystian wciągał nosem zwietrzały zapach whisky, przyglądał się etykietom butelek niedbale pozostawionych pod biurkiem. Oglądał ze wstrętem ubywające z szuflady biurka prezerwatywy. A na końcu tej wycieczki po oficerskiej garsonierze zerkał w historię stron internetowych ojca. Robił to niechętnie, gdyż między witrynami auto-moto trafiał na strony, które wywoływały w nim poczucie wstydu. Ale nie to było najgorsze. Najgorsza była zdrada, jedyne słowo-hasło w wędrowaniu wirtualnymi ścieżkami ojca. Czuł się zdradzony przez człowieka, z którym niewiele rozmawiał, ale którego podziwiał, dbał o jego mundur pułkownika i starał się sprostać wszelkim oczekiwaniom.

Matka, jakby najmniej mobilna z całej trójki, także była w podróży. Niby wyłącznie tkwiła w salonie, leżąc przed wiecznie włączonym telewizorem, ale codziennie zapuszczała się coraz

bardziej w głąb swoich spraw. Trochę jak górnik zjeżdżający w martwą ziemię. Jakie to były sprawy, nikt w domu nie dochodził. Klonazepam brany od kilku lat przestawiał wszelkie drogowskazy i coraz trudniej było nadażyć za umykającą Ireną Bieluchową.

– A ty, synuś, już wróciłeś z pizzerii? Coś wcześniej dzisiaj... – Matka pogłaskała pulchnymi palcami dłoń Krystiana, próbującego okryć ją pledem.

– Już dawno nie pracuję w pizzerii, mammo.

– Rzeczywiście. To wszystko przez tabletkę. Całkiem mi miesza. Więc gdzie pracujesz?

– W zakładzie leczniczym. Dla zwierząt.

– Taki kochany jesteś z tymi stworzonkami, a my ci nigdy nie kupiliśmy nawet psa. Bo przyszcze, synuś, miałeś, trądzik okropny. I bałam się, że żony przez to nie znajdziesz. Ale koleżankę już jakąś masz? Nie wstydz się! Nikomu nie powiem.

Oczy matki zaszły mgiełką filuterności.

– Mam.

– A pocałowałaś już koleżankę? A może raczej ona ciebie? Bo teraz te dziewczyska do wszystkiego zdolne. W telewizji pokazują, jakie bezczelne i wyuzdane...

– Jeszcze jej nie pocałowałem. Pośpij, mammo.

– Okropnie wyuzdane. Ale to matek wina, widać też na dzieciach już im tak nie zależy, jak to rodzicom kiedyś. Dobrze, synuś, że ciebie mam. Z dziewczuchą tobym chyba rady nie dała... A jak się urodziłeś, to buźkę miałeś krew i miód. Mówiłam ci?

– Mówiłaś. – Krystian uśmiecha się, ale matka już tego nie dostrzega, bo właśnie z impetem i lekkim skrzypieniem sofy rusza w czeluść swojego nerwowego snu.

...Bielany

– U nas dworce jakieś... bardziej swojskie – szeptce Iwanka.

Uśmiech Mykoły sprawia, że przestaje ją razić to niczyje miejsce. Mocniej tylko ściska torebkę i włącza się w konwój pośpiechu jak zagubiona w bezkresnym oceanie korweta. Płynie przed siebie, cudem unikając zderzenia z falą spóźnialskich. Niesiona ruchomymi schodami, przywiera ciasno do ramienia Mykoły. Mykoła opuszcza niżej głowę, ale o samotnie balansującej korwecie nie ma pojęcia.

– Dobrze, że nie wzięłaś wiolonczeli – mówi tylko i milknie.

Przez moment Iwanka ma wrażenie, że ten przystojny szatyn, idący obok, wcale nie jest Mykołą z Lwowa. Wydaje się nie dość jej własny. Może przez tę nową kurtkę?

Pewnie przez nią – uspokaja się Iwanka. Zła, że od razu nie postawiła kurtki w stan oskarżenia. Obcej skóry pobłyskującej napami. Dla niej zapewne ją włożył. Dla niej tak wcześniej wstał, żeby ją tu odnaleźć, korwetę wyrzuconą na obcy brzeg.

Przyśpiesza, a gdy dogania Mykołę, znajduje wreszcie ten dawny zalotny wyraz twarzy. I Mykoła go widzi. I odpowiada ich tajnym szyfrem. Miłosnym spojrzeniem. Tęskniłem – mówią jego oczy. Pragnę cię – dodają jeszcze, zanim zajmą się poszukiwaniem wolnego stolika w dworcowym barze.

Wreszcie siadają. Mykoła trochę zawadiacko, jakby wykupił dożywotni karnet na miejsce przy oknie. Iwanka wstydliwie, zajmując tylko część krzesła. Tyle wystarczy. Nie jej rozpychać się po obcej przestrzeni, rozstawiać szeroko łokcie. Prosi o herbatę z cytryną. Ukrywa rozczarowanie, gdy staje przed nią plastikowy kubek. Tak bardzo chciała ogrzać dłonie przy solidnym kubku.

Jest zmęczona, ale musi się pozbyć nadbagażu wrażeń. Snuje więc pociągową balladę, nieskładną, postrzępioną. Z wątkiem przemytniczym i rajskimi ptakami. Opowieść ma być wesola. Układała sobie w głowie jej różne warianty, planowała momenty, w których będą śmiać się w głos, jak dawniej. A tu kłopot. Słowa nie chcą brzmieć radośnie. Nie przychodzą z pomocą. Tylko te ptaki z cudzej spódnicy trzepocą wciąż skrzydłami, zagłuszając myśli.

O matkach woli nie mówić. Ani o Julii Oszurko, która nie wpuściła Iwanki do mieszkania, ani o Annie Matwijkenko, milczącej od chwili, gdy Iwanka ściągnęła ze strychu zakurzoną walizkę.

Julia Oszurko śledziła ją potem, ukrywając twarz w okiennych pelargoniach. Anna Matwijkenko za wychodzącą na pociąg córką zatrzasnęła wejściowe drzwi, bez powodu przekręcając w nich klucz. I teraz trudno jest Iwance ocenić, ile jej pozostało pod drohobyckim adresem, a ile zdołało przekroczyć granicę. Ile Iwanki teraz pije wystygłą herbatę, a ile jej siedzi przy kuchennym stole obok matki, nad talerzem mlecznej zupy.

Mykoła odgaduje te obawy, choć nigdy, przenigdy by się do nich nie przyznała.

– Zobaczysz, wrócimy do domu – zapewnia, nachylając się nad Iwanki uchem. Chce jak najszybciej odzyskać jej ufne spojrzenie. – Najpierw mieszkanie kupić nam trzeba, a z czasem dom. Z ogródkiem będzie i z balkonem. I z pokojem do muzykowania – dodaje, wiedząc, jaki ten pokój dla niej ważny. – Tu my tylko w gościnie, na chwilę. Ale to dobre miejsce. Zaraz się na nas poznają, w marzeniach pomogą.

Mykoła pośpiesznie płaci. Czas powitania już się wypełnił. Wprawdzie szef wie o jego chwilowej nieobecności, ale tkwi jak drzazga w dupie przy swoim październowym biurku, odliczając każdą sekundę. A gdy skończy się jego kapryśna cierpliwość, bez litości pozbawi Mykołę okresu pizzowej próby i uniformu z roześmianym pomidorem.

Mówi o tym spokojnie, ale w myślach pędzi już do pracy. Wciąga Iwankę w poranny maraton. Jeszcze torba, tramwaj. Nie, taksówka. Pojadą jak państwo, środkiem miasta. Do

tymczasowej przechowalni ich miłości, do ciasnego pokoju w odrapanym bloku, gdzie trzeba mówić i żyć szeptem, bo cienka ściana wyznacza nieubłaganą granicę tymczasowej prywatności. Tuż za nią zaczyna się inne życie.

Iwanka wyczuwa pośpiech. W taksówce milczy, śledząc zmęczonymi oczami budzące się miasto. Już wie, że nigdy go dokładnie nie pozna, nie oswoi. Za duże, zbyt powikłane. Podobne do wielkiej krzyżówki, którą rozwiązuje się całą wieczność.

Mykoła próbuje ułatwić jej trudne zadanie.

– O, tam, na lewo, jest moja pizzeria – podpowiada. – A tu, nie tu, trochę dalej, jeszcze nie widać... O, tu!... Ten szary budynek to mój klub, gdzie gram.

W jego głosie niemal chłopięca radość. Iwanka przez moment ma wrażenie, że Mykoła uwierzył w swoje nowe własności. Jego pizzeria, jego klub... Jego szofer, któremu teraz wysypuje do dłoni garść naprędce wygrzebanych złotych.

Bieg do windy.

– Nie mogę się spóźnić.

W głosie Mykoły brzmi ton przeprosin. Ledwo słyszalny, ale na tonach Iwanka zna się wyśmienicie. Przytula ją jeszcze w progu, otwiera kuchenne drzwi.

– Tu czajnik, tam herbata, łazienka, zobacz, jaka przestronna. I wanna, duża, grubasy się zmieszczą, będziemy w niej mogli razem, już na spokojnie... Płyn nawet kupiłem, algi czy coś takiego... Zobaczysz, jak dobrze nam będzie w algach. A ten pokój nie nasz, Konrada – Mykoła przechodzi w szept. – Jest miły. Polubisz go – obiecuje, przyciągając ją do siebie. Ale na tym gościu kończy się naprędce budowana bliskość. Słowa Mykoły, rzucone w pośpiechu, krążą po ciemnym wnętrzu, dopóki nie rozproszy ich odgłos zamykanych drzwi.

Cieszy się, gdy zostaje sama. Za dużo emocji, za mało snu, aby poradzić sobie z nadciągającą falą tęsknoty. Rozgląda się nieporadnie wokół i nagle zaczyna rozumieć, że przytłaczają to miejsce, zbyt zimne i spartańskie, niemające nic wspólnego z Mykołą i ich miłością.

Kupię doniczkę z kwiatem, myśli sennie. Na prowizorycznym stoliku odkrywa fotografię, tę ich wspólną, zrobioną po jakimś przeglądzie muzyki poważnej. Mykoła zezuje, obejmując ją mocnym uściskiem. Wyglądała jak szczęście w ładnym opakowaniu. Iwanka uśmiecha się do zdjęcia. Będzie dobrze – uspokaja samą siebie i nagle odkrywa, że lawiruje między czasem przeszłym a przyszłym, omijając teraźniejszość wielkim łukiem.

Bo teraźniejszość to plac budowy. Na budowę wstęp wzbroniony – wyjaśnia sobie, układa staranne usprawiedliwienie. Póki co trzeba po tej budowie chodzić ostrożnie, rozglądać się, poznać wszystkie niebezpieczeństwa.

Śpi krótko i nerwowo. Przeszkadzają jej koty Julii Oszurko, ostrzące pazury o wiklinowy fotel. A także uczennice matki, zwłaszcza Olenka, gdyż niemiłosiernie fałszuje. Na szczęście pociąg, którym wspólnie jadą, kołysze ją przyjaźnie, można więc, przy odrobinie silnej woli, zapomnieć o kotach i Ołence.

Popołudnie nad Warszawą zaciągnięte deszczem. Z jego powodu świat wygląda jak zabieleny kartoflanka. Iwanka stawia przy oknie fotel, okrywa się pledem i próbuje oswoić nowy widok. Dominują w nim płaskie dachy okolicznych domów, ale pomiędzy ostrymi krawędziami budynków, na samym dole biegną krzywym ścięciem nitki ruchliwych ulic. Jedną z nich nadejdzie Mykoła. Dopiero wtedy odważy się poprosić go o kawę. W mieszkaniu od jakiegoś czasu poruszenie. Śmiech, głośniejsze rozmowy. Z kuchni dochodzi brzęk naczyń. Pewnie ten Konrad, którego ma polubić. Nie jest sam. Głos dziewczyny brzmi silniej, a raczej dosadniej.

Iwanka z westchnieniem opuszcza fotel i sięga po telefon. Wie, że matka nie zadzwoni, nie odpisze. Jej karcące milczenie ma gwarantowaną długą moc trwania. Na nic szukanie esemesa. Mimo to sprawdza listę telefonów nieodebranych. Kiedy napotyka numer matki, wzbiera w niej radość, która szybko ustępuje jednak rozczarowaniu. To dawna rozmowa.

Należąca do tamtego, drohobyckiego czasu. Jeden z tych nieodbytych dialogów stojących na straży ich uporządkowanego życia. Pewnie chodziło o drobne zakupy albo wysłanie listu. Może o zwrot książek do biblioteki lub nastawienie pralki na program dla delikatnych tkanin.

Matka zawsze miała przy sobie kartkę ze spisem codziennych obowiązków. Mnożyła je niczym przyjemności, bo ich wypełnianie zagłuszało jakieś zaprzeszłe tęsknoty. Wystarczyło jej się przyrzec, aby to zauważyć.

Iwanka odkryła jej tajemnicę któregoś popołudnia, patrząc, jak przygotowuje się do szkolnej akademii. Pomalowała starannie paznokcie, aby zaraz potem w akcie desperacji zetrzeć lakier w karminowy pył. Włożyła śmiałą sukienkę z dekoltem i po chwili zdarła ją z siebie, by zastąpić ponurą garsonką. W tej nierównej potyczce matka wyglądała jak wojowniczką zdobywającą władzę nad małym królestwem kobiecej próżności. I kiedy wyszła z walki zwycięsko, spinając włosy w niemodny kok, Iwanka była niemym świadkiem jej klęski. Patrzyła na sukienkę zwisającą smętnie z oparcia krzesła, a widziała odrzuconą kobiecość Anny Matwijkeno, niepotrzebną i wzgardzoną. Gwałconą przez mole przeszłości ku ucieście właścicielki.

Bo matka poddawała się jakiejś karze. Robiła z premedytacją wiele, żeby cierpieć. Ta jej potrzeba cierpienia pozostawała dla Iwanki zagadką. Czy w ten sposób pokutowała za dawny grzech, o którym czasami napomykała nieśmiało babcia Łesia? Czy mściła się na zaprzeszłych uczuciach, wciąż burzących jej poukładane królestwo pozornego szczęścia? Iwanka tylko kilka razy widziała matkę radosną, kokietującą lustro, idącą w płas z parasolką albo ćwiczącą w ciasnej łazience zalotny uśmiech. Dla kogo miał być przeznaczony? Przecież nie dla krztuszącego się wiecznie ojca...

O Annie Matwijkeno myślał też Mykoła, przemierzający teraz różnym krokiem zmierzch. Może dlatego, że ta milcząca, wyniosła kobieta kojarzyła mu się właśnie ze zmierzchem? Z mglistą chmurą, która zagarnia czyjeś marzenia i przenosi je na stronę nocy? Przekształca w groteskowy sen, który nie może skończyć się dobrze. Zrozumiał to, gdy przy okrągłym stole rozwijał przed Anną Matwijkeno swoje plany, niczym wytrawny handlarz materię z wzorem wielkiego szczęścia i dobrobytu. Pokazywał z zapałem, jaką piękną wykroi przyszłość. A Iwanka taka szczęśliwa. Cieszy ją dom, co go zbudują dla matek i dla kotów, a także pokój z wiolonczelą. Im bardziej córka szczęśliwa, tym większa noc zapadała w spojrzeniu Anny Matwijkeno. Gdy Iwanka już-już krząta się po nowych pokoikach, matka schodzi do piwnicy milczenia. I w jakimś momencie Mykoła nabrał pewności, że ta zimna kobieta nigdy nie spakuje swojej walizki. Nie zostawi tego czynszowego kąta z wszechobecną pleśnią i widokiem na podwórkowy śmietnik. I żeby tylko to! Anna Matwijkeno na jego oczach niszczyła piękną materię ich marzeń! Cięła kosym spojrzeniem na skrawki, aż opowieść Mykoły zmieniała się w bezużyteczne kawałki zmarnowanej baśni.

I choć Iwanka ze łzami w oczach walczyła o ciąg dalszy, o szczęście królowny i ocalenie pałacu, choć błagała o zgodę na pralkę z programem do suszenia bielizny i mały ogródek przydomowy z możliwością robienia grilla oraz sadzenia miniaturowych drzewek, Anna Matwijkeno żadnej z tych zgód nie wyraziła.

„Sprzątaczką u obcych zostaniesz” – powiedziała tylko. I skrzętnie ominęła Mykołę wzrokiem. Właśnie tak rozpoczęła i zakończyła rozmowę w drohobyckim mieszkaniu, niemal nie otwierając ust.

Mykoła wpada do windy, zatraskują się drzwi i znika napięta twarz Anny Matwijkeno. Zostawia ją na zimnie, lekko wydymając wargi. Sama zobaczysz! – myśli, przytrzymując torbę z pizzą. I się zdziwisz! – dodaje z satysfakcją, ale nie wie, czy te słowa kieruje do matki, czy do córki, wypatrującej go teraz zza cudzej firanki.

Iwanka przedłuża pocałunek, przytulając się mocniej niż trzeba. Jest radosna. Pizza na kolację i kąpiel w pianie. Małe przyjemności rodzą wielkie rozkosze. Do tej sztuczki potrzebny tylko Mykoła i czas. Nie szkodzi, że pizza ledwo ciepła, że gumowa i zdruciała.

Czy on pamięta, jakie spalone ziemniaki jedli na ostatnim biwaku? I te kiełbaski nieszczęsne, sam węgiel... A przecież zajadali się nimi, choć chrzęściły w zębach i smakowały jak czarny piasek. Czy zauważył, jak ładnie posprzątała? Początkowo wstydziła się wyjść z pokoju. Przecież nie zna ani tej Jolki, co ma kolczyki w brodzie, ani Konrada, który aż gwizdnął na jej widok. Ale mili oboje. Pytali, czy już pracuje, jak podróż minęła. Szczególnie ona, ta Jola, się o tę podróż dopytywała. Turystykę i hotelarstwo studiuje, ale Ukraina, mówi, to dla niej biała plama. Wiadomo, że o biedzie, głodzie, smrodzie słyszała, ale nigdy nie była...

Czy Mykoła nie uważa, że to jednak nieładnie? Skoro nie była, nie widziała, po co w ten sposób? Chciała się pewnie popisać przed tym swoim Konradem. A znowuż z niego dowcipniś. Zapytał, czy to prawda ze szkołą muzyczną, z wiolonczelą, więc przytaknęła. On jej na to, że trzeba zatem roboty w filharmonii szukać. „Wykształcenie zobowiązuje – powiedział – nie wypada artystki do mycia kibli odsyłać.” Kibli, więc, zdaje się, miał toalety na myśli... To żart, ale po co tak żartować? Jolka turystykę studiuje, a Białoruś z Ukrainą pomyliła. To dopiero śmieszne! I trzeba koniecznie kupić jakiś kwiatek. Najlepiej dracenę w doniczce. Albo inną palmę. Będzie sobie tu rosła, a potem wezmą ją do Lwowa. Do nowego domu. Na polską pamiątkę z podróży.

Mykoła od razu godzi się na kwiatek. Pizza mu nie smakuje. Wyjmuje z torby butelkę wina. Piją je z jednej szklanki. Ma gorzkawo-kwaśny smak, ale przecież, myśli Iwanka, większość początków jest taka, gorzka i kwaśna, trudna do przełknięcia. Trzeba wierzyć i ufać. Choćby toastom, jakie wznosi Mykoła. W każdym liczba mnoga. Za nas i za nasze. Jeśli ogłoszenia o pracy, których pełno w gazetach, jeszcze aktualne, Iwanka już od jutra może zacząć oszczędzanie na oczko wodne albo mikrofalę.

To ona decyduje, że lepiej na oczko i ekspres. Jak się ma ekspres, cały dom pachnie kawą. Aromatem leniwego południa. A wino wcale nie takie gorzkie. Rozlewa się po Iwance ciepłem i przytulnością. Nawet ponura klitka z odrapaną szafą staje się powoli zupełnie przyzwoitym pokojem. Gdyby jeszcze zadzwoniła matka, ot tak, tylko zapytać, czy Iwanka szczęśliwie dotarła i jaka tam w Polsce pogoda. Ale może dobrze, że nie dzwoni? Na dworze zimnica. Przez nieszczelne okna wdziera się ziąb i najlepiej siedzieć pod kocem. Musiałaby matce o tym powiedzieć.

Zmartwiłaby ją tylko. Chwała Bogu, telefon milczy. Iwanka wznosi toast. Za miłość. Nie po to przejechała tyle kilometrów, żeby wciąż mieszkać z matką. Mówi o tym Mykołce, który przywiera łakomie do jej ust. A potem delikatnie wyłuskuje ją z bluzki jak zieloną fasolkę. Myśl o matce opuszcza Iwankę razem z bielizną. Odrzuca ją brutalnie, uświadamiając sobie, że gdyby teraz odezwała się komórka, w chwili gdy piersi Iwanki, zielone fasolki, zaczynają kiełkować pragnieniem, byłby to ze strony Anny Matwijenko nieprzyzwoity żart. Kładzie ręce na biodrach Mykoły, korweta, która znalazła swój brzeg. Wszystko odpływa w kąt pokoju, lokując się między dryfującą butelką po winie a palmą w doniczce. Palmy wprawdzie jeszcze nie ma, dopiero wyrosnie na jednej z bezludnych wysp wśród obcych oceanów. A wanna też jak ocean. Tylko przyływ rozkoszy trwa niewyobrażalnie długo i brzeg trochę inny. Z zachlapanej, rdzawej terakoty, którą trzeba długo przecierać szmatą, żeby sąsiadom nie naciekło.

Nad ranem budzą Iwankę odgłosy z sąsiedniego pokoju. Na cienką ścianę napierają głośne oddechy i jęki. Z niedowierzaniem obserwuje mocno śpiącego Mykołę. Próbuje jak on zamknąć oczy i uciec w pancerz kołdry. Ale to na nic. Szybka i głośna miłość, irytująco rytmiczna i zbyt namacalna, trwa nieskrępowanie. Rozwija się strzępkami gardłowych etiud, aby przejść w nieznośny koncert urywanych dźwięków. Jolka, Konrad, Jolka, Jolka. Są tak banalne w swym unisono, że Iwanka odwraca głowę od rozedrganej ściany. Ale koncert trwa dalej, interwał szału, przewrót, pryma czysta. Jolka. Końcowy akcent, już tylko półtony, wibrujące na pięciolinii cudzej rozkoszy. Jolka, Konrad. Znikąd pomocy. Mykoła spogląda na nią z sennym półuśmiechem.

– Przyzwyczaisz się – obiecuje. – Co noc to samo, tylko Jolki są różne.

– Jak to różne? – dziwi się Iwanka i wzbiera w niej żal z powodu różnych Jolek, wirtuozek jednej nocy. Nie chce sąsiadować z czyjąś zbyt głośną miłością.

Za ścianą adapter cierpliwie odtwarza pożądlivość na coraz wolniejszych obrotach. Wreszcie zapada cisza. Przygnieciona bezwładnym ramieniem Mykoły Iwanka przytula się do jego boku. Tyle miesięcy marzyła o tej chwili, więc nie pozwoli się z niej ograbić. Mykoła wciąż pachnie płynem do kąpieli.

– Muszę rano do pracy – szepce, odwracając się na drugi bok. Pokój lekko się rozmywa, gdy oczy Iwanki próbują spod przymkniętych powiek przywitać szary świt zawieszony na oknie jak krzywa firana.

Żoliborz. Willa Wolskich

Zofia Wolska w Warszawie nie może spać. Zewsząd nadciągają prosto do jej łóżka sznury trąbiących samochodów. I nie chodzi nawet o to, że przejadą po jej głowie, wcisną się w pachnące prześcieradło. Nie dość, że je uwalają, to po Zofii Wolskiej zostanie niekształtna plama, i, mój Boże! któż to wypierze, tyle krwi! A wiadomo, krew spierać najtrudniej. Trzeba zimną wodą.

Bardziej jeszcze obawia się Zofia Wolska o ten piękny żyrandol, cały z małych krysztalków, które wygrywają święte melodie. Naprawdę! Gdy śpi przy otwartym oknie, słyszy z sufitu podniosłe *Ave Maria* i jeszcze tę ulubioną pieśń wielkanocną, którą, niestety, organista ze Szczytowej okropnie fałszuje. No to ten muzykujący żyrandol i mała szafka po dziadku Bruna, co ją sam zrobił z lipy, niezbyt ładna, przez co Zofia zachodziła w głowę, dlaczego w ogóle syn ją zabrał do stolicy, więc ta szafka też stoi na torze przeszkód dla wyścigów samochodowych, aut ryczących jak torturowane konie. I może to najbardziej niepokoi Zofię. Żalony płacz koni, a osobno także los żyrandola i szafki.

Pierwszej nocy przesunęła szafkę w inny róg pokoju, wykrzywiając leciuchno na skos, i ozdobiła małym świętym obrazkiem z Jerzym walczącym ze smokiem (wolałaby świętego Krzysztofa, ale akuratnie miała przy sobie tylko Jerzego). Jednak Agata swoje. Że ładniej będzie równo, pod oknem. I znów mebel stanął na starym miejscu, gdzie było, zdaniem Wolskiej, dla niego najbardziej niebezpiecznie. Na szczęście Jerzego ze smokiem synowa oszczędziła, a nawet obdarzyła go miłym uśmiechem.

Zamknęła oczy. Natychmiast otworzyło je nowe zmartwienie. Czy aby na pewno Halemby wyniosą jedzenie dla kotów, kurom posypią? A jak przypadł im teraz tydzień picia? Bo u Halembów same chłopy, to i nie ma kto ich dopilnować, przypomnieć, że tydzień picia już był, a nastaje zwyczajny. Ale koty oni lubią. Krzywdy zwierzętom nie robią, nakarmią, choćby na kacu, choćby sami zapomnieli co do gęby włożyć.

Uspokój ona, przywiera do białej poduszki. O resztę martwić się nie trzeba. Reszta nie potrzebuje cudzej ręki ani opieki. Najświętsza Panienska na kredensie w gościnnym i kuchennym stole, przy którym Zofia Wolska raz w tygodniu kładzie z namaszczeniem atlasowe pudełko i unosi wieczko do góry, będą na nią cierpliwie czekać. Świętości mają to do siebie, że spokojnie trwają w swoim blasku i nic ich nie uszczupla, nie zubaża. Oddech Wolskiej robi się nieco chrapliwy. Słyszy go, więc znów wybija się ze snu. A jeśli, broń Panie, obudzi Stasinka? Tym głośnym uderzaniem języka, plaskaniem w lewo i prawo jak smok jakiś? On tuż za cienką ścianą. I choć nazbyt jak na dziecko zmęczony, nazbyt grzeczny, rączusie, ząbki umyje i kładzie się do swojego łóżeczka, to już takie smocze ziajanie, co z niej, starej się wydobywa, może na całe życie Stasinkowi zostać w głowie, sny mu mącić.

Będzie więc siedziała Zofia Wolska w swojej najlepszej nocnej koszuli na kołdrze sztucznej, nie z pierza uszykowanej. Dłonie na silnych udach położy, ale do modlitwy cichutkiej jak tykanie zegara przygotowane. I mamrocząc prośby do świętego Jerzego, na adres wnuka je przekieruje. Żeby był ten syn jej syna bardziej za dziećmi. Żeby w dziecko się wdał, nie w swojego ojca, poważnego prezesa czy innego kierownika. Niechby sobie pokaprysił, nóżką potupał, zupy nie zjadł, szpinakiem popłuł, jak to chłopcy. A on ma w tych swoich oczach niebieskich taką mądrość dziwną, jak nasz Jan Paweł, w niczym Ojcu Świętemu nie uchybiając. I po cóż mu ona? Co w dalszym życiu robił będzie, jak teraz, zdaje się, wszystko wie?

Swe ostatnie modlitewne pytanie Wolska zawiesza na grającym żyrandolu i czuje, jak z sufitu spływa na nią wielka łaska. Nadchodzi spokojny sen.

Żoliborz. Willa Bieluchów

Pogoda nie sprzyja naprawie tarasu. Zwłaszcza że jeszcze często śnieży i taki zimowy ten marzec. Ale sobota jest jedynym dniem, kiedy można postukać młotkiem, wymienić kilka nadwątlonych desek.

Krystian podnosi głowę do słońca. Wprawdzie nie odnajduje nawet śladu pierwszych promieni, ale w grubym swetrze na uparte go można już pomarzyć o wiośnie. Musi zdążyć z tymi porządkami do pierwszych ciepłych dni. Mama będzie szczęśliwa, siedząc tu i patrząc na ulicę.

Z radością usuwa ślady zimy, ale byłoby znacznie przyjemniej pomajsterkować z ojcem, który nigdy tego nie lubił.

Nawet gdy mieszkali razem, rzadko poświęcał się pracom domowym. Za to czas, kiedy wspólnie kręcili się po posesji, Krystian wspomina najcieplej. Zdarzały się chwile, kiedy ojca rozkazy brzmiały jak zwykła prośba rodzica. Reagował na nie z żywiołową gotowością, a ojciec nagradzał jego entuzjazm natychmiastowym wcielaniem syna do armii.

Jedną z najbardziej mrocznych tajemnic Krystiana było to, że nigdy nie zostanie żołnierzem. Cierpiał na myśl, że kiedyś trzeba to będzie ojcu wyznać. Tymczasem po kilku latach kapitan Bieluch przyjął jego słowa w postawie „spocznij” ze spokojem. I nie okazał specjalnego rozczarowania. Już wówczas pewnie wiedział, jaki to byłby z Krystiana żołnierz. Z rumieńcami wiecznego zawstydzenia. Zbyt delikatny, by wziąć do ręki broń. Zbyt płochy, by rozkazywać.

„Jeśli tego, synu, nie potrafisz, wojsko omijaj” – powiedział obojętnie, otrzepując kapitańskie szlify z nitek kurzu.

Dopiero niedawno stało się dla Krystiana sprawą oczywistą, że ojcu wcale nie zależało na żadnym z mieszkańców oficerek willi. Zależało mu wyłącznie na samej willi, odziedziczonej po ojcu oficerze, której jednak sprzedać nie mógł. Znajdował zawsze jakieś niewielkie pieniądze na potrzeby opuszczonego domu. Było ich jednak zbyt mało, by zachować blask jego dawnej świetności.

Krystian mocniej napał łomem na zbutwiałą część podłogi. Poddała się bez wielkiego sprzeciwu. Leżała przed nim spróchniała, uległa, gotowa opuścić plac boju.

Tak właśnie wyglądamy na rodzinnej fotografii, pomyślał, usuwając resztki zgniłego drewna.

Słońce przedarło się z trudem przez wilgoć południa i zawisło nad tarasowym dachem. Na posesji sąsiadów z naprzeciwka małe poruszenie. Krystian zmrużył oczy. Bez trudu wyłuskał sylwetki starszej pani i małego chłopca. Przepadał za tym niezdarnym brzdącem. Sprawdzał kieszenie kurtki i znalazłszy w jednej z nich małe metalowe autko, ruszył do parkanu.

Malec ze skupieniem oglądał prezent. Starsza pani dziękowała, wzywając imię dobrego Boga i błogosławiąc Krystiana tak, jakby co najmniej uzdrowił jej wnuka. A Krystian, broniąc się niezdarnie przed tą kwiecistą wdzięcznością, zastanawiał się jak zawsze, gdy spotykał Stasia, co go tak naprawdę łączy z tym dzieckiem. Jaka wspólna bolesna rana... I jak zawsze nie znalazł odpowiedzi na swoje pytanie.

Centrum. Klub jazzowy...

W klubie panuje taki ścisk, że gdyby nie starania Mykoły, Iwanka utknęłaby na cały wieczór wśród małolatów okupujących ściany. Przeraza ją dym i rozmowy szeleszczące jak ortalion. Przy stoliku muzyków przez chwilę jest w centrum uwagi. Padają pytania, ale nikt nie oczekuje od niej żadnych odpowiedzi.

– Ukrainka? Z Drohobycza? A to nie w Polsce ten Drohobycz? Schulz też stamtąd i Polak.

– Jesteś pewny, że Polak, a nie Żyd? A ty, Iwonka, ach, sorry, Iwanka... Żydóweczka? Ukrainka? Czy jedno i drugie?

Blondynka z tatuażem, niski alt, zdejmuje skan z twarzy Iwanki. Kawałek po kawałku.

Matowym głosem nawołuje, żeby dać Iwance spokój. Do klubu przyszła, nie na jakąś spowiedź cerkiewną.

– Gdyby ci się Mikołaj znudził, Iwonko-Iwanko, też mam niezły instrument. – Saksofonista dotyka jej szyi, która metalicznie sztywnieje.

Znudzona szatynka szuka w torebce papierosów i radzi Iwance, żeby wyluzowała, to wszystko żarty.

Zachłannie połyka pierwszy dym.

Na szczęście ci na scenie zaczynają. Saksofonista pięści niklowane klawisze. Iwanka nie jest pewna, czy to już tuba instrumentu, czy jeszcze jej szyja. Czuje przykry dreszcz. Tak samo jak gdy dotykał ją kiedyś sąsiad, Panas Chyriak. Wieszala na podwórzu pościel, żeby słońcem przeszła, zapachów nabrała, bo pod taką inne sny. Panas Chyriak zawsze widział z okna, kiedy Iwanka poluje na słońce, i skradał się za rozpostartym jak ukraiński sztandar prześcieradłem.

Z ciemnych kątów nadciągają oklaski. Coraz ich więcej, bo Mykoła wchodzi na scenę. I już ciśnie się do uszu, pcha do duszy, wdziera w zadymioną salę, butnie, głośno. Jak to on. Zanim zwiedzie słuchaczy na manowce, zanim dotrze do mrocznego wnętrza muzyki, będzie się naigrawał.

Och, jak dobrze Iwanka to zna! Ucieczki od głównego tematu i nagłe powroty. Karkołomne skoki i szczęśliwe zakończenia. A Mykoła, zuchwały cyrkowiec, lekko lawiruje pomiędzy oklaskami. Nie zatrzyma się, choć z widowni lecą w jego stronę cukierki braw. Najedz się, chłopaku, zasłużyłeś...

Z dźwięku na dźwięk rośnie liczba ofiar Mykoły szaleńca, który zwycięsko wychodzi z muzycznych wiry. W całym Lwowie tylko Mykoła tak potrafi, tylko on – Iwanka nabrzmiewa dumą. Podnosi głowę, bierze na siebie część aplauzu należną za miłość, wierność i że nie opuści go aż do śmierci...

Lubi ten podrygujący tłum. Mężczyzn z przyklejonymi do ust papierosami, kobiety wyglądające pięknie i ponuro, choć przed chwilą były kolorowymi studentkami albo kręciły się na wrotkach po hipermarkecie, rozwożąc żółty ser do degustacji. I te uczennice, pewnie na nocnych wagarach, mocno umalowane, a przecież dzieci jeszcze! Ledwo jedna z drugą pierwszy biustonosz przymierzyły, a lgną do jazzu, w jego męskich objęciach gotowe tracić noce i dziewczęta.

Gdyby zamknąć oczy, to można uwierzyć, że ten przystojny gitarzysta w pomarańczowej koszulce, trochę politycznie pomarańczowej, a trochę ze względu na zielony kolor oczu, daje teraz koncert w klubie Dzyga. Tam, gdzie, aby wejść, trzeba precyzyjnie przeczekać przez szczelny mur stałych bywalców. Tłoczna fala wbija Iwankę najpierw w starą bramę przy Ormiańskiej. A potem przenosi do sali, gdzie Mykoła gra. I już można dzielić się nim z innymi. Proszę, pokosztujcie! To jest ciało jego, w pomarańczowej koszulce, i dusza jego, wygrywająca

wasze tęsknoty. A na mnie nie patrzcie. Ja tylko pilnuję ognia w kominku, w naszym domu pełnym kotów i matek...

Ale to nie Lwów, nie Ormiańska. Ktoś podsuwa Iwance piwo. Bardzo dziękuje, ale nie. Wstyd jej, taki ładny gest, a ona z uporem swoje, nie i nie.

O co chodzi? – pytają czyjeś oczy. Bez urazy, to taka polska gościnność, obyczaj klubowy, legitymacja członkowska. Nic więcej!

„Wypij, Iwanko”, zdaje się przemawiać ze sceny Mykoła mocnym akordem. „Bądź miła, na naszej obczyźnie, wśród nowych przyjaciół. Serdeczni oni dla ciebie, poznać się z tobą chcą”

Sięga więc po butelkę, mężnie przełyka gorycz.

A tu znowu sześciopak gościnności, już nie tylko polskiej, ale i unijnej, kosmicznej, w butelce zamkniętej jak międzynarodowy dzin. Zaraz on sobie z Iwanką poradzi, niech no tylko zliże tę białą pianę, sięgnie po następne szklanki-bratanki...

Słowa z ortalionu przestają szeleścić. Swojsko się robi, domowo. Tylko patrzeć, kiedy w drzwiach pojawi się Oksana z Maksymem. A może to właśnie ona siedzi przy barze? Te same zwichrzone włosy i apaszka, wieczna chłopczyca...

Jakiś blondyn pyta o Lwów, jak tam jest. Próbuje Iwankę na ten Lwów wyłowić, Lwowem ją uwieść.

– Jest jak i tu – odpowiada. Śmiało w oczy patrzy, złote włosy zagarnia.

Śmiałek chce wiedzieć wobec tego jak? W tym Lwowie.

– Pięknie – kwituje Iwanka, ale rękę nowego kolegi strząsa z ramienia. Szuka wzrokiem Mykoły. Do domu chce wracać.

– Nie pij więcej.

Mykoła trochę zły, że ważne rozmowy stolikowe milkną. Komplementy pod jego adresem do końca niewysłuchane.

Idą pierwszym świtem. Iwanka nuci temat ostatniego utworu.

– Słuchałaś...

Pochwała nie cieszy. Nadto boli ją głowa i stopa uwięziona w eleganckiej szpilce, bolą owiane dymem oczy. Poranek właśnie przechodzi jej koło nosa. Nie zobaczy, jak przedzierzgnie się w słoneczny dzień.

– Wolę w domu – mówi, przerywając w pół taktu. Mykoła marszczy czoło.

– Co wolisz w domu?

– Wszystko – odpowiada niepewnie Iwanka.

W pokoju za ścianą koncert. Jeszcze jedna improwizacja. Tym razem stękająca. Przewidywalna. Żadne tam arcydzieło. Iwanka zsuwa szpilki i zostawia Mykołę walczącego z pomarańczowym T-shirtem.

Kiedy wreszcie jest pod kołdrą, ona od dłuższego czasu myje w szklanej wannie szyję. Biją jej brawa, ilekroć podnosi do klubowych reflektorów zaniepokojoną twarz. Czy jeszcze widać? Ten ślad po zawstydzeniu? Po Panasie Chyriaku? Nie może sama sprawdzić, bo Jolka z Konradem próbują to przy niej robić, więc się wstydliwie odwraca. Brawa nie milkną. Wypada za nie podziękować. Kłania się leciutko, na co wchodzi matka. W garsonce z szarej elany. Patrzy na Iwankę z pretensją i każe jej natychmiast włożyć ciasne szpilki. „Nie wypada – mówi – na takim koncercie bez butów”. Iwanka szybko wsuwa bucik na obolałą piętę i nareszcie matka jest zadowolona.

Mykoła zasypia nerwowo. Otwiera i zamyka oczy. Trafia wzrokiem na szpilki w brązowym kolorze. Rozczuła się, gdy widzi poprzeczną kreskę na czole Iwanki. Owiany jej głębokim oddechem, odwraca się do ściany.

Powinna jakoś bardziej normalnie ubierać się do klubu. To nie filharmonia, myśli jeszcze, zanim usłyszy gromkie brawa kierowane już tylko do niego.

Bielany

Palma wygląda pięknie. Ma jaskrawozielone liście. Jest taka, jak sobie wymarzyła. Jaśnie pani wiosenna po trzykroć strojna. Trzeba ją tak ustawić, aby była widoczna z każdego kąta pokoju.

Iwanka kręci się z doniczką i podśpiewuje. Zrobiła zakupy. Dzisiaj nie będzie gumowej pizzy w piątym firmowym wydaniu. Dzisiaj prawdziwa uczta. Na obiad gałuszki z sosem śmietankowym. Takie jak u babci Łesi. Z dyniowymi pestkami. Ilekroć w Niemirowie Iwanka podwórko przecinała z głośnym płaczem, bo a to Danyłko rower zabrał, a to Ostapek schował jej wrotki, a to Ulanka podarła róg sukienki, gałuszki już się rumieniły w piecu. W każdej kulce siemioczki. „Jak twoje łyzy, Iwanko, co już wyschły” – pokazywała jej babcia skarby w cieście ukryte, zbierając w garść rozsypane, złote kosmyki wnuczki.

Więc teraz Iwanka łzawe pestki dyni starannie upycha w okrągłych kulkach. Według przasnej receptury babci Łesi, świętej od łez wysychania, grzechów odpuszczenia i cierpliwego znoszenia złych snów. I że jakoś to będzie, myśli pochylona nad ciastem, zaledwie trochę zdziwiona, że Jolkę zastępuje w kuchni pulchna blondynka.

– Wiolka jestem. – Uśmiecha się do Iwanki źle nałożoną szminką. – Kubki jakieś macie? Kawa by się przydała...

– Są tu, a tu talerze. Noże, widelce w szufladzie. Tam kawa, herbata... – Iwanka jak przewodnik po sklepie meblowym trzaska pilśniowymi drzwiczkami, prezentuje oblepione ceratą półki. Otwiera, zamyka. A wszystko z uśmiechem pani domu. Bo teraz ona tu najpierwsza gospodyni, życzliwa dziewczynom jednej nocy. Ona zlewu rdzewiejącego właścicielką, zatęchłego linoleum i blatów rozklejonych królową. Korona jej w jednej z szuflad, ze sztućców zębem czasu nadgryzionych. A królestwo, choć w rozkładzie, choć oblażące cukrem pudrem starego tynku, to czyściutkie przecież, dopieszczone. Iwanki ręką przetarte do bólu paździerzowych kości. Nawet sztuczny bluszcz, co musi pamiętać budowniczych królestwa, umyty i wypchniony, pnie się zieloną żmiją po chropawej ścianie.

– Twoja kawa. – Iwanka celuje wrzątkiem w najładniejszy kubek. Jedyny bez szczyrbu.

– Co za syf! – Wiolka rozgląda się po klitce z obrzydzeniem. – Że też ci się chce w takim burdelu gotować. – Patrzy rozlanym makijażem na blachę z gałuszkami. – Nie lepiej zamówić jakiegoś hamburgera? Poczekaj, coś dla ciebie mam – mówi, ujęta serdecznością Iwanki.

Wraca z kolorową kartką. „Pizza hut na telefon. Dostawa gratis” Ulotkę mocuje na lodówce.

– To dla ciebie – mówi, ale w taki sposób, jakby chciała ogłosić ważne przesłanie z wyżyn swej dobroci: „Życie kulinarne właśnie ci ratuję, czas twój dla Polski przeznaczony oszczędzam, miła dziewczyno”.

A kiedy pewnie unosi na salony parujący kubek, Iwanka sama już nie wie, komu należy się korona z wyszczerbionych sztućców. Kto tu pierwszą panią i właścicielką.

Czas oczekiwania na Mykołę wypełnia studiowaniem prasy. Czyta stopy ogłoszeń. Ołówek drży od nagłych wzruszeń, celując w atrakcyjne anonse. Wszędzie jej chcą. Młodej, ładnej, po studiach, z talentami, językami, niezamężnej, towarzyskiej, czas mającej na tej pracy wykonywanie cierpliwe! Za te zalety pensja wysoka. Nienormowany czas pracy. Salony takie a takie. A każdy z imieniem kobiecym, telefon, faks, „o zdjęcie prosimy”.

Więc pewnie spa albo fryzjer? Kosmetyczka, perfumeria? Iwanka przymyka oczy. Dobrze jej, do twarzy, w turkusowym fartuszkach by było. Czyściutko. Wokół kafelki w beżu, klientki, prawdziwe damy. Elegantki, którym Iwanka pomoże osiągnąć jeszcze większe zadowolenie. Tylko zaraz – frasuje się – jaka ze mnie kosmetyczka, fryzjerka? Jak ja zabieg z błota,

maseczkę z alg, paznokcie sztuczny wyczarują? A żeby grać im na wiolonczeli, pewnie nie zechcą, wyśmieją.

Wraca do ogłoszeń nerwowa, strapiona. Jeszcze raz czyta i odczuwa wielką ulgę.

– Wyraźnie tu piszą! – półgłosem sobie powtarza. – Studia, języki, czas wolny... A nie że do grzebienia, do łupieżu leczenia i masażu klepania! Może recepcjonistki pragną? – zastanawia się. Takiej czystej Iwanki w turkusowym fartuszku? Włosy w kitek, żeby, jak babcia Łesia mawiała, do oczu kruki nie lały. Telefon obok. „Tak, proszę pani, mamy wolne łóżka, maseczki, solaria, terminy i jacuzzi. Czekaemy, zapraszamy...” A nawet jeśli po tych kobietach zadbanych sprzątać będzie trzeba, cóż to z ręcznikami przebiec po lśniąącym holu, podłogę gładką jak marmur pałacowy mopem wypieścić, włosy cudze w kupkę zebrać i na szklanej szufelce przenieść delikatnie w miejsce odosobnienia. Wanny doszorować, żeby się klientki kłopotu nie nabawiły.

Na mapie sprawdzić trzeba, który salon najbliżej. Czy Agnes, Elizabeth. Czy Pięć Minut. A może Pod Dzwonem? Te z kobiecym imieniem bardziej się Iwance podobają. Przy każdym kreśli wielkie kółko.

Najchętniej odpisałaby Oksanie, że niepotrzebne te jej olabogi i wracaj. Wszystkie wykrzykniki i znaki zapytania z niepewności stawiane. Darmo granicę przemierzają, znajdując Iwankę w mieście szczęścia i dobrobytu.

Szybko odstukuje dobre wieści. Żepracyażzadużo! „Przyjeżdżaj, razem zawojujemy!” Iwanka stawia wykrzyknik.

I zaraz włącza się w jej głowie krótki filmik o przyjaźni. Jak chodzą z Oksaną nadwiślańskim bulwarem. Spacerują. Po dniu w swoich salonach spędzonych wolne popołudnie mają. Mogą nawet na Miodową, do cerkwi wpaść na krótkie z Panem Bogiem pogaduszki. Podziękować za pieniądze już odłożone w walizkowej skrytce. Iwanki na konto „dom”, Oksany na siostry operację, tej małej i psotnej Laryski, co się urodziła z krzywym kręgosłupem. Mała wieża w Pizie. I albo teraz polscy lekarze tę wieżę wyprostują w Zakopanem, w znanym na cały Lwów szpitalu, albo będzie ona do ukraińskiej ziemi chylić się i chylić, aż do niej dotrze w bólach i cierpieniu. Aż się z nią zrówna w swej cudacznej krzywiznie i nigdy już nie stanie prosto i mocno na własnych nogach.

Słońce by było piękne, majowe, Oksana taka wdzięczna, w oczach łza wiślana ze szczęścia. „Gdybym tu nie przyjechała – mówi – na twoje, Iwanko, zaproszenie, mogłabym małej tylko gorset kupić, garb jej maskujący, a nie ofiarować łopatki proste i szyję smukłą jak u baletnicy. Iwanka pęcznieje z dumy, bo Laryskę to już szczególnie sobie upodobała. Psotnicę wesołą”

I trwałby ten rozmarzony spacer, gdyby nie Mykoła. Ściąga z pleców kurtkę z roześmianym pomidorem i pyta, co się spaliło. Iwanka pędem do kuchni! Gałuszki ratować. Zła, bo miał zgadywać, co tu tak pięknie pachnie. Na szczęście nie wszystkie w sukienkach z węgla. Sos śmietanowy, proszę! Jak z najlepszej restauracji.

Sama dziękuje. Za gałuszkami jakoś nie przepada. Czeką niecierpliwie na stosowny moment, aby o pracy powiedzieć. Bo znalazła. Niejedną! Podsuwa Mykole ogłoszenia w kółka ujęte, w ołówkowe serca.

A on czyta i w śmiech. Kiedy wreszcie poważnie, cierpliwie jej tłumaczy, gdzie pracy szukała. Każdym słowem zamienia w pył gazetowe salony. Znikają pałace, zadbane damy, recepcja w spa zapada się pod ziemię. Płoną wanny i ręczniki.

Ta dewastacja z jakichś powodów boli Iwankę. Nie napisali, że agencja, burdel. Skąd mogła wiedzieć?

Płakać nie będzie. Mapa już niepotrzebna. I esemes do Oksany za szybko poleciał do Lwowa. Mykoła przytula ją mocno. Za tę naiwność, mówi, kocha ją najbardziej, bo taka ładnie naiwna, ufna jak dziecko.

Wyciąga z kieszeni błyszczak. Kupił w drodze powrotnej, drobiazg taki. I pracę też dla Iwanki znalazł, porozmawiają o tym później. A teraz niech tym błyszczakiem poprawi sobie humor. Zasłużyła.

Iwanka podchodzi do lustra, przeciąga mocnym różem po wargach.

Wyglądam jak Wioletka, myśli i tę refleksję dołącza do tworzonego na bieżąco archiwum wielkiego miasta, które zaczyna ją przerażać.

Śródmieście. Cybermax

W gabinecie Bruna całą wschodnią ścianę zajmują dyplomy. Rzędy połyskujących pod szkłem sukcesów. Nie chciał wieszać tych laurek. Nie różniły się specjalnie od uprawnień, jakie otrzymywał na wakacjach w ciepłych krajach. Choćby fakultatywna wycieczka śladem delfinów. Przesiedział cały rejs na jachtowym sedesie, kredowożółty niczym papier certyfikatu, który później otrzymał z angielskim napisem: „Mr Bruno Wolsky, wilk morski, specjalizacja: walenie”. Dokument, wyjmowany z biurka wyłącznie przy okazji męskich spotkań, budził przynajmniej wesołość. Te, które wisiały nad Bruną głową, zaledwie zażenowanie właściciela.

Pomysł wspólnika, potrafiącego sprzedać klientom wszystko, a zwłaszcza świetlaną przeszłość Bruna, był, jak większość jego decyzji, wynikiem kompleksów. Także koszmarny wystrój biura zdradzał niepokonowaną potrzebę nonszalanckiego prostactwa. Spośród zgromadzonych tu osiągnięć jedynie rodzinne zdjęcia stanowią dowód zwycięstwa klasyki nad szmirą. Z powodu fotki Agaty obejmującej Stasia stoczył zaciekły bój z Grzegorzem, który równie dobrze mógłby stać na czele jakiegoś społecznego ruchu z dobrem rodziny w naczelnym haśle. To właśnie najbardziej zdumiewało. Grzegorz, pozornie zimny i wyrafinowany biznesmen, nieprzejednany w transakcjach spryciarz, a nawet trochę spekulant, przeobrażał się w zdziwaczałego frajera na dźwięk telefonu od żony.

Bruna mdliło, gdy słyszał czule szeptane w słuchawkę „tak, mój krokodylku” Podczas ważnych narad potrafił ustalać z krokodylkiem listę gości na kinderbal któregoś ze swoich bachorów, a spotkanie przy drinku przeobrażał w męczącą pochwałę życia małżeńskiego. Dobrze, że fotki, dokumentujące jego prokreacyjne osiągnięcia, leżały w przepastnej szufladzie. Inna sprawa, że uwielbiał się nimi chwalić. Chętnie pokazywał kontrahentom zapasioną żonę w wianku miniaturowych Grzesiów. Bruno zżymał się w takich chwilach, ale uznał, że ten familijny akcent dobrze służy zimnym, handlowym relacjom.

Westchnął teraz, patrząc na uśmiechnięte twarze żony i syna. Dziś nie znalazłby w sobie przyzwolenia, aby mieć ich pod ręką.

Spojrzał na plik faktur. Łatwo wyobraził sobie stos pieniędzy, które oznaczały, ale już od dawna nie potrafił cieszyć się z rosnącego konta. Coraz częściej odnosił wrażenie, że stracił zdolność odczuwania radości. Niektórzy tracą wzrok, inni węch, on zaledwie poczucie szczęścia. I tak jest farciarzem.

Przechwycił gorące spojrzenie Marty, nowej asystentki, stawiającej tacę z poranną kawą. Na to spojrzenie pracował swym modulowanym głosem zaledwie tydzień. Dziś, widząc ją po raz pierwszy w śmiałej bluzce i minispódniczce, dałby głowę, że ma w swojej torebce kilka prezerwatyw, a w kalendarzu wolne popołudnie.

Śmiejąc się, trochę do niej, trochę z niej, sięgnął po filiżankę. Udał, że nie widzi białych plam rozlanego mleka, w które teraz wpatrywała się przerażona dziewczyna. Pochwalił jej miłą troskliwość, choć kawę pijał o zupełnie innej porze. Dowcipkując lekko o arktycznym niżu i niepojętej ciepłocie młodzieńczych ciał, osiągnął błyskawiczny efekt – ośmielona sekretarka w jednej chwili przeobraziła się w pewną siebie kocicę. I gdy już przeżyła się pod jego spojrzeniem, przewracając zalotnie oczami, uznał, że nadszedł moment, który lubił najbardziej. Najpierw schłodził jej kokieterię uwagą o źle przygotowanych umowach. Przypomniał, że rano pija herbatę, po czym zadał cios ostateczny, mówiąc, że nic tak nie plami honoru kobiety, jak atrament i rozlane mleko. Gdy wreszcie poprosił służbowym tonem, aby każdy telefon od żony traktowała priorytetowo, odnotował kolejną metamorfozę Marty. Poczul błogą satysfakcję, gdy pomniejszona do roli nieudolnej sekretarki rozpaczliwym gestem sięgnęła po tacę.

Opuszczała gabinet szefa z niedowierzaniem. Przecież zrobiła wszystko jak należy. Starannie odpowiedziała sobą na każdy wcześniej wysłany do niej sygnał. Co więc mogła przeoczyć? Co było nie tak? Może jednak jest zbyt blada, aby nosić białe bluzki? Pożałowała nagle, że nie włożyła tej bordowej, wprawdzie mniej seksownej, ale idealnie pasującej do cery. Westchnęła, wspominając jedną zaledwie miłą sytuację, gdy oczy szefa w krótkim ułamku sekundy rozdarły jedwab na jej małych piersiach. Przynajmniej odniosła takie wrażenie. Usiadła przy swoim biurku, zsuwając niewygodne szpilki. Niechętnie pomyślała o prezerwatywach, które bez konkretnego powodu wrzuciła rano do torebki. Dupek, pomyślała, masując obolałą stopę. Nawet nie wie, ile dzisiaj stracił...

– Nawet nie wiesz, ile dziś zyskałaś – szepnął Bruno w przestrzeń pustego gabinetu. Sięgnął po gazety; wertował je, nie zatrzymując się dłużej przy żadnym tekście. Wieloletnią grę z udziałem naiwnych sekretarek opracował do perfekcji. Doskonale wiedział, kiedy kolejna asystentka postawi przed nim kawę, ale w taki sposób, jakby na tacy podawała mu siebie. Gotową do konsumpcji, otwartą na każde biurowe szaleństwo. Zachłanną i niecierpliwą w zdobywaniu nowych kwalifikacji. Gdyby te ambitne picze wiedziały, jaki z niego wbrew pozorom przyzwoity mąż, oszczędziłyby na kosmetyczkach, fryzjerach i lateksowej bieliźnie. Na pensjonarskich złudzeniach i niepewności, która sprawia, że prędzej czy później każda z nich przestaje być dobrą asystentką i musi szukać nowej pracy.

Bruno, gdy kolejna ofiara jego manipulacji znika roztrzęsiona za drzwiami sekretariatu, zastanawia się, jakim prawem te głupie siksy zakładają, że ich szef nie ma zasad. Że będzie zdradzał żonę na biurowej sofie, ściągał gacie między biznesowym spotkaniem a wywiadem dla radia. Że pozwoli byle pindzie po zaocznej ekonomii upieprzyć spodnie od Huga albo spaprać jedwabną koszulę tanią szminką. Zresztą wystarcza mu Ilona. Ta nie bzyka się z szefem za cenę firmowego obiadu. Sama jest szefem i tak naprawdę nie wiadomo, kto kogo bzyka w tym dziwnym związku, trwającym już kilka miesięcy. Dlatego lepiej mieć pod ręką sprawdzone dziewczyny. Zdefiniowane kurwy. Zawsze miłe i niezawodne jak jego złota karta.

Otworzył gazetę na stronie z erotycznymi usługami, gdy odezwała się komórka. Uśmiechnął się. Znowu trafiła w punkt. Głos Agaty zabrzmiał obco. Lubił ten ton, wyzuty z wszelkiej bliskości. Poczł nawet lekkie podniecenie. Pewnie odebrała matkę z dworca. Bruno widzi jej przerażoną twarz, ciało nieruchomo wbite w fotel toyoty. Matka, spętana pasami, łyka aviomarin; nie ufa nikomu, przekonana, że nawet sygnalizacja świetlna jest przeciwko niej.

– Bądź wcześniej w domu – kończy krótką relację Agata, już swoim własnym głosem. Z dojrzewającą pretensją. Podniecenie mija. Bruno z ulgą odkłada telefon i ponownie odnajduje rubrykę „Towarzystwo”. Długo zastanawia się nad wyborem oferty na dzisiejsze popołudnie. Pod Dzwonem brzmi dobrze, ale nigdy tam nie był. Za to u Agnes bywał za często. Jaki to klub wychwalał ostatnio Adam, zachwycając się nową dostawą ze Wschodu? Pięć Minut! Bruno gratuluje sobie dobrej pamięci, rysując długopisem niezdarne serce wokół wybranego adresu. A potem długo i z zadowoleniem ogląda swe smukłe dłonie. Zbyt smukłe i czyste, aby móc je nazwać męskimi.

Przedmieście...

Może i zasobny, ale bez duszy – wzdycha Iwanka. Stoi przed wielkim, naziemnym bunkrem pełnym małych okien. Jeszcze raz zerka na kartkę z nazwą ulicy i numerem domu. Żałuje, że nie chcą jej zatrudnić ci po drugiej stronie. Właściciele wesołego bungalowu z prostym dachem i okiennicami, z kotem przyklepionym do parapetu. Są i dzieci, bo huśtawka w ogrodzie.

A przed nią droga przez gratów mękę. Omija walające się donice, skrzynie ziemią umorusane, gnijące badyle. Pokonuje las łysych krzaków. Biegnie szlakiem rzeczy unicestwionych, lekką ręką wyrzuconych na samozgnicie. Wreszcie ganek, dzwonek.

– Ty pewnie ruska, z ogłoszenia.

Wyrasta nad nią gospodyni.

– Nie taką mieli przysłać – obrusza się. Ubrania na niej wielkie i strojne jak monarsze szaty. Z niesmakiem patrzy na to chuchro ze Wschodu, co chciałoby jej usługiwać, nadskakiwać, dogadzać. – Silniejszej nie było? – mamrocze, prowadząc Iwanekę ciemnym korytarzem. – O mocną się starałam kobietę, co poradzi naszym potrzebom, a potrzeby duże, wszystko duże, ogród, dom...

Iwanka podąża za tymi słowami, wpada do przepastnej kuchni w sztucznych marmurach uwięzionej. Pełnej ozdób, puzder, jak sklep z pamiątkami.

– U was podobno wielka bieda, nie to co tu! – Z dumą ogarnia swe bogactwo zgromadzone na ścianach, poupychane w kątach.

Jak na lwowskim bazarku koło opery, myśli Iwanka.

Na próżno szuka niewidzialnych hafciarek, snujących barwne opowieści. Niemal słyszy radosne pokrzykiwania: „Do mnie, panienko, po serwetkę święconą, do mnie, do mnie, po kołymski kubek na szczęście. A u mnie korale jakie! Długie, strojne. I kolczyk akuratny do każdego ucha...”

– Obejrzała? To idziemy.

Bazar ustępuje muzealnym katakumbom oblepionym tanią tapetą. Ciągną się pokoje, schowki, lamusy upstrzone papierowym kwiatem.

...i nie wolno niczego zbić, zniszczyć – instruuje przewodniczka, otwierając kolejne drzwi. – Odkurzyć tylko, przetrzeć ścierką, najlepiej bez dotykania, a jak coś stłucze, grosza nie zarobi... Gabinet myśliwski, bo musi wiedzieć, że mąż, owszem, czasami z dżentelmenami postrzelał. A tu, w jadalni, bigosy stały, mięsa pachniały, choć ich w sklepach nie było. Dawne dobre czasy. Bogactwo po prostu. Mąż mój, inspektor sanitarny, już świętej pamięci, niestety. Teraz pan Andrzej gospodarza zastępuje. Bazar warzywny prowadzi, więc niech go słucha, życzenia wypełnia. W sypialni naszej pościel zmienia i odkurzy... A jak dom ogarnie, warzywa będzie na targ szykować, w pęczki wiązać i przemywać.

To dla niej, Iwanki, ta podniosła mowa, bez imienia i spojrzenia. Z czasowników pracowitych wyłącznie złożona.

– A tu pokój mojej Sylwuni. Ona tymczasowo w Ameryce. Dla turysty pojechała, została.

W pokoju Sylwuni wirują mole i czuć w powietrzu zatęchłe czasy.

– Też przewietrzyć, kurze zebrać, wiadomo.

Iwanka ukradkiem spogląda na swoje ręce. Jak będą wyglądały za tydzień, kiedy już uruchomi te wszystkie zgromadzone w nieładzie szczołki i szmaty? Szybko zamyka drzwi martwego pokoju. Z ulgą zostawia za sobą białą twarz Michaela Jacksona śmiejącego się ze ściany. W tym trupim świecie nieobecnej nastolatki król wciąż żyje, podziwiany przez leniwie pełzające po nim muchy. Ale poza muchami wszystko tu zastygło w zatęchłej agonii.

Dzień ma kolor brudnej podłogi. Zimne mozaiki już kolejną godzinę stawiają opór, a gdy wreszcie udaje się wydobyć z nich dawno utracony połysk, przeobrażają się w śliską skorupę.

Jakbym cerkiew szorowała, myśli Iwanka. Taką bez Boga i świec. Jakbym za grzech ciężki, zbrodniczy pokutowała tu na kolanach, w rękawicach gumowych, które już popękane.

Wyciera pot z czoła i przygląda się swym dłoniom. Jak z krzyża zdjęte – ocenia czerwone plamy przetartej skóry.

Kiedyś też takie były. Uśmiecha się do wspomnienia.

Tę górkę za cerkwią, tę w Niemirowie, z której zjeżdżała rowerem prosto nad brzeg jeziora, babcia nazywała Czarcim Garbem. „Ot – żartowała – diablisko pchało się pod sam ołtarz, to wszyscy święci w piach drania zamienili, a na Czarcim Garbie uważaj, Iwanko, bo to złośliwa góra, wciąż krzywdy ludzkiej złańniona”. Więc niby uważa, ale ciśnie pedały starego roweru ile sił. A za jej jasnym warkoczykiem, podrygującym na wybojach, pędzi Janek. Razem mają ponad trzydzieści lat, dwa obywatelstwa i dwie babki mieszkające po sąsiedzku. Kończą się wakacje, a miłość dopiero zaczyna, kiełkuje w ich spojrzeniach i pierwszych wstydlivych dotykach. Już nawet trochę się całowali w krzakach zrudziałego bzu. Już nawet wyszeptali sobie parę tajemnic. I coraz im trudniej doczekać zmroku, tej chwili zbudowanej z małych kłamstw i pretekstów, kiedy oboje wymykają się z chałup, aby przepaść na wieczorne godziny w chaszczach przydomowych ogrodów.

Jest ostatni, upalny dzień wakacji. Jutro trzeba wracać. Do wymagającej matki, testów maturalnych i sztywniejących od etiid palców. Trzeba wracać do przyszłości, wpisanej niezłomnym uporem w marzenia.

Stara się nie myśleć o matce. Pedałuje wesoło, gnana pierwszym skurczem rozkoszy. Za kilkanaście metrów przyjmie ich łaskawie zimna topiel. Już nawet widać brzeg. Powtórzą swoją ulubioną grę. Ona będzie uciekać, bryzgając przezroczystą wodą. On zanurkuje i nagle pojawi się tuż obok, obejmie ją mokrymi ramionami i znowu na chwilę zgaśnie słońce, a może nawet znieruchomieje cały świat. Przystaną pędzące chmury i odległe planety. Iwanka lekko hamuje. Rower zdaje się kpić z jej wysiłków. Naciska więc pedały, aż zgrzyta łańcuch, trzeszczą chybotliwe koła. A potem znika brzeg jeziora, bo zamiast niego ktoś postawił tu wielką karuzelę. W szalonym wirze kręci się niebo z ziemią, a Iwanka z niebem. Jest miło nie miło. Na szczęście Janek zimnymi rękami zatrzymuje rozpędzoną huśtawkę. Znowu ją dogonił, tylko się nie uśmiecha.

Iwanka leży na mchu, a jej krwawiące zadrapania Janek pokrywa liśćmi babki. Pachną zioła. I tak jej dobrze w tym zielonym szpitalu, z błękitnym sufitem nad głową. Z tym śniadym chłopcem, pochylonym nad nią troskliwie. Coś Iwankę boli, bardziej jednak smakuje i wabi. Iwanka podejmuje wyzwanie. Nie dbając o kojące liście, którymi opatulona dygoce na wilgotnym mchu, unosi się lekko, aby delikatnie objąć chłopięce biodra. Przyciąga je do siebie, zaprasza. Chce, aby tak już zostało, nawet gdy powraca ból, mocno wymieszany z radością i krwią. Już wie, że to będzie jej największa tajemnica. Tajemnica tajemnic. Matka jej wstydlivych wspomnień, ale, broń Boże, surowa. Wręcz przeciwnie! Łagodna, z krwistym rumieńcem dziewczęcego wstydu na zamyślonym czole. Nawet teraz, gdy leżą obok siebie z mocno splecionymi dłońmi, przesyleni słońcem, rozebrani z zawstydzeń, chciałyby jeszcze raz zamknąć oczy i poczuć w sobie pragnienie Janka.

Zdaje się, że właśnie wtedy po raz pierwszy i ostatni szepnął, że ją kocha. Po polsku, ale zrozumiała.

– Co taka rozmarzona? – Nad Iwanka wyrasta gospodyni. Jest zła. Na Iwanki niezdarstwo, na jej ślamazarną pielgrzymkę szlakiem burej terakoty. – Za marzenia nie płacę irytuje się nazbyt głośno. Dostrzega poranione dłonie i krzywi się na ich widok z niezadowolenia. – Niech to posmaruje jodyną i zapierdala, bo grosza nie dam...

– Zapierdalać... – Iwanka marszczy czoło, szukając w swoich zasobach odpowiedniego czasownika, ale go nie znajduje.

Kiedy kończy pracę, opuszcza rękawy bluzy, by ukryć spuchnięte dłonie przed gospodynią. Zawstydzają ją, tak mało przydatne, po raz pierwszy zbuntowane, niechętnie cudzym rozkazom.

– Pewnie nic tu po mnie – mówi Iwanka markotnie. Daremnie rozgląda się po przestronnej kuchni, szukając śladów swego poświęcenia.

– Jak na pierwszy raz, może być.

Brzęczą odliczane złotówki. Głos gospodyni jest szorstki, ale z jakąś miłą nutą łagodności. Może Iwanka do Sylwuni podobna? Wprawdzie turystycznie Nowy Jork przemierza, ale wiadomo, raz i drugi u Żyda sprzątnie, do opieki wynajmie się, psy obce popilnuje. Z czegoś trzeba żyć. A matka to zawsze matka. Cudzemu dziecku się pomoże, to i własne może kto w świecie amerykańskim oszczędzi. Widać, że choć chuchro, starała się, a znajdzie teraz lepszą, uczciwą i żeby czasu nie traciła na papierosy, telefony, kawę.

– Jutro pokoje na górze i warzywa – pada rozkaz. Ciemnym korytarzem nadciąga pan Andrzej, mąż na zastępstwie. Niski, cichy mężczyzna, trwożliwym głosem odpowiadający na Iwanki dzień dobry.

Potem, gdy już Iwanka z ukrytymi w kieszeni pieniędzmi będzie szła na przystanek osiedlową drogą, pan Andrzej zapyta konkubinę, czy aby na pewno jest pełnoletnia, ta od sprzątanía. Odpowiedzi raczej się nie doczeka, co najwyżej jakieś spojrzenie ironiczne rzuci gospodyni w jego stronę. A że tak naprawdę pana Andrzeja niewiele to obchodzi, zasiądzie sobie w fotelu dawnego gospodarza, popatrując raz na telewizor, raz na ścienną ucztę apostołów. Jedynych jego towarzyszy w wyludnionym salonie.

Metaliczna muzyka pierwszej zapłaty mile łechce ucho. Trzeba będzie kupić jakieś kalosze – Iwanka zatrzymuje wzrok na ubłoconych półbutach. Po chwili wtapia się w czekający tłum. Spod przymkniętych powiek bacznie obserwuje ludzi, szukając podobieństw do znajomych z ulic Drohobycza, z zakamarków Lwowa. Już kilkakrotnie widziała polską Oksanę, a raz to nawet o mały włos nie rzuciła się jednej z nich na szyję. Och, jaki byłoby wstyd... I Panasa Chyriaka zobaczyła. W dodatku w windzie, czyli, pomyślała z niechęcią, znowu zamieszkał w sąsiedztwie i pewnie dalej podgląda ją z jakiegoś okna. A następnego dnia musiała się zawstydzić, gdy Panas Niepanas zjeżdżał na dół z dwójką swoich dzieci, roześmiany tata przyjaciel, i poza grzecznym powitaniem zupełnie na Iwankę nie zwrócił uwagi.

Tym razem czeka ją podróż z obcymi. Może tylko ta blondynka z wydatnymi ustami, jeszcze wciąż omotana zimową peleryną, trochę podobna do Walentyny Pirenko, u której zdać teorię muzyki to jak koncert wiolonczelowy samemu napisać. Ale polska Walentyna nie patrzy na Iwankę surowo, by po chwili rozsunąć wargi w szerokim uśmiechu. Polska Walentyna tak po prawdzie wcale na Iwankę nie patrzy. Przypięta wzrokiem do tramwajowych szyn, nie potrzebuje towarzystwa, czego Iwanka trochę jej zazdrości. Sama nie miałaby nic przeciwko przystankowym pogaduszkom. O tylu sprawach mogłyby sobie powiedzieć, zanim leniwym zakolem wtoczy się na to pustkowie trzeszczący tramwaj. Ot, choćby kilka uwag o pogodzie. Że tu deszcze i zimno. Jak jesienią. A tam, u Iwanki, przed drohobyckim mieszkaniem już złocą się forsycje i można nimi będzie wyściełać koszyczki świąteczne z pisankami ręcznie malowanymi, co w cerkwi potem puszą się i o względy najpiękniejszych między sobą walczą. Ale pani być może pisankami nie interesuje się wcale, więc ten temat Iwanka kasuje krótkim przymknięciem powiek. Zręczniejsz byłoby porozmawiać na temat pierogów, a konkretnie ciasta. Bo mama Iwanki robi je po swojemu i babcia Łesia po swojemu, a już czy gotować, czy smażyć – oj, mogłyby tej kwestii spornej całą trasę poświęcić. Pałac Kultury minąć i nie zauważyć. Palmę egzotyczną skrzyżowanie zdobiącą przeoczyć. Kontrolera nie dostrzec i w ostatniej chwili nerwowo szukać biletu. Iwanka mocniej jeszcze zatapia spojrzenie w nieznaną i czuje, że jednak pierogi nie są właściwym daniem na jej kłopoty. W tym wypadku raczej miły uśmiech. Ale, choć

wykrzesany z trudem, nie trafia pod wskazany adres. Twarz kobiety zamknięta do odwołania. Remanent? Remont? Może generalne porządki?

Na myśl o porządkach aż się wzdraga. Dłonie wyglądają fatalnie, kolana opuchnięte, czerwone jak polne maki. Najbardziej spodni szkoda. Kupiła je okazjnie, za wiolonczelowe solówki. W letnie wieczory grywała w Sztuce dla kawiarnianych gości. Z uwagą jej słuchali, brawo bili, a po każdym występie odkładała hrywny na wymarzone dzinsy. Teraz już ich nie wygra ulubioną sonatą. Trzeba będzie godzinami w zimnej wodzie buraki, marchew szorować. „Do białości!” Uśmiecha się na wspomnienie instrukcji gospodyni.

Mykołka dzwoni, a telefon aż tańczy w jej zgrabiałej ręce.

Oczywiście, że rozmawiać może! Tyle się wydarzyło. I dobre, i gorsze wieści! W domu opowie, przy herbacie. Niech już jej zaparzy w kubku kołymskim, tylko bez cukru. Tak, właśnie wraca, czeka na tramwaj. Dobrze, kupi pieczywo. W małych delikatesach. I ciepłe pampuchy, wreszcie za swoje własne złotówki! Niewiele ich może zostanie, ale pomalutku, na niebo nie skoczysz, a w ziemi się nie zakopiesz... – zaśpiewuje ojczyźniano z wielkim ożywieniem.

– Ja ciebie też – kończy już wstydliwie, już szeptem, bo nagle dostrzegają ją wszyscy wokół. Patrzą z jakąś niechęcią, której przyczyny Iwanka nie pojmuje. Może za głośno mówiła? Może śmiać się nie należy publicznie? Naganne spojrzenia trwają sekundę, dwie, ale Iwanka czuje, że tu, pod szklaną wiatą przystanku, na zadupiu, z którego odjeżdża tylko siedemnastka, żąda się od niej jakichś wyjaśnień. Najpewniej natury politycznej. A może kierowane są do niej terytorialne roszczenia, jakimś paktem nieznanym określone, mające głęboką społeczną wagę. A ona, głupia, nie rozumie. Może oskarża się tu ją, Iwankę Matwijenko, o Katyń albo o las w Bykowni. O Smoleńsk i polskie bezrobocie. O akcent i Lwów, a nawet Wilno.

Markotnieje.

Myślą, że ja ruska. Ruska nie ruska, różnica to dla tłumu żadna. Nie swoja, więc i wynocha, u siebie sprzątać, własne kąty omiatać, tak o niej myślą.

Szuka biletu, żeby zająć czymś ręce. Już się nie rozgląda, nie chce nikogo pocieszać ani wymieniać uwag o pogodzie. Zresztą leje deszcz, a ona bez kaptura, bez parasolki. Chemiczne plamy na dzinsach straszą rdzawymi smugami. Pierwsze oryginały, w prezencie od ojca, też ubabrała, myjąc żrącym świństwem jego niezgrabny pomnik.

W Drohobyczu pewnie słońce... Przymyka oczy na siąpiący deszcz. Pogoda w sam raz na cmentarz, żeby pójść, posprzątać po zimie. Matka nie znosi tam chodzić. Na szczęście ojcu raczej na jej odwiedzinach nie zależy. Za życia o nic nie zabiegał, to po śmierci tym bardziej.

Z tych wspomnień cmentarnych zbiera się jej na płacz. To byłby dopiero wstyd! A może nie? Przecież płacze się chyba w każdym języku tak samo. Na szczęście z bladej mgły wyłania się tramwaj.

Bielany

Torba z zakupami łąduje na stole. Co nieco z myślą o świętach, przecież lada dzień. Można powiedzieć, że Wielkanoc za własną pensję wyprawi, jak prawdziwa gospodyni... Mykoła skraca pocałunkiem jej pośpieszne wyjaśnienia. Dymi kubek kołymski z herbatą. Już Iwance nie żal poplamionych spodni. I dłonie jakby mniej bołą. Zaraz przecież przyzwyczają się do zimnej wody i detergentów. Po tygodniu będą wirtuozowsko przebierały we włoszczyźnie zwijanej w rosołowe pęczki. I zarobią więcej niż na wiolonczelowych solówkach. Jest szczęśliwa do chwili, gdy kładzie przed Mykołą resztę swojej pensji.

– Drogie te zakupy – martwi się, chowając dziesięć złotych do pudełka po czekoladkach. – Na zasłonki mało, a gdzie na mieszkanie? Na dom?...

Mykoła macha z lekceważeniem ręką. Trochę chępliwie mówi o prawdziwej zapłacie. Że teraz przemęczą się trochę, a potem prawdziwe pieniądze z koncertów będą, z tras objazdowych. Takie są Mykoły plany podróżnicze.

– Nie złotówki, a tysiączki odkładać będziemy...

– Z tras? – Iwanka czuje wzbierający niepokój. – A ja?

– Urządzimy to, pomyślimy... Nie dla mnie z pomidorem na plecach do starości biegać. Ja przecież muzyk, a jaki, sama wiesz. I oni już wiedzą, beze mnie grać nie chcą...

Jest wciąż zaniepokojona, ale rozczuła ją nagle dwudniowy zarost Mykoły i nowa, zupełnie nieznaną kreska na jego czole. Wszystko to dla niej. Zmęczenie w kącikach oczu. Noce nerwowe, niedospane. Goniłwa za złotówką.

– A twoją palemkę postawimy w muzycznym pokoju. Nie może być inaczej – mówi, obejmując ją mocno ramieniem. To wystarcza, by trudne pytania odłożyć na potem. Jedzą pączki, które dawno przestały być ciepłe, i nie przeszkadza im awantura za ścianą, solo piskliwego falsetu rozwścieczonej czymś Wiołki.

Żoliborz. Willa Bieluchów...

– Siadaj tu, synuś, bliżej, bo nie widzę. I wyżej brodę podnieś, o tak!

Bieluchowa błyska szklami okularów, a Krystian ma wrażenie, że matki oczy w tych szklach ślizgają się i bujają po wyboistej cerze jego twarzy.

– Niedobrze, źle – szepce rozgoryczona. – A prosiłam cię tyle razy, Krystianku, żebyś o kuracji moczem pamiętał. Niemki od zawsze tak robią. Trochę na wacik rano nasiusiać i buzię przetrzeć. Bo co jak co, ale cery to już one bardzo ładne mają, zadbane...

– Herbatę ci, mamu, zrobię. Zaraz muszę do pracy. Na jedenastą dziś mam. Jak będziesz głodna, to zjedz kanapki ze śniadania. Obiad będzie na trzecią. Dziś pani Trudzia przychodzi...

Matka pochmurnieje i odsuwa się od syna z jawną niechęcią. Krystian delikatnie kładzie dłoń na jej ramiona.

– Pani Trudzia jest miła. Pomaga nam. To inna sprzątaczką... – mówi możliwie najdelikatniej.

Matka natychmiast radośnie się prostuje.

– Klonazepam wzięłam, to teraz w głowie mi się kręci. Dobrze, że ona. Tylko żeby przez nasz telefon z córką nie rozmawiała godzinę. W Anglii ma córkę, więc mówiłam jej „drogo, proszę pani, ta pani tęsknota za dzieckiem mnie kosztuje”. Ludziom czasami trzeba prawdę w oczy. A jak ty myślisz, Krystianku, może ładna ta jej córka? Koleżankę byś miał. Zawsze sam, tylko starą matką zajęty. A to pewnie już buziaka ci się chce, co? Nie masz się czego wstydić, synuś. Czas taki przychodzi, że trzeba. Tylko z tymi pryszczami musimy porządek zrobić... A co byś powiedział na czyszczenie kryształów? Gdyby tak pod wieczór za nie się wziąć? Dla ciebie je zbieram. To nasz majątek. Duże bogactwo. Jakby te dziewczuszyska wiedziały, co ty tu za skarby masz, zaraz byś musiał zamek w drzwiach zmieniać. Takie to teraz te siksy bezczelne, od chłopaków gorsze...

Warszawa przyjmuje Krystiana mgłą, kłębiącą się nisko nad trawnikami. Nastawia kołnierz kurtki, choć chętniej by ją rozpiął, żeby poczuć świeżość świata, powietrze mające inny ciężar i zapach poza domem.

Droga do kliniki małych zwierząt prowadzi przez plac Wilsona. Za każdym razem, gdy go przecina, widzi przez ułamek sekundy psie ciało eksplodujące spod kół samochodu. Najgorsze, że z tego zapamiętanego obrazu nie spiera się krwista plama i wciąż słychać głuchy jęk zwierzęcia. Obcy pies, jakaś zwyczajna toyota, Bóg wie czyja. Tylko obraz w sposób niewytłumaczalny został na stałe przypisany Krystianowi. Musi go w sobie nosić pewnie już zawsze. Za każdym razem sprawdzać, czy krew choć odrobinę zjaśniała, a ból spokorniał, przestał szamotać się w Krystianie jak uwięziony szczeniak.

Dawne czasy. Krystian w paskudnych okularkach korygujących zeza. Wraca od kolegi z małym psiakiem za pazuchą. Tak ślicznym, że przechodnie zatrzymują się na ulicy, aby pogłaskać szorstkowłose futerko. Duma chłopca i psa jest taka sama. Obaj też są szczęśliwi. Tylko jeden z nich odrobinę mniej. Niewiele go dzieli od pełni radości, w zasadzie wyłącznie rodzice.

W domu radość topnieje dla jego, Krystiana dobra. Mama i tata wszystko robią dla jego dobra, więc i z tego powodu musi oddać zwierzątko. Zanieść je z powrotem na plac Wilsona.

Potem unikał tej drogi. Bał się, że zobaczy gdzieś swojego niedoszłego przyjaciela i powrócą koszmary. Ostry głos matki, wzniesiony pod sufit dla jego dobra. Kilka sprawnie wymierzonych klapsów od ojca, po których szpetne okularki stłukły się na mak, a przecież one również były dla dobra Krystiana. Od tamtej chwili minęło kilkanaście lat. Z kolegą

dawno stracił kontakt. Ale gdy pewnego razu zobaczył starego psa turlającego się pod kołami rozjeżdżonej toyoty, był pewien, że to on. Tamten. Próbował go ratować, choć tym razem przechodnie nie przystawali. Nikt się nie zachwycił. Pognał do najbliższego lekarza, jak kiedyś tuląc psa do serca z całych sił. I tak samo wracał do domu, tyle że zakrwawiony, z nieruchomą łzą w suchych oczach. Identycznie samotny i oszukany.

W domu nie tknął kolacji. Kupił paczkę tanich papierosów i długo palił je w oknie. Być może znowu dostrzegła go sąsiadka, pani Melowa. Ale tym razem nie przyszła do matki na skargę. Cóż mogłaby powiedzieć, skoro nie było już dawnej matki i tamtego małego chłopca, który po rozstaniu z przyjacielem stał w oknie, palił papierosy aż do pierwszego zasłabnięcia...

W klinice wita go wyważonym uśmiechem pani Róża, specjalistka od kotów. Lubi ją. Znacznie bardziej niż wylewną panią Mariolę. Wylewność pani Marioli dotyczy także jej obfitego biustu, który umiejętnie eksponuje, wystawiając go w stronę Krystiana za sprawą niedopiętego guzika. Czułby się bardziej ośmielony i pewniejszy siebie, gdyby wszystkie guziki na pani Marioli rzetelniej pełniły swą rolę.

Zresztą zjednął tu sobie nie tylko sympatię kobiet. Lekarze chętnie korzystają z jego gotowości do pomocy przy drobnych zabiegach. Traktują partnersko, choć wiadomo, jest tu wyłącznie od psich i kocich gówien. Nigdy nie ukrywał, że z personelem specjalistów łączy go tylko rok studiów weterynaryjnych. Mimo to zawsze szacun, pełna elegancja.

Nie tak, jak w pizzerii. Właściwie dobrze się stało, że stamtąd odszedł. Gdyby nie ten nowy, Mikołaj, pewnie uciekłyby znacznie szybciej. Cudem wytrzymał w tym drożdżowym piekle, z porąbanym Kamilem, który powinien dostać dożywocie za samą potrzebę mówienia. Szefowa też koszmar. Przeteterminowana Królowa Śniegu. Budziła w nim lęk dokładnie taki sam jak jej baśniowy odpowiednik. Im bardziej się starał wykrzesać na zimnej twarzy picernicy okruch przychylności, tym grubszy lód skuwał jej oczy. Nawet w domu, przy matce, bez przerwy nagabującej go o to samo lub o podobne, czuł się lepiej.

Zdumiał się, że są miejsca bardziej doskwierające niż jego własny dom, i poczuł do porzuconej pizzerii jakąś niewytłumaczalną wdzięczność. Też przeteterminowaną jak szefowa. Nawet nie przeszkadzało mu w smakowaniu tego odkrycia, że z dwunastu kocich kuwet wali smród godny obecności nie Krystiana, raczej kogoś tak nieczułego jak Kamil.

Żoliborz. Willa Wolskich

Zofia Wolska ogląda płytę z pielgrzymką Jana Pawła II. Ogląda, pochlipuje i dziwi się, że jej ładna synowa, zamiast przywrzeć do papieża całą duszą, łzę uronić, wsłuchać się w ten głos święty, od którego oczy same mgłą zachodzą, nic, tylko zwyczajnie siedzi na kanapie. Rzadko kiedy podnosi oczy na ekran, zajęta rysowaniem fatałaszków. I pochylona nad zeszytem, tak zawzięcie ołówkiem po nim smaruje, jakby Ojciec Święty jeszcze nie przybył w jej proggi. A on tu od godziny, we własnej osobie.

Co innego, gdyby go jakiś aktor udawał, łudzaco do Jana Pawła podobny. Ale każdy pozna, że to prawdziwy Jan Paweł, jak go Pan Bóg stworzył, najprawdziwszy! I choć ksiądz w Szczytowej w każdym kazaniu krzyczy, że telewizja kłamie, to Wolska musi tym razem księdzu proboszczowi zaprzeczyć. Że nie zawsze. Gdyby na Pustkach można było jednym przyciskiem guzika papieża serdecznie poprosić „niech Wasza Świątobliwość do izby zajrzy, choćby przez ten kabel z prądem uraczy nas swoją osobą, zwykłych prostaków” Wolska przegapiłaby i cztery pory roku, i sumy w Szczytowej, i nawet listonosza Czumę z rentą. Koty chodziłyby miaukliwe, zabiedzone, a to by się pewnie papieżowi nie spodobało. Cóż jednak robić, kiedy tej papieskiej osobistości nigdy nie dość? Można by tak siedzieć i patrzeć. O świecie zapomnieć. Nawet jakby Jego Świątobliwość nie zauważył, to i zdrzemnąć się chwilkę przy homilii już na pamięć prawie znanej.

Przeraża Wolską myśl, że z tego też powodu, prywatnej audyencji Jana Pawła na Pustkach, mogłaby nawet do Heńka nie pojechać. Nie odwiedzić go w hotelu robotniczym, nie sarkać, że bałagan taki i butelek pustych zalegających pokój zbyt wiele, synku, to nic dobrego tyle pić. Nie pochylić się nad tą synowską biedą, samotnością jego wielką, nad tym chlaniem codziennym, przez które serce Zofii Wolskiej krwawi od pięciu lat. Jota w jotę jak na Chrystusowym obrazie Halembów. Serce rozkrwawione na amen. No, ale nie po rozpacz tam zwykle jedzie, tylko zawieźć synkowi siłę matczyną niezłomną, pociechę. W chusteczce z batystu trzymany zwitek. Z renty uskładany bez większego trudu, bo Zofii pieniądze nie są potrzebne. Nie aż tyle.

Trochę się Heniek broni, jak go Zofia delikatnie po głowie głaszcze i dobrym wzrokiem pyta, czy wystarczy. „Co ma nie wystarczyć” odpowiada jej najstarszy syn, już łysiejący, matko jedyna, jak ten czas leci i wszystko zabiera. A w szczególności włosy. Wyskubuje je dorosłym chłopom jak mała pchły.

Wolska na chwilę zostawia Heńka i papieża samym sobie. Popatruje spod przymkniętych powiek na Bronka. Ten ma wszystko, myśli, nawet włosów dostatek. A przecież bez okularów widać, że jakiś on niekompletny, czegoś wiecznie brakuje... Natychmiast przypomina sobie syna, zanim Brunem został, co się stało poza nią, poza jej wiedzą na ten temat. Więc jako Bronek jeszcze przebywał na Pustkach jakby z wizytą. Nie, że u siebie. Nie ze swoimi.

Może wina to męża, rozważa Zofia. Jak z becikiem na Pustki wróciła, syna ojcu pokazała, ledwie on na Bronka spojrział, a już, że jakiś dziwny. „Do reszty chłopaków niepodobny” powiedział, marszcząc nos. Nawet bimbru nie odkorkował, choć do tego synowskie narodzenia wcale potrzebne nie były! Wystarczyło, jak łownego kota w prezencie dostał albo ktoś życzliwy siekierkę mu wyostrzył, a to smolniaków na rozpałkę nawiózł i już biesiadowaniu końca nie było! Więc zdumiała się wtedy Zofia, że dziecko drobne, ale zdrowe mężowi przywiozła autobusem ze Szczytowej, a tu nic. Radości jakby mniej niż przy kocie...

Pewnie dlatego ten jej Bronek bardziej w domu rodzinnym jako gość przebywał niż jako przyszyły dziedzic Pustek, właściciel stołu solidnego i ukoronowanej Panienci Najświętszej. Nie broił z braćmi, do dzieci Halembów nic nie miał. Chował się przed Misiurkami. A

chałupę Goliczów biegiem mijał. Taki odludek. Jego śmiech nigdy ciszy nad Pustkami nie rozerwał. Ani płacz. Przemykał tylko, zwierzątko wystraszone. Ot, milczek-wilczek, ni przypiął, ni przyłatał.

I teraz to samo. Mniej w tym dorosłym jej Bronku radości niż choćby w Heniusiu, który wprawdzie po pijaku, ale wylewny, szczęśliwy, plany mający wielkie, że jak inni bracia i on jeszcze wyjdzie na swoje. Owszem, do matki wróci, Pustkom się pokłoni, ale już jako człowiek majątny, co zmartwychwstał, krzyż swój z butelek opróżnił, że więcej nie trzeba, dawne zwyczaje porzucił. Więc nawet Heniek, na trzeźwo mruk wielki, jakąś iskrę życia w sobie rozpała, gdy przy kielichu z kompanem usiadzie. A milczek-wilczek – Wolska aż wzdycha z głębin piersi – dalej tym swoim nieufnym okiem po wszystkich wodzi, szczęścia swego nie widząc.

Jakże tak można! Wolska z ukosa na syna patrzy. Mieć żonkę gustowną. Cichą, ale za to ładną jak panie z telewizji. Szkoda tylko, że Agatka szczupła bardzo. Córka burmistrza ze Szczytowej, prawdziwa bogini toczona, okrągłości apetyczne podkreśla.... Ale synowa nie brzydsza! Szykowna. Nawet teraz, na kanapie w dresie usiadła, nogi po turecku skrzyżowała i coś tam sobie rysuje na papierze. Nic, tylko zdjęcie zrobić, do magazynu urody wysłać.

A na dywaniku Stasinek. Jedną zabawkę godzinę ogląda. Z każdej strony. Jak nie dziecko, a badacz jakiś... Spojrzałby Broniek na te swoje skarby, jakie z łaski Panienki, swej matki chrzestnej, otrzymał. Toż nawet Krystianek, ten młodzieniec od sąsiadów, zawsze przy Stasinku zatrzyma się, pokoleguje z nim, słowo do dziecka od serca powie. A rodzony ojciec jak obcy jakiś. Ślepy i głuchy. Nawet papieża, który akurat kreśli znak krzyża, nie dostrzega. Ani w tym szklanym salonie, ani w sercu. I ścisza go! Guzikiem Ojcu Świętemu głos odbiera, choć papież starszy, już ledwie przemawia, życiem zboląły...

Zofię Wolską przejmuje nagły chłód. Być może napływający z otwartego lufcika, a być może biorący się z matczynej bezradności. Że choć syna ma na wyciągnięcie ręki, na skarcenie, bo jako matka prawo do karcenia od Boga otrzymała, powiedzieć takiemu do słuchu, to przecież nic mu nie powie. Przemilczy i to.

Przedmieście...

Najgorsze jest mycie warzyw. Woda w beczce, rzadko zmieniana, śmierdzi zgnilizną, zamokłymi liśćmi. I do tego fetoru nie można się przyzwyczaić. Na początku przerażał Iwanę dom-bunkier – ale tylko dopóki nie weszła do cuchnącej szopy, gdzie czeka na nią codziennie bezładna przyma warzywnego towaru. Utyłane w ziemi korzenie marchwi i pietruszki, wygięte w pałak pory, bezładnie rzucone selery są jak starcy czekający na oporządzenie. Sens swojej pracy widzi Iwanka dopiero późnym popołudniem, gdy w paletach złocą się, zielenią i bielą apetyczne jarzyny. Ciasno splecione, czyściutkie. Jak grzeczne uczennice w porządnym parach.

Pan Andrzej uobecnia się w szopie tylko odgłosami. Ma kłopoty gastryczne. Co jakiś czas jego usta opuszcza przeciągły jęk przykrego beknięcia. Początkowo raziła Iwanę i niepokoiła ta żółdkowa kanonada, ale po kilku dniach stała się czymś tak naturalnym jak smród z beczki.

Gdyby to mama słyszała... – myśli Iwanka, cierpliwie zeskrobując ziemię z nowej dostawy. Wyobraża sobie Annę Matwijkeno, zaskoczona fizjologicznym koncertem ogrodnika, czekającą na przeprosiny i równie zde gustowaną ich brakiem. W świecie dźwięków Anny Matwijkeno nigdy nie było miejsca na muzykę życia, dlatego ataki duszności ojca działały na nią tak odpychająco. Nie potrafiła tego ukryć. Ojciec umierał samotnie, ze skromnym wsparciem Iwanki, jeśli zdarzyło się, że wpadła do domu na kilka dni.

Kiedy choroba pokonała już wszystkie możliwe odcinki dróg oddechowych, trafił do szpitala. Wydawał się zachwycony obecnością innych chorych i personelu. Niby obcy, a jak życzliwi i ciekawi jego dolegliwości. Iwanka była niemal pewna, że ojciec wolałby nie wracać do domu. Zwłaszcza że tego dnia przyniosła mu klasery i lupę. Miał więc obok siebie wszystko, czego potrzebował. Matce też służyła ta wymuszona oddzielność. Natychmiast poznikały wszechobecne w mieszkaniu atrybuty choroby. Leki trafiły do starego kredensu, szlafrok i piżamy do pralki.

Iwance nie spodobały się te pośpieszne porządki. Jakby się go na zawsze pozbywała, myślała z niechęcią. Ale gdy siedziały przy kolacji, matka mówiła tylko o nim. O Jegorze Matwijence, przystojnym kontrolerze jakości. Że żadnej kancery na produkcji nie przepuścił, przez co wrogów miał w miłośnikach bubli. A jak tańczył! Wiktoria Iwczenko do dziś rozmarzona, wspólny z nim walc wspominająca. Ziemia ze słońcem tak się nie kręciła, jak tych dwoje. Aż matka z zazdrością na Wiktorię popatrywała. Nigdy wcześniej... I uczciwy był, choć kusili, namawiali, łapówki dawać chcieli... A gdy się urodziłaś, w nocy wstawał, biegł, na ręce brał. I piosenki cicho nucił. A jak fałszował! Bożeż ty mój, aż uszy bolały...

Tej nocy matka długo kręciła się po kuchni. Kiedy Iwanka przed północą stanęła w drzwiach, zobaczyła jej drżące plecy pochylone nad stolnicą. Lepiła ojcu pielmieni. Słone chyba to były pierożki. Mąka ze łzami wymieszana. Prawdziwy cud, bo matka nigdy nie płakała, no chyba że przy krojeniu cebuli. To tak.

– Wystarczy na dziś – zarządza gospodyni.

Iwanka i pan Andrzej patrzą na nią z wdzięcznością. Oboje chętnie prostują plecy. Rękawice Iwanki lądują na drewnianej skrzyni. Koniec walki. Ring pustoszeje, gaśnie mdła żarówka u sufitu.

Na kuchennym stole czeka talerz z kanapkami.

– Niech się częstuje, bo patrzeć żal – sarka Wielka Pani, przestraszona swoją życzliwością.

Iwanka z uśmiechem sięga po kolorową kromkę. Je wolno, czekając na stosik skrupulatnie odliczonej zapłaty. Potem szybko przebiera się w zagraconej łazience, szczęśliwa, że wreszcie sobota, niedziela.

– Jutro płacę podwójnie. Jak chce, może przyjść, przed świętami domem się zająć – słyszy na progu.

Walka trwa krótko, choć każdy miesiąc w Iwance błaga o wolny dzień, o wielkie lenistwo u boku Mykoły. O nicnierobienie, poza zerkaniem przez okno na spowolnioną Warszawę.

Dlatego nie wierzy, że wyraziła zgodę. Że obiecała wpaść dom porządkować. Dziwi się, mijając próchniejący parkan i wciąż błotnistą drogę, choć deszcze dawno ustały. A gdy oddała się krzywym chodnikiem i znika za budynkiem sąsiadów, gospodyni triumfalnie odwraca się od kuchennej firanki.

– Patrz, jakie to jednak zaparte, te ruskie. Za takie grosze, w sobotę... I będzie tu orać, na ugorze,.. Moja córca toby się w nos roześmiała, jakby jej ktoś piątaka za godzinę płacił... Mówię ci, Andrzej, w sam nos.

Kwiecień powoli spelza z kalendarza. Iwanka sumiennie mu w tym sekunduje. Zanim zdejmie z siebie lepiący pot i stęchliznę warzyw, musi uśmiercić krzyżykiem kolejny przepracowany dzień. A potem przyjemna chwila. Odliczanie dni dzielących ją od świąt.

– Do trzech wystarczy policzyć i Wielkanoc! – cieszy się jak mała dziewczynka.

– Nikt nam nie płaci za świętowanie – studzi jej dziecinny zapal Mykoła.

Jak on może! – obrusza się. Wszyscy odpocząć powinni. Wśród swoich chwilę pobyc. W cerkwi śpiewu posłuchać.

– A gdyby i wypowiedzieć się? – Jej twarz łagodnieje na ten zamiar nagły, głośno wypowiedziany. – Co to za ulga by była! Sumienie posprzątać wiosennie. Dręczącą myśl o matkach *otcu* wyjawić. Skruczę poczuć...

Rozrasta się scena w cerkwi przebywania. Kłęknięcia. Śpiewów świątecznych.

Ale przed ołtarz wdziera się gniewny Mykoła i pyta, o co jej chodzi. Czy to na złość taka nagle pobożna, kościelna?

I dlaczego tu, a nie we Lwowie? Tam więcej cerkwi! Niech się uspokoi, prosi Iwanka. Ściana cienka, Wiolka usłyszy ten ich pierwszy spór o talerz ze święconką. Sama nie wie, dlaczego tu, a nie we Lwowie. Tu tęsknota większa. Ot i wszystko.

Łzy zbiera, zła na siebie. Lepiej palmę podlać, co z nią do kraju ma wrócić. Zupę jarzynową odgrzać, choć na warzywa Iwanka już patrzeć nie może. Wreszcie wziąć jakiś szybki prysznic. Pod ciepłą wodą pozbyć się zapachu obcego domu.

– Nie płacz, pójdz sobie na tę Miodową. – Mykoła wzrusza ramionami. Wypowiada swe przyzwolenie już spokojnie, ale nie zrywa się z łóżka, nie pędzi, by łzę zatrzymać czułym gestem. Sięga po gitarę, wygrywa na niej kilka akordów. Brzmią mocno, choć za cicho, by zagłuszyć żal.

Iwanka wierzchem dłoni wyciera mokry policzek. Zbiera rzuconą w progu siatkę z darowaną porcją buraków na barszcz i wymyka się do kuchni.

Śródmieście. Miodowa

Niedzielnny poranek żałuje słońca. Skąpi rzadkich przejaśnień, ale Iwance i one wystarczą. Zbliża się do Miodowej z koszykiem święconki. Jest z siebie zadowolona. Wygląda odświętnie w lekkim płaszczu i jedwabnej apaszcze. W wiosennych szpilkach. Nie szkodzi, że obcasy niepewne, grzęzną w pułapce dziurawego bruku. Że poły prochowca przenika zimny wiatr. Tylko Mykoły brakuje. Mógłby iść obok. Czuwać nad jej niepewnym krokiem. Podtrzymać, gdy szpilka chybotliwieje. Łatwo potknąć się, koszyk upuścić. I z czym pod ołtarz się pchać? Z paska umorusaną? Z kielbasą w błocie moczoną?

Gdyby ją teraz matka zobaczyła! Jak do cerkwi zmierza, a tłumek wiernych wita przyjaźnie, zapraszamy, zapraszamy, mówią spojrzeń. Są życzliwe, do wejścia zachęcające. Zatrzymują się na niej, grzecznie ciekawe. Bo nowa, nikomu tu nieznana...

– Iwanka jestem. Matwijkenko – szepce, koszyk ze święconką tuli. – Z Lwowa.

– Iwanka – podają sobie dobrą wiadomość usta stare i młode. – Z Lwowa...

I już czasu nie ma na powszednie myślenie. Muzyka potężnieje. Grzmi w imię Ojca i Syna, i Ducha. Więc przeżegnać się trzeba, ikonę świętą wycalować. *Christos woskres* na lewo i prawo przekazać. A zaraz też *Woistynu woskres* odpowiedzieć. I win odpuszczenie uczynić. W głąb siebie zajrzeć, wszystkim wybaczyć.

Więc gdyby matka ją teraz dojrzała, z tymi oczami błyszczącymi, gdy żarem modlitwy przejęta przymyka oczy i znowu jest w drohobyckiej cerkwi, zdaje się, ramię w ramię z Anną Matwijkenko stoi. Za chwilę obie ucałują nogi Chrystusa na krzyżu uwieszone od stuleci. Nawet zerkają na siebie z uśmiechem, bo ich głosy w chórze najczystsze. Najwyżej wzbić się potrafią... Oj, wzruszyłaby się na tę obecność córki przy pustym grobie! Na tę śmiałą wyprawę po zmartwychwstałe nadzieje, że co było, to z wiatrem po wodzie spłynęło. I już czas przestać dąsać się, gniewać, milczeć mściwie, w imię Ojca i Syna, i Ducha...

Iwanka przymyka oczy. Aż bolą od światła i wzruszeń. Czuje łaskę matczynego wybaczenia, która toruje sobie drogę z drohobyckiej świątyni, aby ją tu, wśród obcych, dopaść. Uszczęśliwić...

Drohobycz

W tym czasie Anna Matwijenko wygląda przez okno na podwórze. Prawie pusto. Wszyscy już na mszy. Widzi tylko beznamiętne psy kręcące się koło śmietników i Panasa Chyriaka z niedbale zatkniętym w zęby papierosem.

– Chachar – mruczy pogardliwie. – W gówna tylko leżć potrafi.

Lustro odbija jej znużoną twarz. Sięga po jaskrawą szminkę i wciska ją z całą mocą w blade wargi. Gdy razą nadmierną czerwienią, przeczesuje włosy i jak zawsze upina je w kok. Rozrzedzoną siwiznę przykrywa lekką chustą, a wiosenny płaszcz, niedbale okalający ramiona, ozdabia metaliczną różą. To prezent od Jegora Matwijenki.

Gotowa do wyjścia, siada tyłem do okna i wbija wzrok w zdjęcie męża. Powiesiła je po wyjeździe Iwanki, żeby nie być całkiem sama w opustoszałym domu. Jegor nie potrafi pozować. Przygarbiony, w jedynym garniturze, jaki miał, uśmiecha się sztucznie do fotoreportera. Jegor, który zagościł raz jeden w życiu w miejscowej gazecie poświęconej zasłużonym pracownikom fabryki. Zrobiła mu awanturę, że nawet na tę chwilę przypinania orderu nie stanął jak przystało mężczyźnie. Dziarsko, prosto, z oczami patrzącymi w dal. Gdyby jednak tak stanął, nie mogłaby mu teraz spojrzeć w oczy. A siedzi i patrzy. Odświętna zaduma dotyczy nie tylko wełnianego garnituru męża, w którym wygląda trochę jak niezdąły. Dotyczy też zmartwychwstania kontrolerów jakości. Zasłużonych. Z odznaką w klapie. Bo choć medal lśni, mąż dalej biedołał. Myśli więc Anna Matwijenko o niebie specjalnie przygotowanym dla dobrych kontrolerów jakości, którzy żadnej kancery nie przepuścili. I o pustym grobie swoich pragnień.

Warszawa. Bielany

Mykołę drażni radość Iwanki. Głupia krzątająca wokół nakrywanego stołu i nieustające paplanie o kościelnych babach. O zmianie pracy, bo na Miodowej tyle ogłoszeń, zarobek godny, przy dzieciach, staruszkach, żadne tam kapusty i rzodkwie do czyszczenia! Wiolonczelistki nie chcą, do orkiestry nie zatrudnią, chyba że cerkiewny chór – śmiech Iwanki jest lekko wymuszony – ale nic! Grać to już będzie u siebie, we Lwowie, w pokoju muzycznym, wśród matek, kotów. Oj, i dzieci! Z tego wszystkiego o dzieciach zapomniała, a przecież chce je mieć. Całą gromadkę! A właśnie... Matki... Koniecznie do nich napisać trzeba. Choć parę świątecznych słów. Jeśli nawet dotąd burmosiły się, to dziś wino odpuszczenie. I w Drohobyczu, i we Lwowie. Może już wybaczyły, że syn czy córka daleko? To pierwszy taki radosny dzień, jeśli ma być szczerą. Wcześniej więcej czarnych myśli było, a w nocy to i łza niejedna. Nie darmo babcia Łesia mówiła, że bieda cię znajdzie, choć i słońce zajdzie...

Mykoła zdobywa się na wymuszony uśmiech. Przynajmniej, ale nie rozumie, skąd te idiotyczne sentymenty! Gdzie się podziała tamta lwowska dziewczyna, której mu wszyscy zazdrościli. O jakich dzieciach mówi, skoro sama dziecko! A poza tym ileż można, kurwa mać – klnie w myślach po polsku – wiecznie o matkach, babce! Tkwić na przedmieściach Drohobycza. To chyba błąd, że tu przyjechała... A poza wszystkim zjadłby coś porządnego na śniadanie. Nie jaja na zmianę z twarogiem, do diabła!

Sięga po kawałek paschy i z trudem przełyka zbyt słodki deser.

– Czy smakuje? Ależ tak! – odpowiada. – Jak u mamy – zapewnia kłamliwie. – I ta paska pyszna.

Moja matka z plakatów i piramidka z paschy!

Mykoła krzywi się, od słodkości zaczyna go mdlić.

Całe życie pogubiona, sobą wyłącznie zajęta. Miłostkami, sukcesami... Gdyby było inaczej, ojciec nigdy nie wyjąłby z pawlacza skóropodobnej walizy. Nie zostawił swoich kluczy przy lustrze w przedpokoju. Dalej razem obstawialiby mecze, łowili ryby na błystkę albo łazili po górach. Dom nie śmierdziałby kotami, zatęchłym jedzeniem w lodówce. Jaki to wreszcie dom?! Ognisko muzyczne z hałasem wiecznych gam i etiud! A święta? Świętami były tylko jej koncerty. Obecność obowiązkowa. Potem mogło go w życiu matki znowu zabraknąć. Ile to razy czekał u sąsiadów, zasypiając razem z ich psem pod stołem, albo trafiał do przedszkola w piżamie. I to jeszcze nic, bo czasami zostawał w domu sam. Wchodził wtedy pod kołdrę i bawił się w wojnę. Strzelał z plastikowego karabinu, paf, paf, paf, na oślepie w bawełnianą ciemność. Wreszcie, gdy już strach całkowicie go obezwładniał, gdy nieruchomiał pod ciężką pościelą zasmarkany, z mokrymi policzkami, oddawał ostatnią serię strzałów. Na szczęście celną, bo za każdym razem zabijał matkę. Jej skrzypce i jej koty też.

– Chyba jednak gorsza. – Iwanka zagłada uważnie w oczy Mykoły. – Ta moja paska. Musi być gorsza niż twoja, domowa... Bo wcale nie jest...

Żoliborz. Willa Wolskich

Agata próbuje odmówić teściowej. Wzbrania się przed wspólnym wyjściem, ale Zofia Wolska wciąż swoje. Że trzeba Stasinkowi do kościółka i świeżym powietrzem pooddychać, na innych ludzi niech dziecko popatrzy, po co w czterech ścianach jak w więzieniu... Ale i nie tylko chłopcu trochę ruchu dobrze zrobi. Agacie bardziej jeszcze, żeby z apetytem jeść zaczęła, bo jak ta kurka tylko pogrzebie w talerzu, pogmera, a potem tabletki, kawa. I tak na zmianę, aż serce boli.

Szukając kolejnych argumentów i dobrotliwie mrużąc oczy, Agata zastanawia się, kiedy ktoś myślał o niej w ten sposób. Że może jej czegoś brakować. Najczęściej bywa odwrotnie. Oskarża się ją o to, że tyle od życia dostała, a jeszcze jej źle, wieczny foch... Tę pretensję Bruno ma często w oczach, a Iga w głosie, kiedy mówi, że chyba nikt, kurwa, nikt z jej znajomych takich dobrodziejstw by nie udźwignął, „ty szczęściaro...”

Agata bezwiednie sięga po płaszcz, puszczając przodem zadowoloną Wolską z wnukiem.

Zanim opuszczą podwórko, wzrok Agaty pada na taras sąsiadów.

Warto było wyjść z domu, żeby to zobaczyć, myśli z nagłym wzruszeniem. Nie może oderwać oczu od tej balkonowej sceny. Matka i syn. Jakoś wcześniej nigdy nie pomyślała, że przecież i Staś będzie kiedyś takim przystojnym, uczynnym mężczyzną, który wyprowadzi ją na słońce. Delikatnie, ale stanowczo otoczy ją silnym ramieniem. Podsunie wygodny fotel i robi wszystko, by cały blask kwietniowego południa otulił ją ciepłem. Szkoda, że krzątający się Krystian nie widzi Agaty. Skinęłaby mu przyjaźnie ręką. Zasługuje tylko na takie gesty.

Idą w stronę ogródków działkowych. Wolska lubi je najbardziej z całego Żoliborza, bo wciąż są na wolności, na przekór wielkim budowom, czarcim pałacom ze szkła. Trwają w jakimś wieśniaczym uporze, jak chłop zawzięte. Ładne nie ładne, ale swojskie. Warszawskie Pustki...

Niewiele mówią. Ich spojrzenia krzyżują się często na dziecku, które najbardziej je łączy.

Wolska wpada w długą zadumę, licząc nieporadne kroki wnuka. Wie, że wszystko ma boski sens, ale za nic nie może dotrzeć do pomysłu Pana niebieskiego, co go miał odnośnie do słabych nówek Stasia. Może o to idzie, żeby zanadto się nie śpieszyć? Wolno i z należytą uwagą oglądać Boży świat? Nie jak jej syn, co wiatrem gnany przez życie nic nie widzi. Nawet na tę żonkę ładną z uczuciem jakim głębszym nie spojry. A zasłużyła. Choć już nie tak młoda jak córka burmistrza ze Szczytowej, urodę wciąż ma, że o sercu Wolska nie wspomni. Nieraz ją Agatka dobrocią wzruszyła, choć okazywać jej nie lubi, to inna rzecz.

– Wszystko w moim życiu pokręcone – smętnie rozważa Agata. – Nawet dziecko. Mądre i grzeczne, ale nie dziecko.

Instynktownie dotyka brzucha, jakby to on kiedyś zawiódł. Ukrył przed nią ogrom rozczarowania. Dopiero kiedy zobaczyła uniesionego przez położną synka, jak przelewa się bezwładnie w jej szerokich dłoniach, zrozumiała, że urodziła go na swoje kalekie podobieństwo. Na swoją klęskę matczyną. Na własny obraz słabości i beziły. Jak mogła sądzić, że będzie inaczej? Nie uwierzyła kłamliwej położnej, poklepującej Agatę protekcjonalnie, że dzieciak zuch, jeszcze pokaże, co potrafi. Od tego czasu nikomu już nie wierzy. Pediatrom, znachorom, terapeutom. Tym wszystkim, których choroba Stasia utrzymuje w dobrej kondycji finansowej, co jednak nie ma wpływu na kondycję Stasia. I choć stołeczna znawczyni tarota dostrzegła ostatnio w kartach jakby cień przełomu, gdyż z Buław wynikały dobre dla Stasia wieści, to trudno było Agacie w przełom uwierzyć.

Jej syn już taki po prostu jest. Może bez przyczyny. Może z własnego wyboru? Mógł go dokonać przeciwko rodzicom. Z niezgody na ich milczenie. Na gesty, których ani ona, ani Bruno nie potrafili napełnić miłością. Troską tak, ale to za mało.

Agata cierpi, gdy Bruno unika kontaktów z synem. Wstydzi się go. Małego chłopca ze smutnymi oczami. Udaje, że nie widzi chłopięcej rączki, która nieporadnie kieruje się do ojca, ale wędnie w połowie drogi. Zaniechany badylek. I właśnie tego widoku rączki syna i pleców męża Agata najbardziej nie może znieść.

Stają przy płocie kiełkującego ogródka. Jeszcze w nim leżą resztki zimy niewolące ziemię, ale w czarnych prześwitach już strzelają pierwsze pędy. Rachityczne, wykrzywione w poszukiwaniu słońca. Za miesiąc będą się dumnie prężyć, choć nie pasują do miejsca i nikt o nich nie pamięta. Dzikie, bezczelne. Wolska z tęsknotą przywiera do prowizorycznej siatki. Gdyby tylko mogła ją unicestwić, natychmiast zabrałaby się do pielienia.

Ale nie. Agata spogląda bacznie na teściową i już wie, że obie patrzą na te niechciane, silne i zdrowe chwasty. I obie myślą o tym samym.

...Bielany

Iwanka znalazła inną drogę, którą teraz wraca z pracy. Jest dłuższa. Prowadzi przez podziemny tunel, w którym zawsze gra podstarzały skrzypek. Żaden tam wirtuoz! Zwyczajny grajek, w dodatku niewidomy. Dźwięki wychodzące spod jego drżących palców na długo wbijają Iwankę w betonową ścianę. Takie są wzruszające. Zanim odejdzie, wyłuska jedną z monet. Stara się ją umieścić cicho w niedbale rzuconej czapce. A jednak za każdym razem odprowadza ją uśmiech muzyka i jego ślepe spojrzenie.

Lubi być niewidzialna i taka jest. Bez starań wielkich i kłopotów. Jedyne Wielka Pani inaczej. Nie spuszcza z niej świdrujących oczu przez pół dnia. Podłogi od tego podglądania nie są bardziej błyszczące, tylko pracuje się trudniej i większy wstyd, gdy ręce albo kark odmawiają posłuszeństwa.

„Wielka Pani”.. Iwanka jest niemal pewna, że pracodawczynie spodobałby się ten tytuł, w tajemnicy nadany. Pasuje do strojnych szlafroków, majestatycznego w kółko dreptania, krążenia po świeżo wyszorowanych kaflach. A nawet do chorych korzonków i turbanu z ręcznika nad niskim czołem. Za coś tam jednak lubi tę Polkę, której się wydaje, że ma większą władzę nad ukraińską dziewczyną niż pop nad dewotkami. Niech tam sobie myśli, co chce, jednak kanapkę przyniesie, wciśnie Iwance, syknie, że jeść trzeba. Stoi uparcie, póki smakowita bułka nie zniknie z talerza. Ostatnio nawet jakąś zupę na stole postawiła. Tyle że jarzynową. Co za pech!

Oksanie napisała, że pracodawcy mili, życzliwi, ale po prawdzie, jak mawiają u nas, panowie drobni, a wszy u nich jak bób. A na to Oksana esemesem, żeby na Ukrainę wracała, takich i tu znajdziesz! – dodała. Bużkę uśmiechniętą postawiła zamiast kropki.

Gdyby nie ta nagła eksplozja zieleni, wysypującej się z betonu, Iwanka przegapiłaby maj. Bo skąd to wiedzieć? W szopie ciemno i wilgoć, a dom Wielkiej Pani wiecznie spowity w półmroku. Nie pamięta też, kiedy ostatnio poszli z Mykołą na jakiś wiosenny spacer. Parę razy o zmroku do klubu, ciemnym świtem do domu. Ot i wszystko!

Pochmurnieje na wspomnienie Mykoły, ale w samą porę przypomina sobie wczorajszy list od matki. Pierwszy na dwadzieścia wysłanych. Czekał na nią pod palmą, w mocno skleionej kopercie. Wprawdzie krótki jak wiosenny deszcz, przenikliwy niczym uderzenie wiatru, ale własnoręcznie przez matkę skreślony. Że godzin muzyki w szkole coraz mniej i uczennic prywatnych mniej. Ale dla tych, co zostali, chleba nie brakuje. Smaczny knysz. A czasami nawet korowaj. Że zmarła babcia Buryłko, co jej Iwanka zawsze pierwsze konwalie nosiła. Widać czekać jej na Iwankę odechciało się, skoro przed konwaliowym sezonem odeszła. I że wiosna w Drohobyczu ładna, choć nie dla każdego życzliwa. Koleżanka Iwanki, Irmina Chwesiuk, dopiero co za męża wyszła, za Polaka. Razem mieli skład budowlany prowadzić. Stary Chwesiuk wszystko im oddał. I tak poprowadzili, że w dwa miesiące po ślubie pan Polak znikł. Razem z pieniędzmi i sąsiadką Chwesiuków.

Wreszcie że Oksanka na pięć minut wpadła, dom cały poweselał i to było bardzo miłe popołudnie. Pracę tymczasową sobie we Lwowie znalazła, ale ze swoimi jest. Jak mówią, suchar z wodą, byle z tobą. Więc i nie narzeka, rodzinie pomaga, a szczególnie tej swojej siostrze małej, co z garbem chodzi. Dobra dziewczyna, domowa, bliskich w potrzebie nie zostawia, miejsce swoje w życiu zna – kończyła matka.

I choć te szpilki, starannie powtykane w obojętną opowieść matki, tępo pobrzmiwały w co drugim zdaniu, Iwanka drżącym szeptem podążała za każdym zdaniem, raz i drugi, aż Mykoła nie wytrzymał, przestał jeść obiad, dokuczać zaczął. Śmiać się, słowa matki przeinaczać, że same głupstwa, same głupstwa...

Dopiero wtedy zamilkła. Bo nagle zrozumiała, że Mykoła i jej matka nigdy nie zamieszkają razem. Żaden pałac tu nie pomoże, a cóż dopiero skromny domek, choćby z pokojem muzycznym, z kominkiem...

Zapytała więc wprost, czy to już tak musi być. Przecież i dla niej matka bywa ciężarem, ale są takie, które całe życie niesiesz, zmęczenia nie czujesz. Nieść musisz, tłumaczyła sobie i jemu, sama kolejnych słów niepewna.

A Mykoła oszalał. I znowu za głośno, bo ściany cienkie. Że o matkach słyszeć nie chce. „A ty się decyduj, z matką czy ze mną chcesz życie spędzać! Z kim spać zamierzasz, przy kim się budzić?”

Iwanka prosi, żeby jednak ciszej. Po co do kłótni sąsiedztwo z bloku całego zapraszać?

Już wie, że wszystko stracone. Pokoje dla matek zamienione w gruz. I jedyne, co jest ponad wszelką wątpliwość, to wzburzenie Mykoły, jego skrzywiona nienawistnie twarz. Gdyby zechciał się uspokoić. Można przecież rozmawiać inaczej...

Ale wtedy Mykoła wstał, sięgnął po skórzaną kurtkę i powiedział, że ma parę ważnych spraw do załatwienia. Nie wie, kiedy wróci. Wróci, jak załatwi.

Iwanka zostaje sama. Na stole dwa bilety do kina. Wszystko dawno zaplanowane. Wieczór z Natalie Portman, a bardziej jeszcze z Milą Kunis, czarną łabędzicą. Całe mieszkanie dla nich być miało, bo Konrad teraz dziewczynę, co ma własne mieszkanie, poznał. I tam przenieśli się nocne namiętności.

Kiedy trzasnęły za Mykołą wejściowe drzwi, poczuła chłód ciągnący od nieszczelnych okien. Rozdarta jak koperta z listem matki, skulona pod linejącym kocem, trwała w tym bolesnym bezruchu, a jej dwa domy oddalały się jak planety. Ten w Drohobyczu, gdzie już na nią nawet nie czekał bezzębny uśmiech Walerii Buryłko. I ten nowy, co go wiecznie z Mykołą w specjalnie kupionym notatniku szkicowali i poprawiali, zwłaszcza dach oraz aneks kuchenny.

Czekanie miesza się z gwałtownym snem. Iwanka krótko jest sama w szarym od zmierzchu pokoju. Nie włącza lampki. Przecież stojąca nad nią Anna Matwijenko widzi, że córka potrzebuje chwili snu. Nie wymaga, by wstała, ćwiczyła gamy. Mimo to wstałaby, bo przyzwyczajona, że trzeba, jak mówią: miło nie miło, ciągnij, siwa kobyło. I wstałaby bez najmniejszego żalu, gdyby nie koty Julii Oszurko. Wszystkie, jak jeden, wpełzły na jej nogi. Lekkie odrętwienie nie jest przyjemne, ale koty miękkie, ufne. Mruczą śpiwnie i bucha od ich ciał leniwe ciepło. Iwanka marszczy czoło, ale natychmiast się rozpogadza. To nie koty! To Dima Tkaczenko gra Rachmaninowa! W rogu pokoju stanął, smyczek wzniósł. Koncert rozpoczęły!

Zaniepokojenie Iwanki rośnie. Nachylona nad nią matka zdaje się muzyki nie słyszeć, gościa nie dostrzegać. Jak to możliwe, by w takiej chwili Anna Matwijenko mówiła o zupie, a konkretnie o zupie z dyni, która stygnie. Ona! Tak wrażliwa na każdy dźwięk! Z drugiego pokoju wychodzi ojciec; matka jest lekko skonsternowana. Pewnie nie spodziewała się znowu go zobaczyć w ciężkim szlafroku, przewiązanym niechlujnie paskiem od innego szlafroka. Tata zawsze taki nieuważny w sprawach ubioru. Dobrze, że przyszedł. Ratuje Iwankę z opresji, mówiąc, że choć się śpieszy, zjadłby trochę zupy, byle goręcej. Więc mama prowadzi go do kuchni i można znowu na moment przymknąć oczy. Koncert wchodzi w fazę finałową. Koty robią się niespokojne. Prężą grzbiety. Opuszczają ciało Iwanki. Nagle obce, zapatrzona w ciemność. Kiedy w oknie pojawia się Julia Oszurko, stukając wskazującym palcem w szybę, rozsypują się po mieszkaniu jak bure nuty. Potem wskakują na parapet i tyle je widać. Znikają razem z twarzą swojej właścicielki. Kiedy więc na okiennym parapecie siada ojciec, Iwanka wie, że on też za chwilę zniknie. Zanim jednak rozplynie się w półmroku, ona karcąco spogląda na ojca szlafrok. „Następnym razem powinien znaleźć odpowiedni pasek” – mówi.

Wstała zmarznięta. Środek nocy i chłód wpadały do wnętrza uchylonym oknem. Zatrzasnęła je mocno, ale przedtem wychyliła się nieśmiało i sprawdziła, czy przypadkiem

jakiś nieszczęsny kot nie utknął na zewnętrznym parapecie. Sprawdziła też, czy list od matki leży w tym samym miejscu, zanim wpadła w drugi, równie niespokojny sen.

Kępa Potocka

Teraz, gdy Iwanka przecina ukośnie drogę do przystanku, próbuje cieszyć się tym nagłym, szalonym majem. Podnosi twarz do słońca i mruży oczy. Chciałaby uwierzyć, że jest u babci Łesi. Za chwilę przełknie ostatnią łyżkę owsianki, pobiegnie do starej szopy po rower. Janek już na pewno stoi koło krzyża i czeka na nią z garścią miętusów.

Zamiast Janka nadjeżdża autobus. Woląaby jeszcze nie wsiadać, ale autobus, jak na złość, wyraźnie na nią czeka. Trzeba skasować bilet. Znaleźć wolne miejsce. Do niedawna umiała sobie podróżować, wypatrując za szybą skutera Mykoły. Wprawdzie nigdy go nie widziała pędzącego przez Warszawę z gorącą pizzą, ale zawsze mogło się tak zdarzyć. Od pewnego czasu ta zabawa straciła sens. Mykoła awansował. Nie rozwozi już gorących placków. Zarządza zamówieniami na miejscu, zlecając podróże innym. Jedyne, co zostało z początków jego pracy, to niezmiennie uśmiechnięty pomidor na plecach firmowej bluzy.

Za szybami ogromnie rozległa zieleń Kępy Potockiej. Iwance wydaje się naturalne, że musi tu wysiąść. Nie tak dawno daremnie wypatrywała w Warszawie wiosny. Dziś nie trzeba jej szukać. Panoszy się wszędzie, pewna siebie, odporna na zimne powiewy wiatru. Wystarczy chwila szybkiego spaceru, by skryć się wśród alejek, znaleźć pustą ławkę, poudawać, że to ta sama, na której siadywały z Oksaną po skończonych zajęciach.

Nikt jej tu nie zna i ona nikogo, ale sporo wie o starcach przemierzających Kępę. Wybierają zawsze wygodne dróżki i siadają z dala od placu dziecięcych zabaw. Jakby mierzyły ich krzykliwe zabawy na drabinkach i w piaskownicy. Iwanka rozumie tę starczą rejteradę. Ucieczkę przed goryczą wspomnień. Przed podobieństwem i różnicą, jakie łączą i dzielą te dwa najbardziej odległe istnienia. Bo dzieci jak starcy. Kruche, wywrotne, ale wstają z klęczek, gdy starcom coraz trudniej się dźwignąć z piaskownicy czasu. Tej klepsydrze złowróznej, złudzeń pozbawiającej.

Są i starcy dzieciom życzliwi. Choćby tamta babcia z dobrotliwą twarzą. Prawie z dumą na bajcada spogląda. Prawie, bo chłopczyk już za duży, aby tak niezdarnie gramolić się na drabinkę. Za to skupiony. Nóżką nieporadną szczebelka szuka. Trafić nie może. Przyczepiony do prętów, kolorowa małpka! Aż o innych dzieciach zapomniał, o całym bożym świecie.

Iwanka siada tak, by móc przyglądać się chłopcu i jednocześnie kobiecie. Kogoś jej przypomina. Babcię Łesię, wysiadującą w ciepłe godziny na zydlu, z twarzą do słońca wystawioną? Tak. Ale i Walerię Buryłko, tylko znacznie młodszą. Wypełnioną kolagenem życia, szybką i energiczną.

Iwanka pochmurnieje.

Wstyd nie pożegnać przyjaciółki, nie odprowadzić do cerkwi. Teraz maj, niedługo konwalie rozkwitną, łatwo biały bukiet zdobyć. I choć już Waleria Buryłko nie pogłodzi jej drżącą ręką, jednak kwiatki przyjmie ze świętym spokojem. Pozwoli Iwance postać nad sobą w rogu drohobyckiego cmentarza, podziękować za te chwile, kiedy lepiej ją rozumiała niż własna matka, Anna Matwijkenko.

Nieraz tak było, a już na pewno gdy poszło o psa przybłądę, którego ojciec skądś przyniósł. Matka na widok zwierzęcia zastygła w pozie obrażonej. Właściwie nigdy nie wyraziła na ten prezent zgody. Żyła dalej, jakby w jej domu żadnego psa nie było, a Iwanka tak, jakby pies był od zawsze. Więc w tamtym czasie Iwanka wracała biegiem ze szkoły. Wreszcie ktoś na nią czekał. Aż raz, gdy mocowała się z kluczem, zdziwiła ją cisza za drzwiami. Żadnej krzątany radosnej, psych nadziei, że za chwilę można będzie przypaść do kolan, roztańczyć krzywy ogon. Może chory? Niedomaga? Znowu świństw na podwórzu przez Panasa wyrzuconych najadł się...? A w chwilę potem znalazła go na podniszczonej podłodze. Nieruchomego, z podkulonym ogonkiem. Nie rozumiała, dlaczego wciąż taki sztywny i

niedostępny, gdy tuliła go z całych sił i okrywała zimne truchelko pospiesznie ściągniętą kurtką. Prosiła jak najpiękniej, żeby wstał, bo na spacer przecież pójda, po błotach tańczyć, na podmiejskiej łące harcować. A gdy jej nie usłuchał, pobiegła z psimi zwłokami przez podwórze, wpadła do babci Buryłko z wiarą, że jeszcze nie wszystko stracone.

Babcia od razu wiedziała, jakiej trzeba pomocy. Najpierw ręce Iwanki od ciężaru uwolniła. Potem syna swego, Nazara, poprosiła, aby miejsce w ogrodzie przygotował, a sama naparzyła herbaty dobrej, pachnącej jałowcem, i z wielką dokładnością wyjawiała Iwance, co się stało. Że odchodzą ci, których kochamy. Szczęśliwi, gdy z miłością dalej idą. Biorą jej tyle, ile udźwignąć zdołają. A gdy już zgarną szczęście przynależne, nic tu po nich.

Ręką chropowatą łzy Iwanki otarła, obiecując, że przyjaciel już na chmurze siedzi, w futerku na obstalunek zrobionym na nową porę życia. Pójdzie innym szczęście dawać, tańcować przy całuszcze, w bajurach się telepać...

– Innym?

– Niczego nie mamy na własność. Żadnej miłości.

W pokoju mocno szumiał piec. Iwance szumiało w głowie. Jakby się i w niej rozpałał ogień trawiący rozpacz. Do dziś nie wie, kiedy zasnęła na starej kanapie, pełnej kolorowych włóczek. I taką śpiącą Nazar zaniósł do rodziców. A potem zachorowała.

Matka w tym czasie była strapiona, ale gdy stawała przy łóżku Iwanki, to zawsze z uśmiechem. Iwanka miała nadzieję, że ojciec znowu znajdzie psa, który ma niedobór miłości. Jednak nie znalazł.

Potem wyzdrowiała. Powtórzyła matce opowieść Walerii Buryłko. Pokazała nawet chmury, w których prawdopodobnie jej pupil na stałe zamieszkał. Te same, co często wisiły ponuro nad przedmieściem Drohobycza, strasząc deszczem.

Anna Matwijenko słuchała z uwagą, zdawała się nawet łagodniejsza niż zwykle, ale Iwankę zastanawiał wyraz ulgi, który dostrzegła na jej twarzy. Długo potem myślała, czy dotyczył Iwanki powrotu do zdrowia, czy raczej odejścia psa, którego obecność długo jeszcze działała jej na nerwy. Za każdym razem gdy próbowała pozbyć się szorstkiej sierści, wciąż okupującej kanapę i dywany.

Małemu nagle zabrakło sił na ostatni szczebelek i potoczył się w dół. Iwanka instynktownie pośpieszyła na pomoc. Chłopiec nie zapłakał. Spojrzał na nią mądrymi oczami i wolno odszedł w stronę nadchodzącej opiekunki.

To jednak nie babcia Buryłko. Iwanka jest trochę rozzarowana. Cóż by tu zresztą robiła w Warszawie, w tym wielkim parku, w którym więcej ścieżek niż ulic w Drohobyczu? Byłaby tak nieszczęśliwa jak... ja.

Żoliborz. Willa Bieluchów...

– Dobrze, synuś, że pani Wolskiej pomogłeś z zakupami, trzeba ludziom pomagać, choć ona i auto ma, i na służącą ją stać... Nie to co ja. Tylko na tej kanapie, samiutka, strach do łazienki iść, bo w głowie wszystko się kołysze, przelewa tam i z powrotem...

Matka Krystiana nie może się zdecydować – pochwała czy gani syna za jego spóźnienie.

– Ale ty taki grzeczny jesteś, uczynny, a kobiety, wiadomo, wykorzystają. Wszystko dla siebie wezmą, jak trafią na miłego mężczyznę. Tyle zdzir na tym świecie, aż strach, jaką ty żonę przyprowadzisz. Co za dziewczyszko będzie nam się tu plątało. O sprzedaży kryształów marzyło. Żeby tylko na koniec nie wyszło, że sprzeda i tyle ją synuś zobaczysz, tę wydrę rozpieszczoną...

Krystian, choć trochę już spóźniony, śmieje się z matczynego prorocstwa. Wyobraża sobie, no, choćby Ewkę, znajomą z pierwszego roku weterynarii, która ładuje do plecaka te szklane rupiecie...

– Nikogo tu nie potrzebujemy, mamó – mówi, próbując podzielić się z matką uśmiechem.
– A kryształy trzeba rzeczywiście wyczyścić. Jeśli chcesz, to dzisiaj je wykąpiemy. Kiedy wrócę z pracy.

– Tak, tak. Wykąpiemy!

W matce odzywa się czułość granicząca z uwielbieniem. Jest zbyt senna, by wykrzesać z siebie większy entuzjazm, ale Krystian dobrze wie, co oznacza dla matki słowo „kąpiel”.

Kiedyś sama pielęgnowała te swoje szklane skarby. Starannie, sztuka po sztuce, umieszczała w dziecięcej wanience, wcześniej służącej do kąpeli Krystianowi. I rozpoczynała się wielka higieniczna celebra kieliszków, rżniętych karafek, filizanek, wazonów, łabędzi z uniesionymi skrzydłami, tulipanowych popielniczek...

Po odejściu ojca matka nabrała lęku przed samodzielnymi zabiegami. Jakby się bała, że wyleje swoje kryształowe dzieci razem z kąpielą, zamieni w szklisty żwir miłość życia. Krystian rozumiał jej obawy, gdyż z dwóch matczynych miłości już tylko ta uparcie trzymała się podrabianych dębowych półek.

Szedł teraz do kliniki, w jednakowym stopniu przejęty losem cierpiącego na niezbyt jelit sznaucera i własnym. Bo choć matka do wieczora zapomni o złożonej obietnicy, czuł, że powinien ją spełnić. Już kilkakrotnie odwlekał mycie kryształów. Wystarczyło w Zone Romantica znaleźć kłócącą się parę, aby uwagę matki na trwałe przykleić do ekranu. I robił to, z lekkimi wyrzutami sumienia odkładając na następny dzień moment, w którym jego nozdrza napęlił się obrzydliwą wonią octu lub amoniaku.

Niby żadna zbrodnia, myślał, przymykając na wszelki wypadek oczy przy placu Wilsona. Mała zmiana planów, i tyle... Ale dlaczego w takich chwilach czuję się jak własny ojciec? Uciekam...

Z dwojga złego Krystian wolał wdychać zniechęcony ocet niż być własnym ojcem. Nie mógł się tylko zdecydować, czy to dobrze, czy źle.

Pani Mariola jak zawsze poprosiła go o skomentowanie jeszcze krótszej mini.

– Krystianku, luknij! Czy w moim wieku wypada tak krótko? Bo słuchajcie – odwołała się do uwagi dwóch młodych asystentek – w takiej Ameryce to nawet babcie noszą mini. I myślicie, że ktoś się za nimi ogląda? Nigdy! Staruszki, mówię wam, po siedemdziesiątce nawet. A miniowa taka, że pupę widać! I nikt się nie obejrzy, nikt!

Krystian uśmiechnął się. I co w tym dziwnego? Też nie wodziłby wzrokiem za babcią z pupą na wierzchu, choć nie mieszka w Ameryce i nigdy tam nie był...

Pani Róża wchodzi do pomieszczenia swoich pacjentów tak cicho, że Krystian nie słyszy jej kroków. Za to koty witają ją przeciągłym miauczeniem, które sprzątacze niesłusznie odbiera jako naganę.

– Błagam was, trochę cierpliwości! – przemawia miękko do futrzastych pretensji. – Przecież się staram, jak mogę, żebyście tu miały hotel pięciogwiazdkowy...

– Na nic, Krystian, twoje prośby. – Pani Róża wyciąga z kojca rozkapryszonygo persa. – Kotom nigdy nie dogodzimy. Są nieprzeniknione i nieprzekupne. Spójrz na tego. Junior Admirala... Jego właścicielka, żona marynarza, myśli, że największą namiętnością jej pupila jest jedzenie. Tymczasem on tęskni za swoim panem. Ma objawy depresji. Stracił apetyt. Kulka strachu z podkulonym ogonem. Kota trzeba wysłuchać i zrobić dla niego to, na co zasługuje. Kochać po prostu.

– Marynarzowa ma z tym problem? – Krystian podrapał smętnego persa pod brodą.

– Ogromny. Dostała go w transakcji łączonej: pers i obrączka. A teraz oboje nieszczęśliwi, Admirala i żona... Kiedy marynarz opuszcza łódź, ona go tu przynosi na przechowanie pod pretekstem jakichś dolegliwości.

– Strach pomyśleć, co zrobi za kilkanaście lat ze swoim marynarzem. – Krystian błyskawicznie uporządkował klatkę i osowiałego zwierzaka wsunął delikatnie do środka.

Lekarka wyszła, a Krystian przysunął krzesło, aby jeszcze przez chwilę towarzyszyć opuszczonemu nieszczęśliwemu. Im dłużej wpatrywał się w liniejącą sierść persa i jego mętne oczy, tym boleśniej odczuwał dławiący ucisk w gardle. Bo w tej klatce, mógł to sobie doskonale wyobrazić, siedziała jego matka. Oddana na przechowanie do zaprzyjaźnionego geriatry.

Postanowił wrócić do domu szybciej. Ostatecznie zapach amoniaku nikogo jeszcze nie zabił, a czekanie na cud – niejednego...

Śródmieście. Cybermax

Zdaniem zaskoczonego Bruna ta cała Marta – ależ tupet! – zbyt wyniośle zaprasza do środka matkę i Agatę. Co za chamstwo!

Jest i Staś, uwięziony w żelaznych uściskach obu kobiet. Gdyby nie to, już by biegał, myśli Bruno z niechęcią. Źle reaguje na to rodzinne zamieszanie. Że tak bez uprzedzenia. Ale jest też zdumiony. Przecież Agata nie znosi tego miejsca. Wpadła raz czy dwa przy okazji wizyt u lekarzy, traktując biuro jak luksusową poczekalnię w centrum.

Matka pierwsza dostrzega niezadowolenie syna, choć starannie ukryte. Mityguje się, że właściwie to jej wina, chciała spojrzeć, jak syn się urządził w tym sercu Warszawy, w samym śródeczku. A Agatka taka miła, że od razu powiedziała, jedziemy mamusiu, nie ma co!

Rozgląda się teraz z podziwem dookoła. Cieszy się bardzo, bo pokój tu większy od burmistrzowego w odnowionym ratuszu. Można by tu taczka do pieca drewno wozić, tyle że pieca nie ma. Nowocześnie.

Źle matce w tym miejscu chromowanym, śliskim od szkła. Trochę jak na porodówce. Takie samo zimno jest też w sklepie rybnym w Szczytowej. Pewnie, że i przez kafelki, a jakże! Zawsze tam nieprzyjemnie, chłód ze ścian złazi i nogi jak pies liże, myśli Wolska, instynktownie się wzdrygając.

Agata dba o matkę. Podsuwa jej wygodny fotel, a potem z kiwającego się Stasia ściąga z trudem wierzchnie nakrycie.

Bruno nie może oderwać oczu od tej przykrew sceny. Wańka-wstańka, myśli z niechęcią, ale uśmiecha się zza markowych okularów, a nawet próbuje pomóc żonie.

Kiedy Agata zamawia u Marty kawę dla siebie i herbatę dla Wolskiej, on przygląda się sekretarce. Bezcelność i arogancja, ocenia w myślach, ale instynktownie nie uprzedza się do tej dziewczyny. Ma wszystko, co powinna mieć atrakcyjna kobieta, a jest jakaś taka... wybrakowana. Albo zbyt czytelna i przez to nudna – nie może się zdecydować. W końcu daje spokój rozważaniom i pyta teściową, czy tak sobie wyobrażała miejsce pracy syna.

– I tak, i nie tak. Pięknie tu, ale smutno jakoś. – Wolska śmieiej rozgląda się po wnętrzu. Szczery uśmiech znajduje dopiero wtedy, gdy zatrzymuje oczy na zdjęciu Stasinka z Agatą. Oj! Z tego przepychu wielkiego to zdjęcie najpiękniejsze! Dobrze, że jest takie ładne przypomnienie rodziny. Krzyżyka za to ani śladu, a taki mały ścianom wielkim by nie zaszkodził, udźwignęłyby przecież Pańską mękę, którą też czasami wspomnieć należy. Czy aby jednak Bronkowi nie przeszkadzają tym najściem, bo wiadomo, czas nie kierowca pekaesu ze Szczytowej, na spóźnionego nie poczeka, a ona już wszystko zobaczyła. Agatka kochana, że chciała ten pałac jej pokazać, ale może już dosyć? Czas wracać?

Bruno szarmancko protestuje. Chce nawet zawieźć matkę windą na inne piętro, z którego widok na Warszawę najlepszy. Jak z lotu ptaka.

Matka w śmiech, że dla niej wystarczy widok z lotu kury, bo do takiego przywykła, a jak choć o stopień wyżej, to się w głowie zakręci i trzeba będzie znowu brać aviomarin! Albo, nie daj Boże, plackiem by na tych królewskich posadzkach wylądowała, miałby z nią Bronuś dopiero cztery światy!

Marta ustawia filiżanki na stole, pobrzękuje łyżeczkami. Musi słyszeć to nieszczęsne „Bronuś”, wymówione przez matkę z bezmierną czułością. Słyszy, czarne brwi unoszą się łukiem zdziwienia. Ale poza tym twarz sekretarki pozostaje kamienna, wyposażona tylko w uprzejmy uśmiech. Jak kserokopiarka w papier, myśli Agata.

Przyłapuje męża na grymasie niechęci. Wcale mu nie współczuje. Patrzą na siebie badawczo, ale tylko dlatego, że oboje myślą o tym samym...

Wtedy też chodziło o matkę, kiedy Agata niecznie ją wykorzystała do nagle powziętej decyzji, że czas na zemstę.

Za co? Pewnie za numery komórek, przypadkiem znalezionych w notesie Bruna. Pod każdym numerem kobiecy głos. Za powroty nad ranem z delegacji, których nie było, ale najbardziej za bandę nonszalanckich drani z zarozumiałym Adamem na czele. Zepsutych pieniędzmi i sukcesami. Podejmowanych markowym alkoholem i cateringiem za bajońskie sumy. Rozwydrzone stado chamów...

Agata pamięta każde upokorzenie zaznane podczas tych wizyt. Dlatego kiedyś, gdy kolejny raut zbiegł się z wizytą matki, wbrew woli męża wprowadziła Wolską do salonu. Uprosiła, niechże nam mama opowie, jak to się Bronuś rodził. Jak to mama myślała, że prorok jakiś na świat się pcha, a Panienska Niebieska z obrazu za mamą na porodówkę poszła.

– A było tak, było! – Wolska najpierw lękliwie, ale potem już z ochotą pociągnęła wątek, rogiem chusteczki usuwając nadmiar łez wywołanych śmiechem. A łez przybywało, bo i wszyscy razem z nią się śmiali, na jej Bronka spoglądali radośnie, choć on jeden jakiś smętny siedział na kanapie. Tak ją to wtedy zdziwiło, że jedyny bez uśmiechu, ale co tu się śmiać, skoro już tyle razy tę historię słyszał, zwierzała się następnego dnia Agacie. I choć Bruno nigdy nie odniósł się do tamtej sytuacji ani słowem, to właśnie jego milczenie sprawiało Agacie największą radość.

Spojrzała na teściową, która w najlepsze rysowała ze Stasiem domek i las. Pozazdrościła jej tej prostej miłości do syna i wnuka. Tej ślepoty, z jaką Zofia Wolska w swoim zwyczajnym kochaniu przyjmuje bliskich, niepomna ich kalectwa. Przekonana, że tak widocznie musi być. Więc z jednakową troską posprząta pokój skacowanego Heńka i nakarmi rosołem Bruna, jedzącego głównie sushi. I tak samo cierpliwie pochyli się nad Stasiem, rozumiejąc jego słowa, których nikt nie rozumie. I w ten sam sposób spojrzy na nią, Agatę, widząc to, czego nikt inny nie dostrzega. Nawet jej rodzona matka.

– Pójdziemy już, mamusiu. – Agata delikatnie kładzie rękę na zniszczonej dłoni Zofii Wolskiej; sama nie wie, skąd się wzięła ta cholerna, jakże do niej niepasująca czułość...

Bielany...

Najgorsze jest to, że kiedy Iwanka wraca z pracy, Mykoły nigdy nie ma.

Nawet jeśli próbuje wrócić po nim, żeby się przekonał, jaki dom bez niej pusty i nieprzytulny, zawsze pierwsza przekręca klucz w drzwiach. Choćby z pracy szła pieszo, przez Kępę Potocką, sklepami, zabytkami, kościołami aż do odrapanego bloku z mieszkaniem wynajętym, będzie na miejscu przed Mykołą.

Może tak i lepiej, pociesza się, porządkując łóżko. Posprzątać zdążę, ugotować, palemkę podlać trzeba, bo ostatnio to tylko łzami.

Łzy...

Siada na rozpostartej kołdrze, nagle na siebie wściekła. Nie znosi tej nowej, rozmemlanej Iwanki. Roztrzęsionej jak kilkudniowa studzienina. Uległej. Czy przyjechała tu, do Polski, łabudać się? Krzątać po życiu Mykoły ze ścierą? Czy właśnie to jej obiecywał we Lwowie, gdy ukryci w ulubionej Sztuce szeptem planowali tę podróż przedślubną, matkom niemiłą, im samym ciężką? Wiadomo, że do pracy, nie na bal wyruszyła, ale z nim! Ze swoim Mykołą. Czującym, wrażliwym... Więc ta czułość gdzie? Ta ręka w rękę, serce z sercem... W szopie z burakami brudnymi? W tej klitce obskurnej, przesiąkniętej cudzą spermą?

Chciałaby się rozpłakać, ale nie może. Siedzi bezradnie na środku kołdry obleczonej w podartą poszwę. Wkłada palec w niewielką dziurę, która nagle powiększa się na jej oczach, obnażając pikowane bebechy pościeli. Jeszcze i to! Bezsilnie opada na poduszki. Jest jak ta poszwa, poskładana z rwących się nitek. Wystarczy lekko szarpnąć, aby puściły w szwach cienkie emocje. I wszystko na wierzchu!

Dobrze, że matka nie widzi takiej głupiej, płaczliwej, a jakże! Tylko przeprasza, że żyje albo jak ten murmyło, zacięta w sobie, słowa nie wydusi... czy to jeszcze ona sama, Iwanka?...

A gdzie tamta? Na koncertach widywana, w galeriach. W szpitalach grająca dzieciom chorym. Szalejąca na deskorolce po lwowskim parku, w Sztuce jak gwiazda oklaskiwana? Wreszcie i ta, co ją profesor Jurij Zabulewicz pierwszym skinieniem głowy witał, namawiał, by na uczelni pracę podjęła, bo talent zaniechany zawsze mścić się będzie?...

Jakże to dawno być musiało. Teraz dom stawia, nie z cegieł prawdziwych, ale z piramidy kisanących jarzyn. Gdyby profesor spojrział na jej dłonie, nie chciałby już takiej asystentki.

Zapagnęła sięgnąć do matczynej szafki ze świadectwami. W nich upewnienie, że kiedyś było inaczej. Ale nie wie, gdzie Anna Matwijkenko ukryła dowody jej niezależności. W tej czy innej szufladzie. Co za różnica. Na klucz zamknięte dyplomy, wyróżnienia, zdjęcia z konkursów i laury. Nie wolno ich tknąć. Matka nie znosi, gdy Iwanka sama po szufladzie buszuje. Trzyma tam również papiery taty. Po co, skoro go nie ma?

Uświadamia sobie, że i jej nie ma. Komu więc dawne triumfy potrzebne?...

Skrzypnęły drzwi. To Konrad. Jego głośnie kroki w korytarzu, fałszywe pogwizdywanie. Mykoła wchodzi szeptem. Tak cicho, że nawet nie skrzypi pod nim sztuczna podłoga.

Trzeba wstać, ogarnąć tu trochę. Za chwilę Konrad znacząco stuknie i bez zaproszenia zajrzy do środka. Pożyczy chleb, dwa jajka i trochę kawy. „Wsyp mi, Iwanka, do kubka – poprosi z tym uśmiechem niegrzecznego chłopca. – Taki dziś dzień kurewski, że nie było kiedy kupić. Jutro wam oddam” – obieca, choć wiadomo, znowu wyniesie się na tydzień, zapomni.

Ale czy musi być zawsze tak samo? – zastanawia się Iwanka, szybko sięgając po buty. Wciąga wąski golf. Chwyta torbę. Włosy związuje gumką. I jeszcze coś. Podchodzi do lustra i starannie pociąga usta błyszczkiem. Sprawdza, czy ma bilety. Jeszcze tylko klucze.

W przedpokoju zderza się z Konradem.

– Jajka i chleb są w kuchni – mówi, nie patrząc na sąsiada. – Kawa na górnej półce. Pożycz sobie. Jutro nam oddasz.

Siedząc w autobusie jadącym do Śródmieścia, przeżywa chwilę niepewności. Nigdy nie zostawiła takiego bałaganu. Nie wyszła bez wyjaśnień. Ale zamiast wyrzutów sumienia odczuwa satysfakcję. Kasuje bilet i razem z nim chwilowe poczucie winy. Tę kobiecą słabość, którą obarcza matkę. Zbywa z wyższością dwóch licealistów, próbujących zwrócić na siebie uwagę. Myśli z pogardą, że to błyszczak tak działa. Wystarczą dwa słowa z obcym akcentem, żeby ją obrazili lub zignorowali. Nie daje się wciągnąć w zaczepne rozmowy. Z uporem milczy.

Wyskakuje w okolicach Ordynackiej i rusza do rogu Szczygłej. Idzie na pamięć. Pierwszym razem szukała uniwersytetu jak kolczyka zgubionego na dyskotece. Przy odrobinie szczęścia może trafić na znajomego portiera. Wcześniej pomógł jej z ogłoszeniem. Na tablicy anons Iwanki powiesił, że nauka gry na wiolonczeli, w domu ucznia. I drukiem TANIO. A także numer komórki.

Obiecał też zająć się inną sprawą. Owszem, wie, że niektórzy instrument wypożyczają. Zorientuje się, jakie trzeba pismo naszemu kanclerzowi przedłożyć, również o cenę zapyta.

Z tej wdzięczności Iwanka aż cmoknęła go w policzek, miłego portiera. Oby dzisiaj miał dla niej dobre wiadomości. Zwłaszcza teraz, bo Mykoła już w domu, a nie dzwoni.

Iwanka markotnieje.

Nie taki miał być scenariusz ich *love story*. Gdzie jego strach o nią? Przerazenie, że coś się stało? Telefon nerwowy, pełen wyrzutów, jak mogła bez słowa, sama...

I wówczas ona mu wybacza. Tak! Bez żadnych wstępów i fochów! Skoro ją kocha, szuka, zamiast gniewać się na domowy bałagan, poszwę rozdartą, palmę niepodlaną i spanie plecami do siebie. Nic, tylko wybaczyć Mykołce za jego serce okazane.

Ale telefon milczy, więc pewnie wszystko mu jedno, gdzie ona jest, co robi...

Portier bezradnie rozkłada ręce. Starął się, u kanclerza był, jak dla siebie chciał, ale nie. Bo Ukrainka. Takie prawo, że tylko Polacy. Regulamin, znaczy się, obejmuje wyłącznie lokalnych muzyków. Jemu osobiście bardzo to nie odpowiada, bo przecież Unia, euro wspólne, świat globalna wioska, po sąsiedzku przymknąłby oko, ale kanclerz, jak by to ująć, ma literę prawa.

Podoba się portierowi ten podniosły ton. Miło mu z urzędu przesądzać o sprawie Iwanki. Że beznadziejna. Ale pomyślał o niej i tu jest kartka. Adres takiego profesora, który kiedyś na wiolonczeli wykładał, znaczy się studentom. Lubiany był, wiadomo, przedwojenny garnitur, nie to co teraz. Niech podejdzie, popyta. Profesor bardzo miły. Instrument na pewno ma. A kto wie, może się zgodzi na miejscu wypożyczyć? To by sobie spokojnie tam pobrzdąkała, u profesora Miodyńskiego.

Za oknami autobusu leniwa Warszawa. Nie wyrzuca już na jezdnię samochodowych wojsk. Szybkobieżnych rakiet tnących uliczne ciemności. Ciągną się po asfalcie światła, ale płyną wolno, dostojnie. Gdyby mocno zmrużyć oczy, można by udawać, że autobus krąży po Lwowie. Przedwieczorny spokój wszędzie podobny, ale tylko w jednym, własnym mieście dojedziesz do celu. Do swojej ulicy i kołymskiego kubka. Do sąsiadki, która jest głucha i zbyt głośno nastawia telewizor. Iwanka mruży zmęczone oczy. Tylko w jednym mieszkasz naprawdę. Nawet gdy cię w nim nie ma, nie szkodzi. Miasto pamięta, rozgascza się w tobie. Z zapisem ulubionych ulic, z matrycą sklepów i siatką zdarzeń przyklejonych do miejsc, które są jak kolorowe chorągiewki wbite w mapę wspomnień. Oznaczają małe pola zwycięskich bitew i klęsk.

Oczy Iwanki wyłuskują z ciemności coraz bardziej rozpoznawalną przestrzeń. Sklep spożywczy, wtopiony w mieszkania na parterze. Porzucony na rogu kiosk z gazetami. Jest i przystanek. Wysiada z ulgą. Szybko, jakby chciała uciec od beznamietnego spojrzenia młodej kobiety. Nic przecież takiego. Zagapiła się na Iwanke, bo na kogo, skoro autobus prawie

pusty. Ale jak ktoś za długo patrzy, nic dobrego. Babcia Łesia zawsze mówiła, żeby uważać, nie w każdym dobra dusza...

Mykoła spogląda gniewnie, ale milczy, pozwala jej zdjąć płaszcz. Dopiero wtedy pyta cicho, dlaczego to zrobiła.

Na jaką złość, do did'ka! Komórkę zostawić, rozplynać się, a tu codziennie w tej Warszawie kurewskiej gwałty, zbrodnie... Dzwonił do niej, a potem do tej baby, Wielkiej Pani. Chciał już na policję, ale za wcześnie, żeby zgłaszać, i zaraz by kłopoty z pracą, z pobytem.

– A ty – mówi, śledząc ją złym wzrokiem – zadowolona, widzę, szczęśliwa...

– A jakże – odpowiada mu, śmiechem perlistym się zanosi, na szyję rzuca. Przeprasza. Że nigdy więcej, obiecuje.

Jak nie cieszyć się, skoro miała rację! Wiedziała, że przerazi się, zaniepokoi, zadzwoni. Od tego tak wiele zależało, a teraz już nic, już dobrze. Trzeba zapomnieć o tej chwili nieładnej, gdy w myślach już walizkę pakowała, na dworzec chciała jechać. Do Drohobycza.

Niewiele z tego Mykoła rozumie, ale to i lepiej. Mniej rozumiesz, dłużej żyjesz. I na policję już nie musi. Tłumaczyć, mataczyć. A to najważniejsze...

Żoliborz

Agata opuszcza autobus z niewysłowioną ulgą. Drażni ją wszystko, co społeczność: portale, bloki z wielkiej płyty i transport. Dziś musiała zrezygnować ze wspólnej taksówki. Nie wytrzymałaby u Igi nawet kolejnych pięciu minut. Lepiej tłuc się po całej Warszawie niż bawić w spóźniony paniński wieczór. I jeszcze te jej nadęte znajome, a zwłaszcza Maria. Kiepska podróbka Igi. Tak na nią patrzyły, jakby wiedziały o Agacie coś, czego Agata o sobie nie wie.

Zwalnia, żeby ochłonąć przed spotkaniem z teściową. Subtelna różnica między Agatą trzeźwą a lekko wstawioną jest niemal niezauważalna, a jednak odzywa się w niej jakaś pretensja pod własnym adresem. Lubi Wolską, może dlatego?

Na ulicy ciemno. Wprawdzie w willi Bieluchów sączą się delikatne światła, rzucając mdłe cienie na ogródkowe szarości, ale to zaledwie smutna pamięć po dawnych czasach. Zanim Bieluch rozstał się z rodziną, lampki i latarenki na jego posesji radośnie rozświetlały ponury kąt ulicy. Teraz pogasły. Jakby na znak opuszczenia przez kapitana tego tonącego okrętu, myśli Agata i kieruje wzrok w stronę swojego domu. Okręt, w którym nigdy nie ma światła, myśli ponuro. I kapitana też brak – wzdycha.

Wciąż ma w oczach dziewczynę z autobusu. Nie mogły się nigdy spotkać, skąd więc to wrażenie, że ją zna? Lekko zalęknioną twarz, niepewne spojrzenie, ale i jakąś dojrzałą determinację, która budzi nieokreślony szacunek. Gdyby nie on, Agata uznałaby, że siedzi naprzeciw samej sobie. Ma o dwadzieścia lat mniej. Lubi milczeć i przyciąga ciekawskie spojrzenia. Tylko ten szacunek... Agata go nigdy nie budziła. Podziwiano ją, ale szacunek to inna sprawa.

Przychodzi jej do głowy, że może szacunku dla samej siebie uczą matki. Jeśli tak, nic dziwnego, że lekcje nieodrobione. Niedostateczny z poczucia własnej wartości.

Matka prawdopodobnie szacunkiem pogardzała. Uczyła ją życia. I wtedy gdy uspiła świnkę morską, choć wystarczyło okazać trochę cierpliwości w leczeniu. I wtedy gdy usunęła jej ciążę, wypruwając ją z Agaty ręką prywatnego ginekologa. Była pewna, że Agata spała, a wcale nie! Doskonale widziała pochyloną nad sobą matkę, wyrwijącą strzęp po strzępie z otchłani bolesnego brzucha. W tym akcie niszczenia niepodobną do samej siebie, rozczochraną, nieprzyzwoicie zafascynowaną wchodzeniem w głąb Agaty. Darcie, miażdżeniem... Ale to musiała być ona. Nikt inny nie zadałby Agacie aż takiego bólu...

Dawne czasy. Miała wtedy siedemnaście lat. Trochę mniej niż ta zalękniona dziewczyna z autobusu. Swoją drogą, ta mała byłaby niezłą modelką. Agata ubiera ją w wyobraźni w szafirową sukienkę. Z tyłu umieszcza kokardę i uśmiecha się z uznaniem do swego trafego wyboru.

Śródmieście. Pizza Hut

Mykoła omija wzrokiem Kamila. Nie znosi jego obecności. Do tego stopnia, że czasami z sentymentem wspomina skuter i obowiązki zwykłego dostawcy pizzy. Teraz ma bloczek, długopis zatknięty zawadiacko za ucho. Papierową władzę. Ale jak jest władza, to jest jej cena. Nie w hrywnach, nie w złotówkach. Awans kosztuje Mykołę znacznie więcej: znoszenie upokorzenia, którym Kamil wita go każdego dnia. Wzięcie na siebie jego obleśnych domysłów, rojeń pornograficznych, sumowanych rubasznym śmiechem. Bo Kamil najlepiej wie, dlaczego teraz razem pracują. Wiadomo, Mykoła musiał nieźle wyruchać szefową, ona to lubi. Każdy, kto przechodzi na stacjonarnego, musi ją wyruchać. Nie ma zmiłuj. Ten poprzedni, co tu był, też ruchał, ale widać słabo, skoro go szefowa po miesiącu zwolniła. Chłopaki się śmiali, że viagrę brał i nie pomogło. Widać w sprawie wypierdolenia szefowej medycyna bezradna jest. A jeden, ten z przyszczami, sam odpadł. Pewnie się domyślił, co mu grozi, i wolał spierdolić zawczasu. Zresztą Mykoła sam musi te lody wylizać. Jemu, Kamilowi, nic do tego. On by takiej starej foki nawet kijem nie tknął. To tak jak z pedałem się bzyknąć, choć wiadomo, pedałem śmierć to za mało! Dawno już ustalił, bo dumał nad tym osobiście, jak wytepić tę hołotę, pluskwy skurwysyńskie. Ale to by trzeba było zrobić taką ogólnokrajową dezynfekcję czy, jak to się mówi, zebrać do kupy wszystkie pedały, lesby i żydów...

– No nie, znowu zapomniałem o masonach! Nie gniewaj się, ale ukrasiów też, łącznie z ruskimi. Ciebie bym oszczędził – Kamil robi piękny wyjątek, ale oczy ma chytre, złośliwe. Wreszcie, po krótkim namyśle, dołącza do swojej kolekcji wszystkie stare ruchadła. – Je też do uspienia – decyduje – bo to jeden sort...

Teraz, kiedy Kamil z uśmiechem zagazowuje swoich wrogów, jednocześnie sprawnie pakując pizzę do tekturowych pudeł, Mykoła ma ochotę strzelić go w pysk. Przez moment wyobraża sobie, jak z nosa Kamila wytryska strumień czerwonego keczupu i kładzie się ozdobną warstwą na białym cieście pizzy. Ale zamiast tego nachyla się do okienka, żeby zamówić jeszcze trzy neapolitańskie z suszonymi pomidorami. Dobrze dopieczone, bo dla stałego klienta.

Póki przy piecach kręcił się Krystian, sympatyczny i życzliwy, uciążliwa obecność tego okropnego dupka aż tak nie raziła. I choć z młodym Polakiem Mykoła nie zamienił zdania na temat Kamila, choć ani słowem nie otarli się o jego temat, istniało między nimi żelazne i konsekwentne przymierze pogardy. Ten rodzaj emocjonalnej wspólnoty, który sprawiał, że i Krystian, i Mykoła pozostawali cudownie głusi na wszelkie zaczepki.

Szkoda, że nie wziął od niego numeru telefonu, kiedy odchodził – pomyślał Mykoła i zdziwił się, że dopiero teraz wpadł na ten pomysł.

Iga staje w drzwiach w asyście dwóch nerwowych mężczyzn. Obaj szybko i sprawnie kontrolują wnętrze. Świdrują spojrzeniem nawet spód dekorowanej pizzy. W pierwszej chwili Mykoła myśli, że to jakiś urząd. Sanitarny albo skarbowy. Instynktownie sprawdza, czy ma na głowie ten idiotyczny biały beret z fantazyjnym daszkiem. Kamil szybkim susem dopada przybyłych.

– Szefową widzieć to taka zawsze przyjemność! – wdzięczy się, wymachując nożem, ale Iga omija go wzrokiem.

Podchodzi do Mykoły, wprawiając w ruch niezliczoną ilość bransoletek. Jej oczy nie wyrażają nic, poza grzecznym zainteresowaniem. Pyta, jak sobie radzi.

– Dobrze. Chyba dobrze – poprawia się Mykoła. Chętnie powiedziała by więcej, ale wciąż słyszy nachalny głos Kamila. I te brzęczące bransoletki.

Szefowa pyta, czy on, Mikołaj, pamięta, gdzie się spotkali. Jej głos wciąż brzmi jak służbowe polecenie, ale wyraźnie bawi się zakłopotaniem Mykoły.

– Być może... – odpowiada po chwili namysłu. – Pewnie w klubie. Ale tam zawsze ciemno, a przerwy krótkie – dodaje tonem usprawiedliwienia.

Patrzy na Igę, ale nie znajduje żadnego potwierdzenia dla swych przypuszczeń.

– Przepraszam – wycofuje się – musiałem coś pomylić.

– Ale tę rozmowę o rozwożeniu pizzy to chyba pamiętasz? – Wzrok szefowej jest nieprzenikniony i Mykoła zaczyna instynktownie bać się własnych słów. Milczy.

Tymczasem ona, ta szykowna bizneswoman, świdruje go wzrokiem i mówi, że doskonale sobie przypomina, jak chwalił pracę w Pizza Hut, gdy inni przy stoliku śmiali się z jego skutera i termosu. „Muzyk od placków” – kpili.

Iga rezygnuje z badawczej miny i uśmiecha się wystudiowanie.

– No tak – kapituluje Mykoła. – To kojarzę.

Z bliska i w świetle majowego poranka twarz Igi wydaje mu się stara. Dałby głowę, że ta w klubie, zalotna, pewna siebie kobieta była jej młodszą siostrą. Zanim to sobie uświadomi, zaczyna rozumieć, dlaczego dostał biały beret, wyższą pensję i więcej czasu. Wtedy gdy w koncertowej przerwie z zapalem bronił swej posady, a nawet kurtki z pomidorem, zachował się jak ostatni idiota, promując firmę tej podstarzałej kocicy. Skąd mógł wiedzieć...

Po wyjściu Igi Kamil markotnieje. Jeszcze szybciej umieszcza blade placki w piecach, a gdy kończy ustawianie temperatury, spogląda na Mykołę z ironicznym uśmiechem.

– Trzeba było od razu, że ty jeszcze przed premierą bzykania szefowej. Ale, chłopie, to jeszcze gorzej! Najgorsze przed tobą – mówi ze zjadliwym uśmiechem i zaczyna znacząco ruszać pośladkami.

Powisłe

Iwanka długo zwleka, zanim uruchamia dzwonek. Brzmi piskliwie, a cisza po nim wydaje się jeszcze głębsza. Zza drzwi dochodzą odgłosy starczej krzątania. Szurające kapcie, skrzypiące drzwi. Zaczyna żałować, że tu przyszła. Cóż to w ogóle za pomysł! – karcie się w duchu. Sama, do obcego mężczyzny...

Mykoła, wiadomo, pomysłu nie pochwalił, skrzywiony słuchał jej tłumaczeń, że chciała, musiała, do muzyki tęskniła. I że bez gry to chyba wreszcie umrze.

Ramionami wzruszył. „Jak sobie chcesz” powiedział. Widać, że temu kaprysowi bardzo przeciwny.

A teraz również Iwance wydaje się, że miał rację. Jeszcze zdąży odwrócić się na pięcie od tych głupich marzeń. Wybiec na ulicę, zanim mrok korytarza przetnie mdłe światło, pełną z półotwartych drzwi.

– Słucham panią. – Miły starzec patrzy na nią wyczekująco. Ma aksamitny głos, który też nie pasuje do odrapanych ścian. Za to szczelnie przylega do właściciela, tak samo dostojny i drżący jak on.

Pytania Iwanki są chaotyczne i trudno zrozumieć, o co prosi. Zaczyna więc od nowa, próbuje powiedzieć, kim jest, ale brakuje prostych słów i znowu zawstydzona milknie. Drzwi otwierają się szerzej, zapraszająco.

Dopiero kiedy siada w starym fotelu, jeszcze speszona, ale oczarowana przytulnym wnętrzem, spokojnie wyjaśnia, po co przyszła.

Profesor długo milczy, tak się jej przynajmniej wydaje, bo słyhać tylko rytmiczne tykanie zegara. Dopiero teraz Iwanka uświadamia sobie beznadziejność tej wizyty. No nic. Próbowała. Zrobiła, co należało. Za chwilę wyjdzie i o wszystkim zapomni. Może tak i lepiej.

– Proszę więc tu przychodzić – słyszy. W momencie gdy już chciała przeprosić i zniknąć. Kartkę z adresem wrzucić do najbliższego kosza. Szybko przemierzyć trzy ulice dzielące ją od przystanku.

– Słucham? – Nie dowierza.

– Może pani przychodzić tu i grać. Najlepiej w poniedziałkowe popołudnia.

Profesor ciężko wstaje z krzesła i pozwala jej w samotności rozważyć propozycję. Po chwili wraca z wiolonczelą.

Kiedy instrument trafia do jej rąk, zaczyna rozumieć, jak bardzo za nim tęskniła. Wie, co trzeba zrobić, jakich użyć pieszczot, aby szybko znaleźć się w zespolonej jedności z rezonansowym pudłem, ze smukłym gryfem, udającym kawałek martwego drewna, póki nie spoczną na nim rozbiegane palce.

Profesor podaje jej smyczek, ale Iwanka przecząco kręci głową. Pyta o cenę; ile to będzie kosztowało, próbuje ustalić, skrepowana własnym pytaniem. Że obcesowe, myśli, do rozmów o sztuce nijak niepasujące. Brnie dalej, bo wiadomo przecież, że nie za darmo. W wypożyczalniach też się płaci i niemało wcale. Więc jak pan profesor to widzi, bo jest przygotowana na ukrycie kosztów...

Zaczyna się śmiać ze swego przejęzyczenia. O pokrycie jej chodzi, ma się rozumieć...

W autobusie, odprężona i szczęśliwa, analizuje jeszcze raz całą sytuację. Przemily ten profesor. Nawet Mykoła nie będzie gniewać się, że tak za jego plecami to wszystko uknuła. I tylko dziesięć złotych! Dwie godziny pracy u Wielkiej Pani wystarczą na muzyczny poniedziałek. Taniej być nie mogło. Chciała i więcej zapłacić, proponowała, ale profesor stanowczo nie i nie... Odmówił. Ot, złoty człowiek...

Bielany

Do mieszkania wpada jak zachodzące słońce. Resztką sił. Zdążyła przed Mykołą. Oj, szkoda, że pierogi udawane, znaczy gotowe, kupione na wagę w małych delikatesach. Dzisiaj święto, powinna sama polepić. Może i nieforemne, zbyt grubaśne, nabite farszem, że aż pękają, ale Mykołka takie właśnie lubi, chwali. No i przy domowych smaczniej by zabrzmiała jej opowieść o starym profesorze.

Kiedy pierogi leniwie wypływają na wierzch, a cebulka ze słoniną już zrumieniona, dzwoni telefon.

– Jak to nie wrócisz? – Iwanka markotnieje, zmniejsza gaz. – Przecież dziś nasz dzień, wspólny obiad...

Próbuje go przekonać, że jemu prób nie potrzeba, Torresowi z Lwowa. Po kuchni kręci się Konrad. Łakomie zagląda do garnka.

– No tak – kończy Iwanka z rezygnacją. Słońce nagle zachodzi i ciasna kuchnia szarzeje w pierwszym mroku. – Nic nie stało się – zapewnia jeszcze, ale nawet Konrad, taki niewrażliwy, powiedziec można szorstki, na te jej słowa uśmiecha się ze współczuciem.

Iwanka rozdziela pierożki na dwa talerze. Bierze swój, z kilkoma ledwie, ozdobionymi pachnącą cebulą.

– Zjedz na zdrowie – mówi do Konrada i cicho zamyka za sobą drzwi.

Kiedy staje w oknie pokoju, zdumiewa ją, że za szybami wciąż taki ruch. Ludzie śpieszą jak mrówki do swoich kopców. Zatrzymują się, wymieniają kilka słów i ruszają dalej. W gęstwinę ulic, do wind, na kolorowe parkingi, aby jak najprędzej pozbyć się zakupów, dziecięcych wózków i służbowych teczek. Może ktoś, na kogo teraz Iwanka patrzy z góry, też ma dzisiaj urodziny. Jak ona. Nic to, świętować samej.

Prezent sobie zrobiła, i to pierwszorzędnym. Niedługo poniedziałek, to wreszcie pogra. Ręce zapomną o burakach. Ramiona o sztafecie zimnych kafli. Nie ma co narzekać.

Poza tym inni pamiętali. Są esemesy. Od matki wprawdzie krótki, tylko życzenia szczęścia. Jakby spisała z gotowej kartki. Za to Oksana, jak zawsze, z przytupem! „Seksupieniędzysławydłazdrowiaizabawy”. A wszystko razem. Nic dziwnego. Dla niej praca i seks taka sama przyjemność. Szczęściara...

Może to sprawa tęsknoty za Oksaną, może znużenie ciasnym pokojem, Iwanka nie wie, ale musi wyjść. Chwyta płaszcz i torebkę. Konrad próbuje dziękować jej za pierogi, ale ignoruje go, bo właśnie nadjeżdża winda. Do małej kwiaciarni wpada zdyszana. Na szczęście jeszcze otwarta. Opuszczają z bukietem konwalii. Teraz maszeruje spokojnie w stronę cmentarza. Nie trzeba się już spieszyć. Babcia Łesia twierdziła, że każdy zdąży, chcesz nie chcesz, godzina twoja wybije, nie pójdziesz z dobrej woli, pójdziesz po niewoli, mawiała, bawiąc się paciorkami różańca. Kiedy niespodziewanie umarła, Iwanka długo nie mogła znaleźć sobie miejsca. Była pewna, że babkę Łesię kostucha ciągnęła po niewoli, oporną i buńczuczną. Wierzącą jak krowa babcinych sąsiadów prowadzona na rzeź.

Na cmentarzu życie... Wielkie porządki. Kwiatów sadzenie, pielienie. Gdzieniegdzie tylko ktoś cichy i nieobecny, pochylony nad świeżym grobem. Zadanie przed Iwanką trudne. Trzeba w lesie obcych pomników znaleźć ten jeden. Najlepiej przez ludzi zapomniany. Ale koniecznie, żeby w nim cicho spoczywała jakaś starowinka, choć trochę do Walerii Buryłko wiekiem przybliżona. Szuka cierpliwie. W końcu jej wybór pada na skromną mogiłę uwięzioną między okazałymi grobowcami. Na zardzewiałej tabliczce krótka wzmianka, że tu spoczywa Maria Polak. Podoba się Iwance nazwisko. Takie symboliczne. Jak Łesia Ukrainka. Tyle tu zielska i liści, że mogłaby sprzątać do nocy. Robi więc miejsce dla konwalii, usuwając

największe chwasty. Kładzie kwiaty na środku płyty, żeby ukryć pęknięcia. Pracuje tak zapalczywie, że nie zauważa kobiety, która pojawia się przy sąsiednim grobie.

– Długo nie poleżą – słyszy za plecami głos. – Zwiędną w try miga i znowu będzie jak w puszczy. Dam pani słoik.

Iwanka prostuje się, bierze podawane naczynie; co dalej?

– No tak, nawet nie wie pani, gdzie studnia – kwituje jej zakłopotanie kobieta. – Skąd to wiedzieć, jak się bliskich nie odwiedza. Proszę iść na koniec alei i w lewo – instruuje.

Iwanka posłusznie wykonuje polecenie. Trochę uśmiecha się do tego nagłego oskarżenia, trochę jej przykro. Babcia Łesia skwitowałaby takie nieporozumienie jak to ona, wprost. Nic po cnoście i pokorze na pańskim dworze, powiedziałaaby, poklepując się po brzuchu. „A ty, Iwanka, nie frasuj się, słowo nie strzała, a głębiej zranić może. Wiadoma rzecz...”

Kiedy wraca, przy grobowcu nie ma już nikogo. Płoną tylko znicze. Jeden z nich mruga kopącym światłem przy tabliczce z napisem „Maria Polak”.

Mykoła, przekręcając klucz w drzwiach, wstrzymuje oddech. Czuje się trochę jak niewierny mąż, co jest paskudnie irytujące. Ale przecież taką ma pracę. Do drugiej, trzeciej w nocy. A potem limitowana chwila snu, brutalnie przerwana budzikiem. I nie ma mowy o przekręceniu się na drugi bok. Jedyna pociecha, że znowu dali czadu. Przymyka z błogością oczy, myśląc o dziewczynach, które uwięziły go w ciasnym kręgu, żądając autografów i wspólnych zdjęć. Od jednej dostał nawet kwiaty, jak jakiś Pavarotti... Lawiruje po ciemku między meblami. Tak cicho i bezszelestnie jak jeden z kotów matki, ten rudy i przebiegły. Nie bardzo wie, co zrobić z tym nieszczęsnym bukietem. Nie będzie przecież szukał wazonu...

Ciemność rozbija słabe światło nocnej lampki.

– Jakie piękne – mówi cicho Iwanka. Prawie jej nie widać w wybrzuszonej pościeli. – A jednak pamiętałeś! – Uśmiecha się sennie. – A ja, szturmak, myślałam, zabudźko ten mój Mykołka... Albo dżentelmen. O urodzinach kobiety pamiętać nie wypada... Zaraz dla tych cudności wody przyniosę. A herbatkę wypijemy? – Już rozbudzona i szczęśliwa, z ożywieniem krząta się po pokoju. – Że nie wyśpimy się? Oj, to tam! Na starość spać będziemy! – szepce, zanurzając rozpromienioną twarz w kwiatach. – Ale że pamiętałeś... – Kiwa z niedowierzaniem głową, kierując się do kuchni.

Mykoła milczy. Najchętniej w ciuchach wskoczyłby do ciepłego łóżka. Chociaż nie, wolałby zdjąć z siebie to nagłe przygnębienie, rzucić jak brudny T-shirt. I dopiero wtedy poczułby ulgę...

Iwanka długo nie może zasnąć. Odgania natrętne myśli, ale wspomnienie minionego dnia uporczywie powraca. Więc najpierw Waleria Buryłko dziękuje jej, że tu wpadła. A konwalie to już nic dodać, takie ładne! Cała izba rozbrzmiewa radosnym szczekaniem jej pieska. Widać na te szczególnie odwiedziny ze swojej chmury zszedł. Tylko jakiś leciuchny, jakby z obłoku zrobiony, myśli Iwanka, kiedy bierze go na rękę i przytula.

A w kącie pokoju ten polski profesor, muzyk. Siedzi nieopodal pieca, zamyślony. Nie pasuje ani do dostojnej ikony, ani do przasných zapachów dolatujących z kuchni, w której perkocze kasza, gotowa uciec z baniaka. Iwanka chętnie zapytałaby go o wiolonczelę, ale nie ma śmiałości. Jak pytać o wiolonczelę przy kaszy...

Przysiada na starej ławie babci Buryłkowej. I psiak wskakuje na ławę, choć przecież nie waży ani grama. Gdyby zawisł w powietrzu, mniej by to ją zdziwiło. Ale zdziwienie jest tu, w izbie, wszechobecne.

Takie panuje tu zdziwienie, które nikogo nie dziwi, myśli Iwanka i uśmiecha się na przemian to do Walerii Buryłko, to do starego profesora...

Mogłaby tak siedzieć na tej ławie, czekać na sypką kaszę, która już-już, lada moment będzie gotowa. Ale w tym momencie słyszy głos Anny Matwijenko, wypytywającej Nazara, czy nie widział Iwanki. Owszem, widział.

– U matki mojej Iwanka – odpowiada Nazar. Jak to on, flegmatycznie.

A Iwanka od razu przeprasza uśmiechem. Swojego pieska głaszcze szybko po chmurnej sierści i biegnie na spotkanie. Pomaga matce wnieść do domu siatki z mięsem i warzywami. Ale kiedy ta zmierza prosto do kuchni i zabiera się do porcjowania produktów, Iwanka chyłkiem pędzi do salonu. Wyciąga z kremowego wazonu wiązankę od Mykoły i chowa ją w skrzyni wersalki. Lepiej, żeby matka nie widziała... Dopiero teraz odzyskuje spokój i głęboko zasypia.

Śródmieście. Konwiktorska. Stadion Polonii

W niedzielę, po barażowym meczu Polonii z Ruchem, Krystian, spoglądając na pustoszejący stadion, uświadomił sobie, że ojciec nigdy nie zabrał go na zawody sportowe. Sam bywał na wielu prestiżowych imprezach, wymagających specjalnych wejściówek. Zdarzało się, że dostawał dwuosobowe karnety, a jednak Krystian nie pamięta, aby wziął go na mecz.

Opuszczał stadion z *ciężącą* mu spóźnioną pretensją. Może wzięła się stąd, że obok Krystiana głośno kibicowali Polonii ojciec z synem, chyba studentem. Rozmawiali bez skrępowania o różnych sprawach, jakby piłkarskie widowisko było tylko pretekstem do wspólnego spędzenia czasu.

Zastanawiał się, dlaczego właśnie dziś powróciła tęsknota. Pewnie ze względu na miejsce, uznał, ruszając do wyjścia. Na trybunach dominowały zbite w przyjazny krąg grupki mężczyzn, zdarzali się kibice w towarzystwie dziewczyn, nie brakowało ojców z synami, ale Krystian dałby głowę, że nikt tu nie przyszedł z matką. Tymczasem on, jeśli gdziekolwiek pojawiał się w rodzinnej świątce, to zawsze tylko z nią. Czasami przesadnie strojną i tym różniącą się od innych, młodszych matek. Czasami zagubioną na szkolnych korytarzach albo w labiryncie sklepów w centrum handlowym. Wyjścia z mamą kosztowały Krystiana więcej niż ustawiczne noszenie ohydnych okularków. A najbardziej irytujące były wizyty w przychodniach zdrowia, gdzie mama z ogromną wiedzą i swadą rozprawiła o wszystkich jego bolączkach. W kolejce do lekarza obcy ludzie dowiadywali się o Krystianie takich rzeczy, że po latach wciąż reaguje na te wspomnienia krwistym rumieńcem. Miał piętnaście lat i anginę. Zanim jednak wszedł do gabinetu laryngologa, korytarzowi pacjenci jak jeden współczuli mu z powodu jąderka, które nie chciały się zstąpić. Czy jakoś tak.

Nie mógł gniewać się na mamę. Wciąż szukała właściwych słów, przedzierała się przez mroki spóźnionych uczuć macierzyńskich z jakąś zapiekłą nadzieją, że to właściwa droga. I nawet nie wiedziała, jak często przez nadmiar dobrej woli lądowała na manowcach.

Krystian pewnie łagodniej przyjmowałby te nieudolne eksperymenty matkowania, gdyby czasami przychodził z odsieczą tata. Gdyby stanął przy nim w swoim świątecznym mundurze, doskonale dopasowanym do smukłej sylwetki. Z *czarną* aktówką w dłoni, zawierającą tajne dokumenty, od których, tego Krystian był pewien, zależały losy świata. Tylko tyle. Wystarczyłoby, że ojciec stoi obok, nic nie mówi. Przemawiają za niego atrybuty ważności. Mundur i aktówka. Pagony metalicznie błyszczące w słońcu. Mocny kark i surowy wzrok, który przebijał Krystiana na wylot. Przebijał, nigdy się na nim nie zatrzymując...

To był dobry moment, aby uwolnić marzenia o własnym przyszłym domu. Pierwszą rzeczą, jaką zrobi kiedyś Krystian, będzie ucieczka z willi. Bezpieczne oddalenie się od baterii śmiertelnych kryształów, które od lat celują w jego serce. Zaprowadzi swą przyszłą żonę do niewielkiego pokoiku na poddaszu. Od tego zaczną. Potem kupią psa albo kota. Teraz, kiedy opiekuje się różnymi stworzeniami, wcale nie jest taki pewien, jakie zwierzę powinno z nim zamieszkać. A kiedy już pojawi się syn, nie przepuści żadnej okazji, aby z nim bywać w różnych chłopackich miejscach. Zwłaszcza na stadionie, wśród emocji, w strugach deszczu i w słoneczny skwar, wśród oklasków i triumfalnych okrzyków. Bo nic chyba tak nie uszczęśliwia, jak miłość prawdziwego kibica. Właściwie nie jest ważne, że sam Krystian nie potrafi być prawdziwym kibicem, skoro cała ich rzesza przekonuje go o istnieniu męskiego porozumienia. Nawet ponad wynikiem meczu. Wmieszał się w wolno podążający przed siebie tłum i zanucił bezgłośnie: „Nic się nie stało, Polacy, nic się nie stało...”

Żoliborz. Willa Bieluchów

Matka czekała na niego w salonie ubrana w granatową sukienkę, którą doskonale znał z corocznych Wigilii. Była tak obowiązkowa jak szpetna łysa choinka, kupowana zapewne przez ojca w ostatniej chwili.

Przeraził go ten kolejny dowód na zawodność matczyne go kalendarza, bo żeby aż tak pomylić pory roku!... Na szczęście niepotrzebnie.

– Ja taka ustrojona, synuś, czekam na ciebie, bo dzisiaj święto. Rocznicę ślubu – szepce z tajemniczą miną. – No, chodź tu do mnie, Krystianku, przytul mamę. Tyle to już lat minęło, jak twojego ojca poznałam na balu generalskim. Sama generalicja, oficerowie. I on wśród nich. Najmłodszy był. Silny jak dąb. Piękny jak posąg. Wcale nie myślałam, że ze mną zatańczy. Ale jak tango zagrali, podszedł, skłonił się... A ty nie rób takiej miny, niedowiarku, jakbyś myślał, że mundurowi sztywni, kłody drewniane! Już takiego tancerza jak tata to ze świecą w szkołach baletowych szukać...

Zamyśliła się, gładząc to pomarszczoną sukienkę, to poorany bruzdami policzek.

– Dobre lata były i złe, jak to w życiu. Ale ciebie to już sobie takiego mądrego wytańcowałam. I dobrego, synuś! Aż pomyślałam sobie, że choć rocznicę obchodzić już nie możemy, to chociaż sobie przypomnę o tym, co najlepsze było. I popatrz, prawie przecież nie chodzę, tyle co do kredensu, tam i z powrotem, a jednak nie przybrałam jakoś bardzo. Sukienka dobra jeszcze. Na bal może i niezbyt, ale posiedzieć w niej przed telewizorem, z synkiem powspominać dobre czasy, jak najbardziej można... A ty dokąd dzwonisz, synuś? Pizzę zamawiasz? Ale czy warto? Bo jakie to święto, jak my tu sami... No dobrze. To zjemy, choć ja za bardzo nie lubię. I nazwa taka... niestosowna. Kiedyś, w eleganckim świecie, to ludzie by się zaśmiewali, co też oni jedzą! Takie świństwa! Zwłaszcza mężczyźni. Wiem, co mówię! Im by się to kojarzyło, że ho, ho! To jeszcze podaj mi, Krystianku, tę broszkę z ametystem. Jak świętować, to przecież nie na golasa. I siadaj tu przy mnie. Powiedz swojej mamie, czy jakąś koleżankę już poznałaś. Czytałam, że koleżanki najlepsze na pryszczce. No już! Nie gniewaj się na starą matkę. Pięknego cię urodziłam, ale już cerę to ty po rodzinie taty masz. Ciotki wszystkie pryszczate były. I stare panny. Bo wiesz, Krystianku, nie każda rodzina szczęśliwa. Tak to już jest...

Żoliborz. Willa Wolskich

Zofia Wolska coraz częściej i tęskniej spogląda na zegar, ale poza odliczanymi rytmicznie godzinami trudno jej cokolwiek z cyferblatu wyczytać. W całym domu syna nie ma wiszącego kalendarza.

Jakże tak żyć? – zastanawia się Wolska, żałując, że swój zostawiła w Szczytowej. Nie dość, że wszystkie kościelne święta w nim wyłuskane, to jeszcze soboty i niedziele oznaczone wyraźnie. A tu? Kręci się Wolska po lśniących posadzkach i pojęcia nie ma, jakiego dnia tak się kręci! Świątek to czy piątek. W dodatku dni do siebie podobne jak krople wody. Bo żeby choć obiad niedzielny był. Rosółek domowy, a na drugie porządną sztukamię i kartofle. Nawet u Henia, moczymordy w końcu, co też bez kalendarza żyje, niedziela to zawsze święto. Czasem i krawat założy, wykąpie się. Na wódkę nie pójdzie, chyba że go koledzy siłą wyciągną. Tymczasem Broniek codziennie galant, a w niedzielę byle jak. W gaciach potrafi przesiedzieć cały dzień, nosa nie wyściubić ze swojego pokoju, nieogolony nawet...

Wolska przygląda się Agacie ze współczuciem. Bo i patrzeć nie można, jak torturuje pomidora na sałatkę. Niezwyczajna gotować, myśli, ale z pomocą nie śpieszy.

Jak kiedyś zrobiła obiad po swojemu, nikt nie tknął. A przecież pobiegła do sklepu, smalczyku kupiła. Na nim kotlety dopiero chrupiącej skórki dostają! I co z jej kuchennych starań? Synowa tylko spojrzała, nosek zmarszczyła... Broniek, że w mieście zjadł... Pewnie jakiego makaronu u kitajców, jak mawia ksiądz ze Szczytowej. Zawsze przeciwny cudzym zwyczajom, bo barbarzyńskie – nieraz grzmiał z ambony.

A tak się starała... Nawet sos biały, mączny, zasmażką wzbogacony naszykowała. Ze względu na umiejętność robienia tego sosu Wolski kiedyś ją za żonę wziął. A tu sos wzięcia nie ma. Jak był w garnku, tak i został. Jedzą inaczej. Wolskiej w głowie się nie mieści, że coś lepszego znajdują w tych zamawianych kartonach ze starym ciastem... Jak kiedyś dali jej spróbować, o mało co zębów nie straciła.

Kusi Wolską, by się przyznać przed synową do grzechu. Że ona już dłużej nie chce tu być. Koty same, zostawione na łaskę i niełaskę pijaków Halembów... Do Henia zajechać trzeba. Odłożyła parę groszy. Jak pieniędzy zawiezie, to może chłopak szybciej się otrząśnie, ustatkuje. Albo przynajmniej się odje. To znaczy ciepłe obiady na stołówce wykupi.

Czas, czas do siebie. W ogródku pogrzebać, na *Plebanię* spojrzeć, co tam Grzybowa znowu nawyczyniała. Skaranie boskie z tą kobietą, a jednak nie da się nie patrzeć i nie słuchać...

I w chwili gdy już Zofia Wolska uzbierała dość odwagi, by wspomnieć o wyjeździe, jak na złość Staś źle stąpnął, nóżkami się rozjechał, na śliską podłogę pacnął, a jego ból do serca Wolskiej się podniósł. Aż tam go poczuła. Więc zamiast z synową o powrocie na Pustki, Wolska dalej do Stasia. Podnosi, przytula. Po cichu modli się, żeby wnuk chociaż zapłakał z całej siły. Ale on nic. Pociera tylko czerwoną rączkę i jeszcze smutniejszy...

Teraz Wolska już nie wie, kogo najbardziej jej żal. Czy milczącego Stasia, który przecież cierpieć musi, a nijak o tym nie potrafi powiedzieć. Czy może Agaty. Bo dalej stoi nad deską, kroi warzywa, ale przecież gołym okiem widać, że i w niej ta sama boleść, co w synku. Też słowa nie powie, a wygląda na to, że razem z nim upadła. Że chciałaby wreszcie może i krzyknąć, ale wybiera tę cichą udrękę, tylko po jej chmurnych oczach widać cierpienie wezbrane.

No i wreszcie jest Wolskiej żal samej siebie. Tu nie ma dla niej miejsca. Co innego Stasia na Pustkach chować, dogadzać. Tam oboje byliby szczęśliwi. Ale że nieszczęśliwie urodził się w Warszawie, tu jego Pustki. I chciał nie chciał trzeba znowu wziąć go za rączkę, tę czerwoną, uderzoną.

I wejść w sam środek piekła z rozjuszonymi samochodami.

Bo spacer każdego dnia najlepszy lek na nóżki. Więc tuląc Stasia do wielkiej piersi, Wolska z trudem wkłada mu buty ortopedyczne, narzekając, że takie pokraki dla dzieciątka szyją, mój Boże, nic dziwnego, że ledwo w nich drepce.

Kiedy wychodzą, Agata przygląda się sałatce, ohydnej pulpie, która przypomina krwisty skrzep. Bez namysłu ciskają do kosza. Z trudnością odrywa od patelni spalone kawałki kurczaka, które też lądują w śmieciach. Dopiero wtedy odzyskuje władzę nad roztrzęsionymi dłońmi. Prostuje palce, czekając, aż przestaną drżeć. Znowu to samo. Łapy jak u pijaczki i cała szyja w plamach. Wróciło, choć zdaniem doktora powinna po dziesięciu sesjach odczuć ulgę. Odczuła ją tylko raz. Kiedy na zawsze opuszczała gabinet, płacąc za kurację bezczelnie duże pieniądze. Podatek VAT za każdą sylabę modulowanego głosu. I że gdyby wcześniej nie miała nerwicy, to po takim rachunku wyszłaby z murowaną riksacją.

Na szczęście są jeszcze tabletki przepisane przez poprzednika. Połyka dwie i popija wodą. Rozpuszczają się w ustach, a razem z nimi wielka klucha lęku.

Jest zła, że tak się spięła. Zabarykadowała w sobie. To zawsze prowadzi do chaosu. Wystarczyło zwyczajnie poprosić teściową: „Mamo! Weź dzieciaka do jakiegoś kościoła” mogła powiedzieć, „albo na inny plac zabaw” choć to by się teściowej nie spodobało...

Potrzebuję czasu, bo chcę otworzyć sklep. Jak to wreszcie zrobię, pozbędę się plam na szyi i kluch w gardle. Niepewności i strachu. Przeszanę codziennie umierać, tracić rozum i oddech. Nie mówią o mężu, którego też tracę. Taka się zrobiłam żalosna...

Powinna to powiedzieć, zamiast patrzeć z rosnącym stresem, jak ci dwoje wiją się wokół niej. Przytłaczają. Przeszkadzają żyć. Dlaczego akurat teraz, gdy tyle do załatwienia, wycena lokalu i dzierżawa, ekipa remontowa... A dziś mogła to wszystko od ręki! Paf, i po sprawie! Nie wczoraj, nie jutro, tylko właśnie dziś, kurwa mać!

Oczy Agaty omiatają ten sam cyferblat kuchennego zegara, kiedy Iga dzwoni do drzwi.

I jeszcze to! Że też nieszczęścia chodzą parami, a nawet w trójkę!

Igę bardzo martwi wygląd Agaty. Los pani domu! Wzdycha współczująco. Zamawia latte. Nie prosi o kawę, ale zamawia jak w restauracji, co Agatę doprowadza do furii. Z trudem ukrytej pod grzecznym skinieniem głowy.

Oto z czym przychodzi! – na stół spływają imienne zaproszenia. I może Agatka trochę ruszyć na salony, popatrzeć sobie, jak mocarstwa tekstylne wypowiadają wojnę Polkom niemodnym, głupim. Pojawia się więc Gapy i G-stary, Trele i Morele, żeby krótko rzecz ująć. W każdym razie Iga nie wie, nie jest pewna, czy to dobry moment na biznes Agaty. Bo czasy takie, że lepiej ciasteczka wypiekać albo zdjęcia rodzinne na kubki naklejać.

Właściwie tyle chciała Agacie powiedzieć, bo trochę szkoda, żeby do smoków Europy, grup finansowych, kampanii tekstylnych z tymi swoimi trykotami startowała. Natomiast latte, jak zwykle, doskonała.

Mówi jeszcze pośpiesznie, że trudno teraz biznes trzymać mocną ręką. Skarży się na złodziei w swoich restauracjach. Na tych cwanych skurwysynów, co psują firmowe skutery, spóźniają się z dostawami, jakies wieśniary wożą po mieście, kurwa mać, taryfę sobie jeden z drugim znalazł!

Twarz Agaty jest nieprzenikliwa, napięta. Tak bardzo, że Iga postanawia zapytać ją przy okazji, jakiego używa kremu na noc, bo całkiem, całkiem...

Kiedy wychodzi, Agata zostaje sama wśród rozrzuconych karnetów. Bierze w milczeniu jedno z ciasteczek, które wczoraj radośnie dla teściowej piekła. Nadgryza je lekko, ale wydaje się zbyt gorzkie. Bardziej gorzkie od ulubionych tabletek na uspokojenie.

Bielany

Iwanka podlewa palmę, pieczołowicie ogląda każdy liść.

Trochę rdzawa, pewnie za dużo wody; wzdycha, kierując niewielką koronę do słońca. Przez chwilę ma wrażenie, że sama siedzi w wodnych odmętach i rdzewieje. Wszystko przez to codzienne moczenie warzyw w zielonej brei.

Palma i warzywa, mokra jednostajność, tramwajem do bunkra. Winda do raju z odrapaną kuchnią...

A kasztany lwowskie już pewnie zaczynają wypuszczać seledynowe liście, palczaste jak dłonie. Na dziedzińcu uczelni gwar. Rewia futerałów. Przy tablicy ogłoszeń tłoczno i głośno. Biało od batystów, prześwitujących żorzet i trochę drętwo ze względu na studenckie garnitury. Po tej sztywnej elegancji od razu widać, że czas egzaminów.

Są i inne symptomy. Zarwane noce, bolące opuszki, ślady niewyspania. Jeszcze pośpieszna randka między zmudnymi etiudami. Więc ulubiona kafejka ze stolikiem pod ścianą. Kawa fatalna, ale z ciastkiem. Zawsze to taniej. Mykoła podsuwa sernik Iwance. Niby nic, ale trochę jest tak, jakby jej siebie ofiarował.

Po takim geście, po kilku spojrzeniach chce się do domu. Jak najprędzej. Na schodach zrzucać palta. Ściągać swetry nagłym deszczem przemoczone. Wpaść do wynajętej kłitki, nie bacząc na Oksanę, która drzwi za sobą szybko zamyka, przerażona, że spektakl się zacznie z jej udziałem. Runąć w trzeszczący tapczan. Ten udający dżentelmena, a jak wiadomo, gadatliwy, bo chrzęstem starczych kości krzyczy na pół domu. Donosi na Iwanke i Mykołę. Kpi z ich nieostrożności. Z rozkoszy, która ma otwarte oczy, pusty portfel i nic jej nie powstrzyma od pięknych występów. Rozkosz nienasycona. Podjudzana bliskością ciała.

Do tego tęskniła?

Siada przerażona na łóżku i zastanawia się, jak długo Mykoła stoi w drzwiach, taksując ją badawczym spojrzeniem.

– Zmęczona? Spałaś? – Patrzy na rozkopaną pościel i na rumieniec, rozlewający się zakłopotaniem po jej twarzy.

– Trochę – odpowiada drętwo. Głos jeszcze do niej nie należy. Gdzieś się zapodział. Pozostał w tamtym miejscu, przy tamtej dziewczynie. Teraz trzeba go szybko odzyskać, aby jej nie wydał, nie wspomniał ani słowem, dokąd się wybrała w ciągu tej chwili nieuwagi.

Wstaje, by odgrzać wczorajszą zupę, doprowadza do porządku zmierzwiłone włosy, a nawet uśmiecha się jakby nigdy nic. A tamta, w jej środku, taka szczęśliwa... Wciąż szepce jakieś podziękowania i wykrzywia się drwiąco, gdy Mykoła pyta, czy aby na pewno z nią, Iwanką, wszystko w porządku.

Śródmieście. Pizza Hut

Tym razem na widok szefowej Mykoła jest mniej speszony. Próbuje nawet żartować, dopytując, czyją rozczarował i stąd jej nieobecność na ostatnim koncercie.

Iga zaprzecza uśmiechem, ale wciąż nie wiadomo, po co przyszła. Trzech klientów awanturowało się ostatnio z powodu późnej realizacji zamówień, ale to już nie Mykoły kłopot. Kiedy pracował jako dostawca, raz tylko się spóźnił, przez psa, który wpadł pod skuter. Zastanawia się nawet, czyjej o tym nie opowiedzieć, ale szybko się strofuje za tę chęć spoufalenia. Nie do anegdot drogowych tu go wynajęto.

Siadają w restauracyjnej salce, o tej porze pustej.

– Przydałoby się jakieś malowanie. – Iga z niesmakiem omiata spojrzeniem ściany, tynkowany talerz z nieapetycznym plackiem płam.

– Jeśli pani życzy sobie, mógłbym odświeżyć. Dzień, dwa i gotowe. – Mykoła podąża za jej wzrokiem.

Ależ nie! Tym zajmą się inni. Ona w prywatnej sprawie. Bo tak jej przyszło do głowy, że może zna jakąś ukraińską dziewczynę, która jest w Polsce, pracy szuka. Chodzi o koleżankę, zaznacza, zapalając cienkiego papierosa.

Przez chwilę zawisa nad Mykołą wąska strużka dymu.

– W każdym razie jest dobra praca dla porządnej ukraińskiej dziewczyny. Pensja i obowiązki do uzgodnienia.

Mykoła musi uważać, żeby nie odganiać kłębków dymu zmierzających w jego stronę. Po dłuższej chwili mówi, że chyba mógłby pomóc. Zna taką osobę. Z tego co się orientuje, ma jakieś zajęcie, ale wiadomo, na lepsze chętnie przystanie.

– To ktoś dobrze ci znany? – Papieros Igi stawia znak zapytania.

– Koleżanka ze Lwowa. Też gra. Na wiolonczeli. Mykoła nie wierzy, że tak powiedział. Koleżanka...

– To nie wiem. – Iga wzrusza ramionami. – Ma być sprzątaczką, nie artystką.

– W Polsce my wszyscy sprzątacze, nie artyści.

Milczenie Igi trwa krótko. Zgrabnie radzi sobie z zaczepnym serwem Mykoły. Przerzuca jednym tchem piłkę słów na jego boisko.

– Skoro tak, niech się ta twoja sprzątaczką ze mną skontaktuje. – Gasi niedbale niedopałek i kładzie swoją wizytówkę tuż przy nakrętce słoika.

Powisłe

Iwanka czuje treść. Jak przed egzaminem.

Łatwiej, gdyby samej spróbować, bez świadków, myśli. Ręce zgrabiłe, dawno nie ćwiczyła. Przyjdzie jej trumkać. Jeden wielki wstyd.

Z drugiej strony nie wypada gospodarza wypraszać. Z własnego pokoju go rugować. Jeszcze większy wstyd.

Problem sam się rozwiązuje. Starszy pan stawia przed nią parującą herbatę i przeprasza, że pójdzie do siebie. Tam posiedzi. Poczyta. A ona niech w tym czasie zaprzyjaźni się z Felicją. Miał także żonę Felicję. Póki żyła, śmiał się, że jak sułtan, dwie Felicje poślubił. A teraz to już tylko ta, drewniana, mu została.

Wychodzi, szurając łapciami, szczerze owinięty niemodnym tużurkiem. Mimo to Iwanka jest głęboko przekonana, że chyba nigdy dotąd nie spotkała tak eleganckiego mężczyzny.

Gra Maksa Brucha. Samą rzewność. Smyczek niepewnie podąża śliską drogą strun, lekko drżąc. Początkowo przekorny, nieustępliwy, ale z każdą nutą łowiący coraz głębszy dźwięk. Aż wreszcie usta Iwanki rozchylają się w uśmiechu zadowolenia.

O dwa piętra niżej przecina zapadający zmierzch pośpiesznie idąca para. Tuż pod oknami, z których płyną dźwięki, mężczyzna przystaje. Milkną na moment wysokie obcasy jego towarzyszki, ale nie jej opowieść. Nieskładna, o wspólniku, biznesie i aranżacjach wewnątrz, o durniach, co za przybicie obrazka płacą jak za zboże, ci nowobogaccy!

– I uwierz, Bruno, że teraz najwięcej na ludzkiej głupocie zarobisz. W szufladzie magisterium, ale do kupna ścierki stylisty potrzebny. Proszę bardzo! Idę i kupuję ścierkę od Lidia. Nie zgadłbyś, jakie tam ściery potrafią być drogie, gdy wystawiam rachunek...

Bruno marszczy czoło. Drażni go krzykliwy głos Ilony, konkurujący z wiolonczelową frazą. Chce, aby zamknęła dziób idący na wojnę z delikatnością czyichś palców. Z tęsknotą pobrzmiwającą z obcego mieszkania. Ilona instynktownie milknie, ale nie zamierza pozostawić Bruna pod jakimś beznadziejnym oknem z nieładnie półotwartymi ustami.

– Powinni je wymienić. Na jakieś dźwiękoszczelne – ocenia półgłosem, zadzierając głowę.
– Silniejszy wiatr i cała ta orkiestra zwali ci się na głowę – mówi, zadowolona z osiągniętego celu.

Bruno pozwala prowadzić się dalej, w stronę skrzyżowania, za którym czeka przytulne mieszkanie kochanki z jej liniejącym kotem.

Żoliborz. Klinika weterynaryjna

Swoją drogą, nie ma w tym chyba przypadku, że pani Mariola specjalizuje się w ptakach, pomyślał Krystian, czując, jak lekarka znowu delikatnie, ale znacząco ociera się o jego plecy. Gdyby to jeszcze któraś z asystentek, na przykład ruda Hania... Ale ruda Hania ma wesołego chłopaka, który codziennie podjeżdża po nią motocyklem pod klinikę. Wkłada kolorowy kask, z trudem poskramiający jej piękne włosy, i wtula się w swojego mężczyznę. Dokładnie tak, jak tego pragnął Krystian.

W pieszczotliwych zaczepkach pani Marioli, w jej szukaniu wzrokowego kontaktu i łaszących się spojrzeniach nie ma śladu uczucia! To najbardziej Krystiana zdumiewa. Niepokoi go również wybór. Bo dlaczego on, skoro na korytarzach aż się roi od przystojnych i odważnych mężczyzn?

Początkowo sądził, że budzi w pani Marioli, osobie bezdziejnej, jakiś rodzaj macierzyńskiego niespełnienia. Jednak niewinne gesty, świadczące o sympatii dla sprzątacza, zaczęły przybierać na sile, aż stały się irytującym sygnałem kobiecej drapieżności. Pani Mariola w tym damsko-męskim zamieszaniu, jakiego była sprawczynią, odnajdywała się wybornie. Z wdziękiem kocicy niemal niedostrzegalnie przekraczała granicę prywatnej przestrzeni Krystiana, aby w odpowiednim momencie ją opuścić i nadać kolejnemu incydentowi wymiar przyjacielsko-towarzyski.

Kot i mysz, myślał Krystian; że też zawsze w życiowych grach przypada mu rola ofiary! I choć obiecywał sobie solennie, że kiedyś celnym słowem zgasi raz na zawsze erotyczne iskierki w oczach specjalistki od ptaków, wciąż starannie ukrywał irytację. I milczał.

Tymczasem Hania już kilkakrotnie mu się śniła. Którejś nocy przeżył niemal na jawie okrutny koszmar, gdy ją zobaczył spadającą z motocykla na placu Wilsona. Spod koła bryznęły makabryczne krwiste strzępki, a kolorowy kask z trzaskiem wylądował u stóp Krystiana. I znowu tylko on wiedział, kto znalazł się tak nieroztropnie na śmiercionośnym pasie, tylko on ruszył na ratunek, gdy inni udawali, że nic się nie stało. Ale w tym momencie jak na złość mama zawołała go na obiad. Stała po drugiej stronie ulicy i tak dramatycznie skandowała jego imię, że musiał do niej podejść. I oczywiście to, jak idzie z nisko opuszczoną głową, z wielkim poczuciem wstydu, wszyscy widzieli. Tłum odprowadzał go wzrokiem aż do ramion matki, które się na nim zatrzasnęły głośno i nieodwołalnie.

Na dworze już dniało. Schodząc do kuchni po kubek mleka, dostrzegł światło w salonie. Zajrzał i zdziwił się na widok mamy. Siedziała w fotelu, pochylona nad tabletką klonazepamu. Drżała. Wpatrzona w pigułkę, prowadziła z nią jakąś osobistą wojnę. Może szeptała w jej stronę oskarżenie? Może negocjowała kolejną spokojną noc bez jej udziału?

Wycofał się, życząc mamie wygranej, ale był pewien, że oboje do rana już nie zasną.

Na szczęście Hania wyglądała ślicznie. Siedziała w turkusowym fartuszkach i koronie płomiennych włosów na murku przed kliniką i paliła papierosa. Krystian pozazdrościł jej chwili błęgiego lenistwa. Nie zważając na niezadowolenie pani Marioli, wyłączył sterylizator, błyskawicznie opróżnił kosze na śmieci i szybko opuścił gabinet zabiegowy. Hania usłudnie posunęła się na murku.

– Chcesz fajkę? – zapytała, nie otwierając oczu.

– Nie palę.

Pożałował, że nie pali. Byłoby świetnie odpowiedzieć jej potakująco.

– Dyrektor cię chwalił. Mówił, że buldożka zoperowana po mistrzowsku.

– Przesadza. – Hania na moment otworzyła oczy i błysnęła krótkim uśmiechem. – Poza tym to mój ojciec. Bezcenne są tylko pochwały wrogów.

– Czasami ma się ojca i wroga w jednym.

– Na szczęście czasami – powiedziała, wracając do leniwego bezruchu.

Krystian docenił jej skromność. Znali się kilka miesięcy, a nie miał pojęcia, że to córka szefa. W przeciwieństwie do eleganckiego tatusia nosiła obszarpane dzinsy i ciężkie buciory, nie wspominając o tatuażu, który nie wiadomo gdzie brał swój początek. Krystian mógł podziwiać tylko zwieńczenie rysunku, wylewające się z rękawa jej kitla. Dopiero teraz uświadomił sobie, że dyrektor też jest rudy, ale na tym podobieństwie musiał poprzestać.

Żoliborz. Willa Wolskich...

Zofii Wolskiej drętwieje ręka, ale nie wypuszcza dłoni wnuka, pajęczka wczepionego w sieć jej palców.

Oboje my tchórzliwi, nie na miasto urodzeni, myśli, prac z duszą na ramieniu na drugą stronę ulicy. Jest niemal pewna, że gdyby nie opieka Najświętszej Pani, teraz gospodarującej samotnie na Pustkach, już kilka razy przepołowiłyby ją i Stasia bezduszne samochody. Zauważyła, że człowiek tu niczym dla rozpędzonych maszyn. Jeżeli w ogóle stają, to przez wzgląd na światła, nie ludzi. Dla światła ma Wolska wielkie poważanie, przekonana, że to jedno z ważniejszych Bożych dzieł. Tam, gdzie kończy się sygnalizacja, bierze początek piekło.

Spacer do pobliskiego kościoła to Wolskiej czas codziennego rachunku sumienia, podczas którego ze zgrozą wspomina wszystkie popełnione ostatnio grzechy i przewiny. A to, że wczoraj o Agacie źle pomyślała. Że taka z niej matka nie matka. I chimerzysta nadto. A to, jak mało o swych kotach myśli, nie ma o nich żadnej wieści. A sąsiedzi, wiadomo, nie daj Boże, znowu zapiją, kotom na śmierć głodową poprzez zapomnienie. I to wreszcie, że Bronka, syna przecież z niej urodzonego, kochać zwyczajnie nie potrafi. I ciągle mu we własnej głowie jakąś pretensję wynajduje. Najczęściej Heńka, bo gdyby Bronek choć trochę chciał bratu pomóc, to już na resztę jego wad machnęłaby ręką. Oj tam! – pomyślałaby, nikt nie jest doskonały. Nawet proboszcz ze Szczytowej swoje za uszami ma. Tak na tę nową ambonę zbierał, że i na samochód starczyło. Ale Bronek nawet słyszeć o bracie nie chce i każdą rozmowę o nim kwituje zjadliwym uśmiechem. Jak więc ma dać mu to matczyne grzechów odpuszczenie, kiedy on mściwy niczym Kain, kuksańców z młodości wybaczyć nie umie...

Przed skrzyżowaniem Wolska staje. Spogląda z niepokojem na światła. Gdyby tak Jezus na swojej drodze krzyżowej miał światła, zastanawia się, choćby jedno na *szczybie* Golgoty... Może nie musiałby cierpieć. I znowu tylko głupstwa w durnej głowie – gani się, mocniej ściskając rączkę Stasia.

Jeszcze nie zdążyła przeżegnać się w myślach, a tu młodzieniec z sąsiedztwa! Nie darmo Agatka tak go lubi. Wesoło żartuje, ale pomaga Wolskiej zrobić pierwszy krok. T już ulica pustoszeje. Można przejść bez patrzenia na boki, wolno i dostojnie, a nie jak to zwykle ona, pełnym pędem na drugą stronę, z zadyszką, po której trzeba znowu stać, dochodzić do siebie.

A ten anioł stróż nawet podziękowań słuchać nie chce. Też tam szedł, mówi, czochrając jasne włosy Stasia. I jaki miły na buzi... Pryszczę jeszcze się go trzymają, ale mimo to urodziwy – konstatuje szczęśliwa Wolska.

W kościele Staś cichy się robi, że jakby wcale nie oddychał. Widać dobrze mu tutaj, wśród wielkich figur wyciosanych czyjąś pobożną ręką. A bardziej od nich lubi ciężkie obrazy, takie kolorowe, z dużymi twarzami, na których mieszka wielkie strapienie i smutek. Oczy wszystkich świętych zawsze w patrzącego wymierzone. I nie uciekniesz od tego ich wzroku, choćbyś się pod posadzką zimną skrył, myśli Wolska, bojaźliwie omiatając wzrokiem kościelne sklepienia. Ale mimo bezdusznej obojętności zimnych murów dobrze tu Wolskiej i Stasiowi. Ludzi mało, jakby powodów nie mieli przyjść, wdepnąć choćby na minutę. To prawdziwy dziw – Wolska w zdumieniu aż kręci siwą ondulacją – żeby kościoły pustką stały, kiedy na świecie same nieszczęścia. A tu jak znalazł, wstąpić, podziękować albo i ponarzekać. No i poprosić. Kogóż prosić, jak nie tych, co mają do dyspozycji tyle cudów. A nuż uda się dla Stasińki wyżebrać trochę chęci do życia. I żeby nie był taki nadwątlony, bo trudno mu będzie uradzić ciężarowi łaski Pańskiej.

A i teraz oboje ze Stasiem mają za co dziękować. Znalazła się dziewczyna, która przyjdzie, zajmie się małym. Daj Boże, aby tylko uczciwa i dla dziecka dobra, bo Staś nie do podziwiania, ale do kochania to już się urodził na pewno.

Wolska wyciąga z kieszeni płaszcz podróżny różaniec. Przekłada bezszelestnie sznur paciorków, popatrując na wnuka.

A może on księdzem zostanie? Spokojny taki i opanowany. Aż się uśmiecha do nagłej myśli, która wiele wyjaśnia. Niemal wszystko! Wizytę Panienci na porodówce, pijaństwo Heńka, co je może ten bratanek maleńki modlitwą kiedy odmieni. A kto wie, jak już tak się zamodli rodzinnie, to i wyprosi może jakieś łaski dla Wolskiego, bo pamięć po nim pozostawia wiele do życzenia. Przez życie puste, nikomu niepotrzebne. No, jeszcze kiedyś, w czasach gdy synów płodził, jakieś cele ważne po głowie mu chodziły, ale szybko w kanapę się zapadł, a jak nawet z chałupy wyszedł, to tylko na wódkę, w tym jednym go dzieci wyręczać nie musiały. Dobrze, że chociaż żywot byle jaki nagłą śmiercią zakończył, jaką to śmierć sama wieczornymi pacierzami dla niego wyprosiła. Więc i teraz nieśmiało usta składa do kolejnych próśb. Trochę w intencji Stasia ich ma, ale też myśli podziękować za tę obcą dziewczynę, co pracy szuka i niech znajdzie, na Boga, niech zastąpi ją wreszcie i pozwoli wrócić do siebie.

Bielany

Iwanka włożyła białą bluzkę i granatową spódnicę. Tak samo wyglądała na koncercie absolwentów. Skromnie, ale wszyscy chwalili. Po jej solowym występie profesor napomknął o pracy. Wtedy odmówiła ze śmiechem. Nie było takiej uczelni i takiej asystentury, która wygrałaby z marzeniami o Mykole i Polsce. A dzisiaj patrzy na siebie krytycznie, naciąga fałdy spódnicy i modli się, żeby pozwolono jej sprzątać, babrać się w cudzych brudach, tyrać do nocy... I już się nie śmieje, nawet nie uśmiecha.

Kiedy mija kościół, pokracznie górujący nad zgrabnym osiedlem, przychodzi jej do głowy, że może zgromadzeni tam święci polscy, z przyzwoitą rzymskokatolicką metryką, zasiedzieli tu od wieków i rozpieszczeni modlitewnym żarem, niejednym pochlebstwem mniej lub szczerzej wypowiedzanym, będą bardziej skuteczni niż ci wlepieni w ikonostas, drżący i niepewni swej mocy. Co innego polscy święci. U siebie, na własnych metrach świętości. Zwyczajni codziennego trudu wysłuchania, ocalania, znajdowania tego, co zgubione, przywracania do zdrowia, rozumu. A jeśli potrzeba, to i negocjacji się podejmą z racji swych heroicznych ran i śmierci.

Siada w przedostatniej ławce. Czuje, jak chłód ciągnący od posadzki dobiera się do jej bluzki. Przenika biel niewidzialnymi mackami i omiata lodową pieszczotą ciało. Jest w tym ataku zimna coś nieprzyzwoitego, aż cierpnie skóra.

Nawa świeci pustkami. Z tyłu kiwają się w rytm szeptanych litanii dwie gołębie głowy. Przed Iwanką mężczyzna. Nie stary, nie młody. Twarz wprawdzie ukrył w szerokich dłoniach, ale rozpacz wyziera z całej jego postaci. Po drugiej stronie siwa kobieta z dzieckiem. Dziecko pasuje do kościoła. Jakby też wyrzeźbiono je z marmuru i posadzono tu dla ozdoby.

Słowa modlitwy rozbiegają się po ogromnej przestrzeni, chowają pod ławkami jak niesforne dzieciaki. Iwanka nie może się skupić. Ogarniają zniecierpliwienie, bo nagle nie znajduje w sobie pokory potrzebnej do zwierzeń. Pustka w głowie.

Myśli więc o niedzielnych mszach w cerkwi. O ojcu. On zawsze potrafił rozmawiać z Bogiem. Milczał, nawet nie śpiewał, ale w jakiś niewytłumaczalny, głęboki sposób współistniał z otaczającą go mistyką. Trochę jak to dziecko marmurowe, oglądające teraz uważnie swoje małe rączki. A matka nie – odkrywa nagle Iwanka. Ona nigdy się nie jednała. Jej szczupłe, sztywne ciało w odświętnym płaszczu niby siedziało obok, czasami ją karcilo za rozglądanie się, ale Iwanka była niemal pewna, że na czas ceremonii matka potajemnie opuszczała swoją garsonkę, płaszcz, wreszcie rodzinę i oddalała się w nieznanym kierunku. Jakby sądziła, że każde zespolenie musi skończyć się bólem i rozpaczą. W cerkwi nerwowa, kręcąca się, nieuważna. Całkiem przeciwna tej poukładanej, zawsze perfekcyjnej nauczycielce, chodzącej w uniformie doskonałości.

Iwanka popatruje po kościelnych figurach i obrazach. Chciałaby trafić na kogoś znajomego, swojskiego. Komuś tu zaufać i zawierzyć. Ale pora pewnie zła. Święci zajęci sobą. Trwającą wieki nieruchomą wielkością. Gdzie im tam schodzić na chwilę z ołtarzy do ukraińskiej dziewczyny...

Pochyla głowę i robi znak krzyża. Zawiesza dłoń, strapiona gorszącym spojrzeniem dwóch starszek.

Na dworze ogarnia ją śmiech. Dla tych parafianek ona – diabeł w białej bluzce. Przyszła, zbecześciła, krzyża Pańskiego zaniechała. Oj, powiedziałyby babcia Łesia, *do czeho bykprywyk – to i w czeredi ryk...*

Żoliborz. Willa Wolskich

Agata częstuje Iwankę kawą.

Od czasu gdy dziewczyna przekroczyła próg domu, ma wrażenia, że ją zna. Niemal na pamięć. Za tą myślą nie stoją jednak żadne skojarzenia. Ani dobre, ani złe. Może tylko wciąż niezaspokojona ciekawość każde jej bacznie przyglądać się delikatnej blondynce.

Iwanka przyjmuje zainteresowanie w sposób naturalny. Z tym większym spokojem, że w oczach Agaty nie znajduje obojętności czy niechęci, do których już przywykła. Zdążyła się nauczyć robić miejsce dla tutejszych w każdej publicznej przestrzeni. Czasami wystarczy zamknąć oczy, innym razem zejść z oczu. Na szczęście tu nikt od niej takiej dezercji nie wymagał. Przeciwnie. Agata prosi, by opowiedziała o sobie, i z uwagą słucha.

Dla Iwanki to jak egzamin. Lekcja dyscypliny. Zdania są krótkie, rzeczowe. I dba, aby cały czas mieć pogodny wyraz twarzy. Drohobycz, trochę Polski, trochę Schulza, potem Lwów. Wiolonczela, akademia, matka, nauczycielka muzyki, śmierć taty.

Mykoła...

Iwanka po raz pierwszy opuszcza wzrok, ale szybko, zbyt szybko dodaje, że to kolega z akademii, dobry znajomy. Przyjechał tu zarobić, niby jako jazzman, ale wiadomo, sama gra nie wystarczy, więc ma dwa etaty. Eliminuje wątek Mykoły i opowieść wskazuje na stary tor. Wyjazd do Polski. Marzenia. No i Warszawa. Pierwsza praca u Wielkiej Pani, znaczy się, gospodyni. Dużo roboty, z domem, ogrodem, warzywami, ale poradziła... Tyle tylko że porozmawiać nie było z kim, bo jakże to, z warzywami... Agata się uśmiecha, a Iwanka cieszy z odkrycia, że mają podobne poczucie humoru. Od razu staje się bardziej odważna i odwzajemnia uśmiech.

– Mówią u nas: wołu rogi nieciężkie. A jak marzenia są, to i wołem pobyc w życiu trzeba – kończy już śmielej, choć zagniewana na siebie za ten cholerny akcent.

– Tu nie będzie wielkiej pani i nie będziesz wołem! Mówmy sobie po imieniu. – Agata wyciąga rękę. – Właśnie dostałaś pracę. Dom ci się spodoba. Jest prosty i mało w nim sprzętów. – Czuje się trochę jak dobra wróżka. Nie ma pojęcia, gdzie podział się jej zwykły dystans do obcych. – Chodź, pokażę ci kuchnię i pozostałe pokoje.

Kiedy przemierzają parter, zaglądając w kolejne uchylone drzwi, Agata nabiera pewności, że podjęła dobrą decyzję. Podoba jej się ta dziewczyna. Małomówna, ale skupiona i obecna przy każdym zdaniu. Zadaje też trafne pytania. Nie taka rozkrzyczana, przymilająca się jak jej poprzedniczka. Może trochę przesadnie dociekliwa. Chciałaby od razu poznać zwyczaje rodziny, żeby, jak śmiesznie mówi, szybko zahałakać się wszystkim, niczego nie przegapić. Dobrze swoje robić.

– Dasz sobie radę – mówi wolno Agata, nieco strapiona. Bo o jakich zwyczajach rodziny mogłaby tej młodej, prostolinijnej dziewczynie opowiedzieć? O swoich atakach paniki, których Bruno już od dawna nie zauważa? O jego koszulach przesyconych piżmową wonią obcych kobiet, których ona już od lat nie czuje? O ich wspólnym języku, który być może istnieje, ale, nieużywany, stał się martwy, zamienił w grudy milczenia?

– Dasz sobie radę – zapewnia Iwankę jeszcze raz i dziękuje w myślach teściowej, że właśnie teraz wróciła ze spaceru. – A to jest nasz Staś. – Bierze na ręce synka, podnosi go na wysokość oczu Iwanki. I doprawdy trudno w to uwierzyć, ale na twarzy dziecka pojawia się szczerzy, radosny uśmiech.

Śródmieście. Cybermax

Bruno roześmiał się. Grzegorz chyba kompletnie oszalał, skoro proponuje mu wspólne wczasy rodzinne. Z trudem hamuje kolejną falę chichotu. Wspólnik, wyraźnie urażony, patrzy na Bruna z politowaniem.

– Ten twój cynizm kiedyś cię zabije – mruczy, marszcząc czoło. – I nie tylko ciebie. Agatę, dzieciaka...

– Wolę taką śmierć niż dogorywanie na egzotycznej plaży w wielkiej kupie rodzinnych kanapek i lepkich cukierków – odgryza się Bruno. – Byłbym jak wyschnięta żaba, smutna atrakcja dla dzieciaków i wątpliwa przyjemność dla żon...

– Już jesteś jak żaba. Wysychasz na własne życzenie.

– Nie mamy w umowie wspólnych wakacji.

Bruno znajduje przepaszający uśmiech, ale w środku dławi go oburzenie. Jakim prawem ten zdeklarowany pantofel chce go wcisnąć na kocyk z krokodylkiem i resztą tych dwunogich gadów! Spojrzały na siebie! Garnitury wiecznie uwalane jakimiś ciasteczkami, terminarz pełen wizyt u pediatrów i uroczych kolacyjek z krokodylkiem... A właściwie z matką krokodyli, bo Danka po kolejnych ciążach nadaje się tylko na przemiał... Bruno z trudem wytrzymuje relacje zdjęciowe z corocznej familiady nad ciepłymi morzami, a cóż dopiero wziąć w czymś takim udział!

– Grzegorz, nawet nie próbuj! – powstrzymuje kolegę przed wygłoszeniem kolejnej pochwały rodziny. – Mamy wspólną firmę, nie poglądy. I niech tak zostanie.

Idiota, myśli Bruno, odprowadzając Grzegorza wzrokiem. Wydaje mu się, że uciekł od lajdactwa w swój pieprzony przyzwoity świat z domowymi obiadekmi. Tymczasem cały ten szmelc tylko pozornie trzyma się z dala od ich firmy. Najwięksi kontrahenci to złodzieje, kobiety robiące z nimi interesy – bogate dzidziury z kurewską przeszłością. Wreszcie oni... Dwóch totalnych dupków. Jeden, bo na potęgę zdradza żonę, drugi, bo nie ma dość odwagi, aby to robić. Co ich właściwie łączy? Kasa i pierwsze objawy andropauzy. Żalodne...

Kiedy został sam, wezwał Martę.

Stała przed nim służbowo sztywna. Delikatny makijaż, zero uśmiechu.

Musi być nie do końca głupia, skoro poza penisami ze służbowych rozporzków wyciąga też słuszne wnioski – pomyślał z mimowolnym uznaniem.

– Nie ma mnie dla nikogo – rzucił sucho. – Z wyjątkiem żony oczywiście – dodał mocniejszym głosem. – I poproszę o kawę.

Wziął się do pracy. Nic nie sprawiało mu takiej przyjemności, jak podpisywanie faktur. Wciąż zdumiewało go, że ludzie chcą tyle płacić za proste usługi, które za grosze wykonałby dla nich byle zdolniejszy student informatyki.

Kiedy po raz trzeci musiał poprawić końcową sumę na rachunku, zdekoncentrowany i nieuważny, ze zniecierpliwieniem odepchnął kupkę czekających dokumentów.

– Kurwa mać – przeklął półgłosem, wściekły na własne roztargnienie. – Co się ze mną dzieje?

Sięgnął po kawę. Dawno wystygła. Odsunął filiżankę możliwie najdalej od siebie, jakby tym gestem chciał oddalić koszmarnie samopoczucie. Z filiżanką się udało, ale natrętne myśli o Agacie, doprawione dziwnym współczuciem i nieoczekiwaną sympatią dla żony, wciąż osaczały go z nową siłą.

Te obce mu uczucia, prześladowające go od rana, do tego poczucie jakiejś winy, cholera wie jakiej, sprawiły, że z myślą o Agacie zamówił z dostawą kurierem dwa bilety na koncert wiolonczelowy i orkiestrę. Kiedy je kupował, nie miał pojęcia, jak wytłumaczy żonie coś tak

niepojętego. Zaproszenie na wspólny wieczór. Sam na sam z Agatą, która przez cały koncert będzie usilnie dociekać, co mu się stało.

Zdumiewająca potrzeba pójścia do filharmonii pojawiła się prawdopodobnie wtedy, gdy pod blokiem z wielkiej płyty usłyszał dojmującą tęsknotę, ulatującą szparą w oknie. Zastanowiła go ta melancholia i zawstydziła jakoś. Sprawiała, że tego popołudnia seks z Iloną okazał się kompletnym fiaskiem i po raz pierwszy Bruno tłumaczył się przemęceniem, obiecując powtórkę w najbardziej wyuzdanym stylu.

Tęsknota?

Wzruszył ramionami. Nigdy niczego podobnego nie odczuwał. Kiedy opuszczał rodzinny dom, towarzyszyła mu ulga, która z czasem nadała konkretny kształt jego wszystkim rodzinnym związkom. Bywała obojętnością albo niechęcią. Zimną grzecznością i milczeniem. Już kiedyś doszedł do wniosku, że jak się ma pieniądze, każdą tęsknotę można przekupić, i to wcale nie za bajątkowe sumy.

A jednak nie mógł pozbyć się dziwnego wzruszenia, które spadło na niego nagle z trzeciego piętra obcego domu. Niepotrzebne i budzące zakłopotanie. Zdał sobie sprawę, że jeśli nawet był to jakiś rodzaj tęsknoty, dotyczył Agaty. Nikogo innego.

Od czasu gdy pojawiła się ta nowa opiekunka, Agata sprawiała wrażenie zadowolonej. Kilka razy słyszał jej szczery śmiech. Chętnie też rozmawiała z tą małą, a nawet dwa razy wybrała się z nią i synem na spacer. Wracła odmieniona, żeby nie powiedzieć szczęśliwa...

Dawno nie poświęcił żonie tyle rozmyślań. Już kiedyś doszedł do wniosku, że mają niewiele wspólnego. Z Grzegorzem łączył go choćby biznes, z sekretarką – niepisana umowa o nietykalności osobistej. Z Iloną – cierpki smak zakazanego owocu, mały hazard uczuć, gra. Nawet kurwy były mu bliższe od Agaty, bo przynajmniej uprawiały z nim seks... Gdyby miał wymienić trzy skojarzenia najbardziej pasujące do żony, odparłby bez namysłu: zimna pościel, zimna zupa, głuchy szcęk sztućców przy kolacji. Podnieciła go nagła ochota ocieplenia tych zimności. Na drodze do powodzenia zapewne stanie wrodzone lenistwo, ale próba zdobycia własnej żony wydała mu się bardziej intrygująca niż łatwość, z jaką przechodził ostatnio z łóżka do łóżka.

– Telefon do pana! – okrzyk Marty wdarł się w ciszę gabinetu.

Podniósł słuchawkę.

Głos Agaty zabrzmiał nie tak, jak tego pragnął. Zbyt nasączony pretensjami. Już po kilku zdaniach wiedział, że żona popełniła niewybaczalny błąd: zaniechała zmian, które Bruno dokładnie dla nich zaplanował.

Przez dłuższą chwilę negocjowała z nim szybszy powrót do domu. Bo będzie Iga. I trzeba jej jakoś podziękować za tę dziewczynę, Ukrainkę. Wypada razem. Choć coś powinni zrobić razem, bo od czasu Stasia chyba im się nie zdarzyło...

Przymknął oczy, ale pretensje wciąż sączyły się ze słuchawki i gęstniały.

– ...jako że wkrótce wyjeżdża, to jest ostatni moment, abyś w ogóle zauważył, że była.

– Kto? – rzucił z roztargnieniem.

– Mówię ci przecież! Twoja matka!

Bruno oświadcza, że zawsze, chętnie. Jednak nie dziś. Ma tu urwanie głowy. Przykro mu, tak wyszło.

Nawet nie kłamał. Było mu przykro jak nigdy wcześniej. Tak banalnie wszystko zepsuć, spaskudzić, zabić to, co w nim kiełkowało, mogła tylko ona, Agata.

Wrócił do faktur. Sprawdził firmowe przelewy. Odetchnął z ulgą, że przynajmniej te nie zawodzą. Wezwał Martę i zapytał o pozostałe telefony. Ucieszył się, że dzwoniła Ilona. I że aż trzykrotnie. Dopiero teraz włączył komórkę i wystukał jej numer. Uprzedził awanturę, tłumacząc, że nie było zasięgu. Cierpliwie wysłuchał kilku piśszczotliwych pretensji. Załatwił je po męsku, proponując wspólny wieczór. Zostawił Ilonę rozdartą pomiędzy Sheratonem a Sobieskim.

Przed wyjściem sięgnął jeszcze po bilety do filharmonii. Kiedy je darł na strzępy, żałował, że Agata tego nie widzi. Że nigdy się nie dowie, ile straciła.

Żoliborz. Willa Bieluchów

Krystian lubił Agatę. Mógłby godzinami patrzeć, jak wdzięcznie porusza się po swym wypielęgowanym ogrodzie. Jak przystaje przy okazałym modrzewiu, sprawdza, jakie straty w jego rozpostartych zielonych skrzydłach poczyniła zima. Albo jak otulona pledem siada na huśtawce Stasia i ogrzewa ręce parującym kubkiem. Na tej huśtawce to już całkiem wygląda jak mała dziewczynka. No, może trochę przeczy tej małości wzrost, bo Agata do niskich nie należy. Ale figurę ma świetną. Nie to, co pani Mariola...

Krystian czuje się trochę niezręcznie w tym akcie oceniania i porównywania kobiet. Właściwie nie powinien tego robić, bo przecież Agaty wygląd nie ma nic wspólnego z lubieniem. Do tego wystarczają mu w zupełności wiecznie smutne oczy. Bo nawet kiedy sąsiadka składa usta do uśmiechu albo robi zabawną minę i żartuje z Krystianem, jej oczy pozostają niezmiennie rozżalone. Jakby nie uczestniczyły w innym nastroju swej właścicielki, tylko świeciły blaskiem odbitym. Dwie mroczne gwiazdy zanurzone w mrocznej duszy – tak o nich myślał.

Wesoły rwetes panujący od dobrej godziny po drugiej stronie ulicy zaniepokoił Krystiana. Trochę też się zawstydził, że dotąd przypisywał wyłącznie sobie przywilej wprawiania sąsiadki w dobry nastrój. Chciał wierzyć, że tak właśnie jest. Tymczasem starszą panią Wolską, która zwykle była jedyną towarzyszką Agaty, zastąpiła jakaś szczupła dziewczyna. I to jej głos, lekko wibrujący wschodnim akcentem, prowokował Agatę do krótkich, ale szczerych wybuchów śmiechu.

– Chciałabyś na taras? – zapytał matkę, oglądającą kolejny odcinek tasiemcowego serialu.
– Tak wesoło u Wolskich dawno nie było. Popatrzyłabyś sobie, posłuchała...

Bieluchowa omiotła syna nieobecny wzrokiem i szybko uciekła w ekran telewizora.

– Może potem, synuś, jak on się już jej oświadczy. Bo to wiadomo, że się oświadczy, tylko tak przedłużają, że zdaje się, umrzesz, a nie doczekasz tej chwili. Ale dobrze, że się oświadczy. Z tamtą nie byłby szczęśliwy, bo ona już niejednemu życie zapaskudziła. Że też są takie kobiety. Zawsze im mało. Wszystko mieć, miłość, pieniądze, bo to bogacz wielki, choć ona o tym nie wie, a jeszcze intrygować, z innym na bok leżać. Chwała Bogu, że ją przejrzał, a już Luiza, to bądź spokojny, taka szlachetna, że będzie miał na koniec jak w bajce. Niech tylko już się oświadczy, zanim tamta znowu jakąś intrygę zrobi...

Za oknem wciąż trwały ogrodowe porządki. I choć Krystiana cieszył, a jednocześnie zdumiewał widok Agaty, która rzadko wychodziła na dwór, to jednak tym razem z większą uwagą obserwował jej pomocnicę. Pracowała w skupieniu, ale czyniła to z jakąś wielką przyjemnością. Jakby usuwanie chwastów i gromadzenie ich na betonowej ścieżce było jej małym triumfem nad ułomnością natury. Zajęta pieleniem, dzieliła swą uwagę między obrabiany klomb i Agatę. Ciągnęła wesołym głosem jakąś opowieść, chyba zajmującą, skoro Agata, zamiast wrócić do swoich spraw, wciąż tam była. Usiadła ze Stasiem na huśtawce i lekko ją bujając, z uwagą słuchała tej nowej.

Ładna – ocenił w myślach Krystian, gdy dziewczyna na chwilę uniosła głowę i poprawiła opadające na oczy włosy.

Inna niż Agata. Bardziej dziewczęca. I oczy jak u dziecka, roześmiane. Ale na swój sposób ładna.

Spojrzał na rośliny smętnie tulące się do ścian jego domu. Od dawna nie miał dla nich serca. Właściwie to od dnia, kiedy odszedł ojciec. Od tamtej pory matka też powoli upodabniała się do tych roślin. Nieporadnością, płozieniem się po domowych kątach, wysychaniem. Dziwiło go to, bo okazywał jej więcej serca niż kiedykolwiek.

– Musimy posprzątać nasz ogródek. – Usiadł przed matką, wciąż wpatrzoną w ekran, na którym radosny mężczyzna próbował jej sprzedać środek powiększający penisa. Podsunął talerzyk z wafelkami. Ożywiła się.

– Biedna ta Luiza – westchnęła, gryząc ciastko. – Znowu ta wiedźma zrobiła swoje. A on głupi! Ślepy kret. – Potrzęsnęła z oburzeniem siwą głową.

– Posadźmy parę nowych krzewinek. I zrobię ładną ścieżkę, żebyś mogła pójść na spacer.

Matka mocniej zacisnęła palce na poręczy fotela. Zauważył ten gest, ale i bez niego wiedział, że w najbliższym czasie matka nie wybiera się na żaden spacer.

– Gdybyś mi podał tabletkę, synuś. Tam leży, na komodzie. A jakiej ty ładnej cery dostałeś! No, no! Zaraz mi ciebie jakaś koleżanka skradnie, zbałamuci! One potrafią, te dziewczuszyska. Już nie czekają, kiedy kawaler o coś poprosi. Teraz to już nie jest świat dla Luizy, wiemy tylko wkoło! Aż strach synów rodzic...

Bielany

Ostatnia majowa niedziela. Mykoła jeszcze śpi, kiedy Iwanka, nucąc Vivaldiego, wnosi do pokoju tacę ze śniadaniem.

Taca wygląda jak bukiet nowalijek, pośrodku którego puszy się jajecznicą ze szczypiorkiem.

– W moim życiu wiosna, to i na talerzu! – mówi radośnie do przytomniejącego Mykoty. – Maślanek pewnie chciałbyś – domyśla się, już bez wcześniejszego entuzjazmu. Z westchnieniem podsuwa mu kołymski kubek.

Przez krótką chwilę ma wrażenie, że siedzi przed nią półnagi Panas Chyriak. Kilkundniowy zarost kłuje na odległość. Przekrwione oczy przerażają. I jeszcze ta strużka maślanki, ohyda, czająca się w kącikach ust po to, by straszyc małe dziewczynki.

– Niedobrze, że ty taki pijany teraz wracasz – mówi Iwanka, siadając sama do stołu ze stygnącą jajecznicą.

Kiedy w dwie godziny później wkłada wyjściowe buty i sprawdza pośpiesznie zawartość torebki, już nie pyta, czy pójdą do cerkwi razem. Zresztą, Bogiem a prawdą, o której Iwanka wie, ona sama nie idzie na mszę, tylko do Lwowa. Pobyć ze swoimi. Zamknąć oczy i przypomnieć sobie twarz ojca. Zostawić parę złotych w podzięcie za pracę, przy której chyba pół nieba majstrowało, taka dobra.

Najbardziej lubi, gdy już po wszystkim zbijają się przed kościołem grupki znajomych. Staje z boku, bo jaka tam ona ich znajoma. A jednak Daria i Polina, dwie siostry z Kijowa, tu już zadomowione, od razu ją wypatrzą. Przybiegają, pytają, co słyhać, w czym pomóc... A zaraz potem ten wesołek, Pawło, wita ją jak jakąś królową, kłania się nisko, dla żartu, a Iwanka z innymi w śmiech.

Dopiero gdy kuszą, proszą, namawiają, aby wybrała się z nimi na ciasto i kawę, odmawia. Nie i nie, coraz bardziej przerażona ich serdecznością. Wyczekuje na właściwy moment i czmych, do domu. Królowa, której czas się wypełnił. Dobrze, że uciekając, bucika nie gubi, istny byłby z niej Kopciuszek.

– To idę – przystaje w drzwiach, patrząc, jak Mykoła zabiera się leniwie do śniadania.

– Będę czekał – odpowiada z pełnymi ustami, aż trudno go zrozumieć.

Żoliborz. Willa Wolskich

Wolska nie mogła tej nocy spać. Pomyślała, że to przez chrabąszcze. Wprawdzie tu, w Warszawie, nie widziała żadnego, nie słyszała też szelestu ich skrzydeł, ale co zamknęła oczy, miała wrażenie, że chmura owadów przedziera się przez metalowe żaluzje i osiada bezgłośnie na białej kołdrze.

Wszelkie robactwo nie budziło w niej żadnych emocji. Jak Najświętsza Panienska, koty i tekturowe pudełko ze zdjęciami krewnego, tak i ono należało do naturalnego porządku Pustek. Co innego jednak, gdy chrabąszcz czy inna muszka krążyły nad jej głową, przycupnęły na białym obrusie, a ona tylko machnie ręką i już owadek wznosi się do góry, a zupełnie co innego, gdy przechodziły przez granicę snu i bezwładna ręka Wolskiej traciła całą władzę nad rojem skrzydlatych zjaw.

Sen mógł oznaczać jedno: pora wracać. Może chrabąszcze przybyły do niej z jakąś nowiną, której teraz odczytać nie mogła? Przecież nie przylatywałyby bez potrzeby. Wyłącznie po to, aby tłuc się o ściany jej siwej głowy i dręczyć bez powodu.

Niedzielę rozpoczęła żarliwą modlitwą. Bo też miała za co dziękować Panu Niebieskiemu, zważywszy, że dopomógł w znalezieniu tej kochanej dziewczynki do opieki nad Stasiem. Wprawdzie już kobiety, ale dla Wolskiej wciąż dziewczynki, jasnej i ładnej, toczka w toczkę podobnej do wymarzonej córki, na którą bezskutecznie czekała. O którą dopominała się w zapamiętałych różańcowych koronkach przez wszystkie miesiące chodzenia z wielkim brzuchem.

Może więc i dlatego, gdy zobaczyła Iwanę pierwszy raz, miała wrażenie, że zna ją od zawsze. A już na pewno od tych złych chwil, gdy ustawały comiesięczne krwawienia, zapowiadające kolejną wizytę na porodówce w Szczytowej, gdy z tego powodu łąjał ją Wolski, choć to ona musiała męczyć się przez kolejnych dziewięć miesięcy, a i potem już nigdy nie zaznać spokoju. Najpierw trochę się martwić, a potem to już cały czas.

– A najważniejsze, że wszyscy tu ją polubili, tę Iwanę – kończy Wolska swój pacierz – za co najmocniej ci, Boże, podziękować pragnę. Bo skoro tu swój promyk świetlisty przysłałeś, to z myślą jakąś tak się stało. Ani to dziecko, ani chrabąszcze ot tak sobie tu się nie zjawiły. We wszystkim Twoja mądrość, na wieki wieków, amen.

Wolska delikatnie odsunęła żaluzje. Zamiast stada chrabąszczy wpadł do pokoju snop dziennego światła. Uśmiechnęła się zwycięsko i ruszyła w nocnej koszuli przywitać się z wnukiem. Jeszcze spał, więc cicho zamknęła drzwi.

Śródmieście. Miodowa...

Dziś też Iwanka wymówiła się od kawy i ciasta, choć wystarczyło przejść do sali pod cerkwią, aby pokosztować przysmaków, które bez specjalnej okazji przygotowali parafianie.

– Następnym razem na pewno! – próbowała przekupić rozczarowaną Polinę. – Jeśli dziś mnie puścisz, za tydzień upiekę ciasteczka babci Łesi.

A gdy została sama przed budynkiem świątyni, nagle uświadomiła sobie, że nie musi się nigdzie śpieszyć.

Wybrała autobus jadący w stronę Wisły. Nie przerażał jej tłum spacerujących nabrzeżem. Tłum był bezpieczny. Żył własnym spacerem, szedł w swoją stronę. Zajęty rozbrykanymi dziećmi, dyszącymi psami, lękliwie drepzczącą starością, wymazywał obecność innych na bulwarowej ścieżce. Nad Wisłą nie potrafiła tęsknić do Lwowa, ale można było wtopić się w bezimienny tłum i pozostać sobą.

Majowy dzień nabrzmiewa południowym upałem. Ławki pozajmowane, ale na skarpie jeszcze luźno. Iwanka bez problemu znajduje miejsce. Dziwi się, że bardziej przeszkadza jej niewygodna spódnica aniżeli brak Mykoły.

Jak w Drohobyczu, myśli, kierując twarz w stronę ciepła. Wystarczy zamknąć oczy, żeby nieznośny żar zaczął spływać z drohobyckiego nieba. Bo Drohobycz taki z morderczym skwarem, dopadającym babinki handlujące na Małym Rynku. A co krok jakaś chłodna sień, kusząca winem z omszałych butelek. Ileż to razy z Irminą i Oksaną wieszały się na ladzie, kupując za wspólne oszczędności butelkę chlebowego kwasu. Albo wyprawy po prowizorycznych kramikach, pełnych skarbów, które zdobywały za kopiejki, aby potem dzielić się trofeami, wymieniać je i przechowywać w domowych schowkach. Złocene kolczyki za plastikowe broszki, koraliki w cynfoliach za plastry stanioli, z których powstawały srebrzyste wycinanki. Wycinanki za kolorowe frotki, ozdobione wędrującą po warkoczach biedronką. Kolorowe miętówki... – Iwanka niemal czuje ich smak. Miętówek nie wymieniało się na nic. Znikały z kieszeni i ulatywały jak kiedyś, przed wojną, zapach cynamonu, już w pierwszej uliczce poza rynkiem. Wraz z miętówkami kończyła się magia innego świata. Zaczynał się ten zwyczajny. Pełen przydrożnych śmieci, upadających przydomowych straganików i trwających na krzeselkach handlarek prowadził już do domu z zewnętrznymi schodami. Wystarczyło je pokonać, by znaleźć się w kuchni i pokojach. A tam wszystko było do przewidzenia: matka oddzielająca mięso od kości i milczący ojciec, pochylony nad klaserem.

Dom Agaty niby zupełnie inny. Więcej schodów, pokoi, światła, ale ta wszechobecna, przejmująca cisza i oddzielność mieszkańców, niemal identyczne jak w Drohobyczu, w jej własnym milczącym domu, gdzie wszystko było na swoim miejscu, ale nic do siebie nie pasowało.

Pierwszego dnia, gdy Agata pokazywała willę, Iwanka podziwiała architektoniczną precyzję i pomysłowość, z jaką gospodarze urządzili wnętrza. Były idealne. Ale bez nich! Odkryła to ze smutkiem podczas krótkich chwil, kiedy rodzina w komplecie zasiadała do stołu lub mijała się w przestronnych korytarzach. Choć nikt tu nie podnosił głosu, a grzeczne słowa zawsze czekały w pogotowiu, jak serwetki do wytarcia ust, ta rodzinna mozaika rozsypywała się bezładnie.

Klocki lego z różnych pudełek, pomyślała niedawno Iwanka, nakrywając stół, przy którym utknęli domownicy. I jeśli Agata z Brunem z jakąś nienaturalną swobodą znosili to męczeństwo, to starsza pani Wolska nawet nie próbowała udawać, że każda chwila na luksusowym krześle jest dla niej udręką. Jedynie Staś był u siebie. Zajęty oglądaniem

sztućców, a potem śledzeniem wzoru na jedwabnym obrusie, przebywał poza jadalnią i nic nie wskazywało, że na czas posiłku powróci.

Największą zagadką był dla Iwanki Bruno. Jego zimne spojrzenie budziło w niej obawę, że wszystko robi nie tak. Żle. Ale zanim wypuściła z drżącej dłoni filiżankę czy poplamiała świeże nakrycie grzybowym sosem, potrafił spojrzeć w jej stronę z wielką łagodnością. Przyjaźnie. A nawet powiedzieć kilka miłych słów. Ośmielona tą zmianą, podejmowała jakiś wesoły temat, mówiąc najchętniej o swoich polskich gafach i tarapatkach językowych. Odpowiadał szczerym śmiechem. Ale potem nagle milkł i znowu powracał strach.

Co innego Agata. Iwanka polubiła ją od razu. Zauważyła też, że Agata jest jak jej dom – niemal doskonała. Taka we wszystkim... proporcjonalna. Jak dobrze napisany i zagrany koncert. Iwanka uśmiecha się do tego porównania, ale trafniej nie potrafi zdefiniować swej nowej pracodawczyni.

Stasinka uwielbia. Nawet teraz otwiera na moment oczy i rozgląda się, czy nie ma go w grupce pokrzykujących dzieci, gramolących się na skarpe. Gdyby stał wśród nich, milczałby i spoglądał przed siebie. Jest inny. Widać gołym okiem, że jego inność denerwuje Agatę, martwi babcię Wolską, przeszkadza ojcu. Na początku Iwanka miała wrażenie, że Staś stanowi nawet powód jakiegoś ich wspólnego zawstydzienia, co z kolei zawstydzalo ją. Jak mogli przeoczyć, że mieszka z nimi wyjątkowe dziecko...

Ślepi jacyś! Wystarczy chwilę z nim pobyc, by go pokochać...

Zawstydzają ją to słowa, wcześniej należące do Mykoły. Teraz jakby rozmienione i już nie takie jednorodne, jak kiedyś. Ale na szczęście Mykoła nie należy do wątku, który teraz pochłania Iwanke, i można o nim przynajmniej na chwilę zapomnieć.

Mały nie jest zwyczajnym brzdącem. Przyglądała mu się ze szczególną uwagą i odkryła, że chwile jego zamyśleń, zapatrzeń w niepojętą dal, ten smutek i spokój to zwyczajna ucieczka. Taka kryjówka, może podobna do tej, gdzie Iwanka umykała przed Panasem Chyriakiem. Ona jest w głębi każdego dzieciaka, ale zawsze zamaskowana i nie wiadomo dokładnie, gdzie mały uciekinier przebywa. Pewne jest tylko, że w samym sobie.

Staś też ją polubił. Wprowadzie nie wieszając demonstracyjnie na jej szyi, nie wtula głowy w fartuszek, nie obłapia. Pozostaje nawet w pewnej bezpiecznej odległości, jakby nadmierna bliskość mogła w czymś przeszkodzić. Ale Iwanka nie ma wątpliwości, że dobrze im razem.

Kiedy sprząta, mały siada na podłodze i obserwuje każdy jej ruch. Ożywia się i przysłuchuje, ilekroć zaczyna coś nucić. Jakby ją do tego zachęcał, namawiał. A jak śpiewa śmieiej, pełniejszym głosem, nagradza ją tym swoim tajemniczym uśmiechem. Powinna nauczyć się jakichś polskich piosenek. Nie wszyscy lubią, żeby mieszać dzieciakowi w głowie różnymi językami.

Iwanka otrzepuje spódnicę z piasku. Od Wisły powiało chłodem. Mykoła pewnie już doszedł do siebie. Może nawet gotuje makaron na obiad, ogolony, pięknie pachnący...

Co właściwie się stało, że od kilku tygodni on tam, ona tu. Jakby ich ta Warszawa pogubiła. Jakby im dawne wyznania i pieszczoty zmęczenie odebrały, a plany domku z pokojem muzycznym zalały się niewidzialnymi łzami. Babcia Łesia powiedziałaaby: „Uważaj ty, Iwanka, byle iskra wszystko spali i sama zginie. A ogień miłości najgorszy, bo nie ma na niego wody. Nawet lzy twoje nie pomogą...”.

Żoliborz. Willa Wolskich

Agata wyjmując z garderoby sukienki, których nie nosi od lat. Przeraza ją ta kolekcja staroci, mieniąca się wszystkimi kolorami na podłodze. Nie sądziła, że tyle ich ma.

Przypomina sobie Ige, która kiedyś nieopatrznie zajrzała do szafy. Jej spojrzenie wyrażało wtedy tyle samo zachwytu, co pogardy. Mieć takie ciuchy, a ubierać się jak szmatławka – zdawało się mówić.

Iga nigdy nie zrozumie Agaty i narastającej w niej pogardy dla *rzeczy* kupowanych. Nie wie, co znaczy tęsknić za własnym modelem. Za sukienką, która od początku do końca wyrażałaby Agatę. Jej myślenie o kobiecie, materii, szwie, a nawet najdrobniejszych dodatkach. I żadna metka nie zastąpi satysfakcji, na którą Agata czeka bezskutecznie od lat.

Pomyślała, że może ta mała, wciąż biegająca w podniszczonych dżinsach i spranym T-shircie, ucieszy się z kilku nowych szmatek.

Dla niej nowych – poprawia się w myślach.

Trzyma wieszak z białą sukienką. Kawalek zgrabnie skrojonej tafty pobłyskuje, gdy dzienne światło nieśmiało dotyka prostego gorsetu.

– Zupełnie o niej zapomniałam – wzdycha.

Uszyła ją sama na wiecznie psującej się maszynie Singera. Matka nie znosiła ani maszyny, ani widoku pochylonej nad nią córki. Nazbyt przypominała jej ojca, który był Żydem i krawcem. Nie ta kolejność – krawcem i Żydem; Agatę do dziś mierzi ta rodzinna poprawność, ustanowiona przez matkę.

Dziadek szybko został wymazany z historii rodu, a jeśli powracał, to wyłącznie jako doskonale zapowiadający się projektant, który przegrał z systemem. Ten nekrolog, naprędce wymyślony przez matkę, sprawdzał się w każdym okresie narodowej historii.

Matka i tak miała szczęście, że była córką Polki. Nie poradziłyby sobie z żydostwem pełnym i majestatycznym. Z chasydzkimi płodnymi komórkami i ruchliwymi plemnikami, które tańcząc swój frejlach, nagle złożyły się na zygotę, pełnokrwisty i żydowski ponad wszelką wątpliwość początek matki. Cóż by się wówczas z nią stało? Musiałyby przecież kochać i nienawidzić, a miłość nigdy nie była jej mocną stroną. Na szczęście dziadek elegancko i we właściwym momencie odszedł w garniturze, który sam sobie uszył na maszynie Singera. A niedługo po nim jego żona, babcia Anna, znana zresztą ze swej religijnej zapalczowości i szanowana parafianka. Ona też zabrała do grobu swą wojenną hańbę. Po stronie matki Agaty pozostały dwa porządne chrześcijańskie pogrzeby, które do dziś wspomina jako „piękne”.

Pierwszy raz włożyła na siebie tę sukienkę właśnie wtedy, gdy spotkała Bruna. Ktoś się bronił, wszyscy byli pijani. Ktoś tańczył na stole, wszyscy klaskali. Ktoś wylał na białą sukienkę Agaty czerwone wino. Niechący. I strapił się, niezręcznie próbując je zetrzeć. A plama rosła. Rosło też Agaty pożądanie, gdy długie palce eleganckiego mężczyzny mięły jej tanią taftę.

Potem siedzieli przed domem, z dala od pijackich krzyków. Ona z wielką czerwoną plamą na szyi i sukience. On błady, milczący.

Agata uważnie przygląda się kiece, ale nie znajduje na niej śladów tamtej nocy. Wkłada ją, mocując się chwilę z nieprzyjaznym zamkiem. Staje przed lustrem z zamkniętymi oczami. Boi się trochę tej niespodziewanej konfrontacji. Jak przywita ta dzisiejsza Agata tamtą, sprzed lat? Czy się polubią, zrozumieją? Czy ta starsza będzie patrzyła na młodszą z pretensją i niechęcią? Wiadomo, jak to po latach.

Kiedy otwiera oczy, widzi w lustrze Bruna. Nie słyszała, jak wchodził.

– Porządki? – Bruno szybko ogarnia spojrzeniem rozgardiasz. Zatrzymuje wzrok na Agacie. – Najwyższy czas tu posprzątać – mówi półgłosem.

– Ta sukienka... – Agata patrzy na niego, lekko przymykając powieki. – Pamiętasz?

– Na szczęście nie – odpowiada z uśmiechem Bruno. – Nie musisz jej wkładać, aby mnie przekonać, że nie masz w czym chodzić. Dawno powinnaś wybrać się na zakupy – dodaje znacząco.

Agata czuje jego palce na szyi, ale Bruno tylko delikatnie rozsuwa zamek, a potem bezszelestnie wychodzi.

Bielany

Jest już późno, gdy Iwanka zakleja kopertę z listem do matki. Dopiero teraz o nowej pracy napisała i o swoim szczęściu. O Stasiu maleńkim i gołąbkach z kaszą, które tak całej rodzinie smakowały, że chyba zawsze robić je będzie i nawet zamrozi, jakby chcieli ci dobrzy ludzie pojeść sobie w sobotę albo w niedzielę.

Że Mykoła pracuje ciężko, najciężej, też wspomniała. Krótko, jednym zdaniem, bo matka o nim chyba czytać nie lubi. O Polsce też krótko. Z tych samych powodów. Głównie o psach. Że inne niż w Drohobyczu. Wszystkie po europejsku chodzą. W obrózkach błyszczących, ale pogłaskać strach, choć ogonami kręcą, zachęcają, kokietują, jak to psy.

I że teraz zarabia naprawdę dużo! Wystarczy, żeby na koncert pójść, do modnego sklepu wejść, a nawet okazjnie kupić jakąś drobnostkę. Sama niczego nie potrzebuje, ale dla mamy kupiła. Niespodzianka będzie, nie napisze więc, co to takiego.

Że jest też ktoś, o kim mama nie wie, a mianowicie nowy znajomy. Pan profesor Miodyński, kochany człowiek. Wiolonczelista, nauczyciel starej daty, jak mawiają. Bywa u niego i lekcje gry rozpoczęła. Na początku wstyd, trema większa niż w szkole, na występach, akademiach. Ale profesor zacny, mądry.

No i ten Staś, którym się opiekuje, oj, spodobałby się mamie. Lubi muzykę. Słuchać potrafi. Wprawdzie słabiutki on. Z nóżkami ma kłopot, ale rodzice niepotrzebnie tylko to widzą. Bo chłopczyk wyjątkowy, a nie darmo mówią u nas, jak się urodzi lebioda, to jeszcze nie bieda... W Polsce widać nikt tego powiedzenia nie zna.

Jednak tęskno bardzo. Za mamą, Drohobyczem, Oksanką. Czasami przyśni jej się cmentarz z grobem taty, babci Buryłkowej. Ale we śnie to nawet światełka nie zapalisz.

O tym też matce napisała, zanim złożyła list we czworo i wsunęła do koperty z adresem.

Smutna taka rozmowa, w jedną stronę, pomyślała, wskakując pod kołdrę. A gdy zamknęła oczy, nie była już pewna, czy chodziło jej o matkę, czy o Mykołę.

Żoliborz. Dygasińskiego...

– Siemka, Stasiu. Widzę, że masz nową koleżankę?

Krystian pomógł Iwance otworzyć ogrodową furtkę. Dziewczyna od kilku minut bezskutecznie z nią walczyła.

– Wystarczy naoliwić – ocenił fachowo, przyglądając się zardzewiałej kłamce. – Zrobię to po pracy – obiecał.

– Dziękujemy!

Ucieszyła się, rozpoznając w młodym człowieku życzliwego sąsiada, o którym wspominała kilkakrotnie Agata, zawsze ze znaczącym uśmiechem. W takich sytuacjach powracał żal do Mykoły, że zataił ich związek. Przez to musiała teraz pogodnie przyjmować żarty matrymonialne pracodawczynie. Na szczęście Agata nie była typem swatki próbującej zbawić cały paniński świat. A to, że lubiła tego przyszczatego chłopaka, nie mogło dziwić. Iwance też wydał się bardzo życzliwy i swój.

– Mam na imię Iwanka. – Wyciągnęła w jego stronę drobną dłoń.

Ujął ją trochę niezgrabnie, z ledwie zauważalnym ociąganiem. Jakby nie spodziewał się aż tak otwartego gestu. Albo nie był mu on miły.

– Krystian – wymamrotał.

Musiała powiać chłodem, bo wyraźnie poczuła w palcach i nadgarstku krótkie, przenikliwe zimno, szkliste i chrobotliwe jak ten zgrzyt nieoliwionej kłamki sprzed chwili. Wzdrygnęła się, niezręcznie cofnęła rękę.

– Niby już wiosna, a wcale nie! – zaciągnęła zbyt wschodnio, tuszując uśmiechem zaskoczenie. Zła na siebie, na język nieopanowany, że jak tylko co, to zaraz odmawia posłuszeństwa. Przenosi na lwowską ulicę albo i do Drohobycza.

W klinice Krystian trafił na histeryczną litanię pretensji żony marynarza, kierowanych do spokojnej pani Róży. Marynarzowa, oburzona przedwczesnym wypisem persą, potrząsała nim złowieszczo i chłopak przez moment zatrzwożył się o los Admirala Juniora. Na szczęście nie uległ pokusie odebrania jej kota. Po całym tym porannym zamieszaniu pozostał nieopłacony rachunek i kolejna pusta klatka w boksie dla zwierząt.

Krystian ochoczo wziął się do pracy. Podczas czyszczenia boksu jak zawsze opowiadał smętnym pacjentom, co dzieje się z dala od ich klatek. Rzucił kilka zdań na temat Iwanki, pochwalił jej niewymuszoną radość, z jaką wszystko robiła. Sprzątała, opiekowała się Stasiem czy wypełniała ranek chwilą rozmowy z obcym chłopakiem. Zauważył, że temat wywołał zainteresowanie starego setera, który z powodu wrzodów żołądka na co dzień nie przejawiał żadnego zainteresowania zewnętrznym światem. Szepnął parę słów o awanturze w poczekalni i dałby głowę, że wszystkie koty zmarkotniały. Wreszcie obwieścił nowinę elektryzującą nawet zarozumiałe papugi:

– A nasza doktor Hania siedzi sobie na murku i opala dekolt. Oświadczam wam, że już wiadomo, gdzie zaczyna się jej smoczy tatuaż!

– A ja myślałam, że rozmawiasz przez komórkę. – Pani Mariola zamrugowała zalotnie powiekami i mocniej ścisnęła pasek swego minifartuszka. – Tyle w tobie, Krystianku, czułości, że szkoda cię dla zwierzątek. Mógłbyś się nami zaopiekować. Że też wolisz te... rozwydrzone ptaszyska! – Spojrzała z udawanym gniewem w stronę swych pacjentów.

Krystian odpowiedział grzecznym uśmiechem, chwytając worki z odchodami. Kiedy szedł w stronę kontenerów, wciąż jeszcze się uśmiechał.

Matka miała rację. Kiedy wrócił do domu, pani Trudzia przekazywała właśnie swej córce stłumionym głosem relację z wizyty w szpitalu, nie szczędząc szczegółów związanych z

cewnikowaniem wuja Karola. Na widok Krystiana taktownie się rozłączyła i zaczęła ostentacyjnie czyścić słuchawkę telefonu.

Matka, wyposażona w małe lustro, które trzymała zawsze przy sobie, lustrowała twarz. W jej oczach gościł nieustępliwy wyraz niedowierzania, który próbowała zamaskować radością z powodu powrotu syna.

– A tak sobie myślałam, Krystianku, że może kupisz mi jakiś krem. Nivea najlepiej, bo to od wojny dobry. Nawet twoja babcia, piękna kobieta, zawsze tylko nivea. A co ty tam masz pod pazuchą? Krzewinki przyniosłeś? Oj, posadźmy pod tarasem! I znowu będzie u nas najładniej! Pamiętasz ten twój pięciornik? Zawsze latem kwitł. Wszystkie panny go oglądały, jak do kościoła szły. A ja, synuś, pomyśl, tyle lat już do kościoła nie zajrzałam. Wiadomo, taty służba nie družba. Miałam do wyboru, tatę kochać albo z Bogiem się bratać. I widzisz, synuś, tak sobie wybrałam, że jeden i drugi mnie opuścił. Ale o czym to ja ci chciałam powiedzieć... Że ten krem to przy okazji byś mi kupił. Przecież i tak w domu siedzę, na bal już się nie wybieram. Chyba że z tobą. Jak już jakąś księżniczkę upatrzysz i matkę starą na ślub zaprosisz, to nawet nową garsonkę sobie kupię. Chyba zieloną. Trzeba mieć w szafie jakąś nadzieję na szczęście...

Żoliborz. Willa Wolskich

Iwanka nie lubi Igi.

Słowa z nią nie zamieniła. Owszem, grzeczne „dzień dobry” w drzwiach. Uśmiech. Prosimy do salonu...

I te grzeczności niepotrzebne! Od początku było jasne, że Iwanka dla Igi to kolejna dobrze wyrobiona pizza, przysłana tu, na Dygasińskiego, za sprawą niejakiego Mykoły. Swoje trzeba chwalić, więc Iga rzuca czasami w stronę fartuszka Iwanki jakiś zdawkowy komplement, tani cukierek w pozłotku. Iwanka dziękuje cicho, z pochyloną głową, a przy okazji złękciona sprawdza, czy ręce jej dość czyste, gdy stawia tacę z napojami.

Usta Igi przypominają lakierowaną różową torebkę. Wiecznie niedomkniętą. Nie mieszczą się w niej przyniesione słowa. Kiedy Iga częstuje nimi Agatę, są jak znieczulające tabletki. Lepkie, łatwe do przełknięcia. Agata szybko zapada po nich w senność. Trwa w niej przez całą wizytę, pozwalając Idze odzierać się z pewności siebie. Ścierać z twarzy niewidocznym płatkim makijaż szczęścia lub choćby zadowolenia. Bo Agata przed wizytą Igi jest kimś innym niż po jej wyjściu. Kiedy Iga opuszcza dom, tabletki przestają działać. Iwanka już wie, że choćby bardzo starała się pomóc, od nowa napełnić świat Agaty jej poranną energią, nic z tego. Pozostanie już taka pozbawiona życia. A kosz w jej pracowni napełni się kolejną porcją porwanych szkiców i wyrzuconych projektów.

I zawsze tak samo.

Iwance trochę wstyd. Bo wcale nie chodzi tylko o Agatę. Jest jeszcze własny żal, własna zapiekła boleść. Wciąż nie wybaczyła Mykole, że się jej wyparł. Że jak święty Piotr Jezusowi zaprzeczył, tak i on koleżankę z niej uczynił, a koleżanka – nie narzeczona, obca zwyczajnie... Durny, niedobry Mykołka.

Beszta go teraz w myślach, choć sądziła, że wybaczyła już, ręką machnęła, zapomniała. Ale nic na to poradzić nie może, że razem z Igą wspomnienie złe powraca.

Winni oboje; wzrusza ramionami, parząc kawę dla Agaty i jej gościa. Przez nich moja samotność większa była niż na pogrzebie ojca. Niż w dniu, kiedy pakowałam niedużą walizkę, a matka stała w drzwiach ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Jakby tym znakiem zagradzała mi drogę do swojego serca. Na zawsze...

Nie Iwanki to zadanie – roztrząsać, osądzać. Trzeba się skupić na serniku, bo niedopieczony, trudno go kroić w małe kawałki. Trzeba milczeć, uśmiechać się i mieć czysty fartuszek. Tego od niej Agata oczekuje. Iwanka zrobiłaby dla niej dużo więcej. Wyrzuciłaby to złe babsko za drzwi, ściągnęłaby siłą z lawendowej sofy. Tymczasem pani prosi, żeby zabrać Stasinka. Przycupnął biedaczek pod stołem, przerażony. Drży, ale siedzi mocno przy nodze stołowej jak pestka w śliwce.

Gdyby tu siedział i serniczkiem częstował się choćby taki Krystian... Na jego widok Staś uśmiecha się pełną buzią, Agata młodnieje. Nawet pan Wolski lubi pożartować z młodym sąsiadem... Ale widać tak musi być. Jest czas Krystiana. Uczynnego, miłego, co dla Wolskich, wydaje się, serca nie szczędzi. I jest czas tej zmory zimnej. Przysawki złośliwej, nadgryzającej Agatę w dziennym świetle jak jakaś miejska hiena.

Strach myśleć, patrząc na Agatę, że ona w tym całym nieszczęściu taka szczęśliwa. Słowami-tabletkami obsypana, trwa w narkotycznym śnie. Niech więc i tak już zostanie. Iwance nic do tego.

Powisłe

W mieszkaniu profesora pachnie ziołową herbatą. Niezbyt intensywnie, ale nozdrza Iwanki za każdym razem wyczuwają tę woń. Grając, myśli o niej jak o niewidzialnej sublokatorce, zasiedziałej w starych dekoracjach. Zapach i muzyka są podobne. Ulotne. I, o czym Iwanka jest głęboko przekonana, widzą je najwyraźniej tylko niewidomi.

Kiedyś wystąpiła gościnnie w ośrodku dla dzieci z wadami wzroku. I choć większość z nich miała oczy zamknięte, Iwanka wyczuwała, że nie przeoczą żadnego fałszu. Zagrała wówczas doskonale. Nikt wcześniej z taką uwagą nie słuchał jej muzyki.

Może teraz. Profesor.

Zaprosiła go, żeby pobyl z nią, nie będzie przeszkadzać, wręcz przeciwnie... Przejął się bardzo. Nawet kubka herbacianego nie przyniósł. Siedzi jak trusia we własnym fotelu. Drżącą dłonią przykrył drugą. Skupiony, poważny.

Żeby Mykoła taki był, myśli Iwanka i mocniej przyciska strunę, lekko kalecząc zamysł Schumanna. W tym momencie jego fantazja powinna płynąć potoczyć się, jak woda obmywająca płaskie kamienie. Albo wiatr szeleszczący wśród starych dębów. Dlaczego dębów? Może bardziej romantyczne od innych drzew? – myśli Iwanka i zmusza niewidzialne listowie do lekkiego szelestu. Odzyskuje władzę nad instrumentem. Fantazja rozwija skrzydła. I choć nie unosi się w przestworza, doskonała w swej melodycznej inwencji, szybuje na całkiem przyzwoitym poziomie. Aż Iwanka uśmiecha się radośnie, mierząc jakoś swej gry wzruszeniem profesora. Z półprzymkniętymi powiekami zdaje się przyglądać to pojedynczym dźwiękom, to całej kaskadzie. Rozsypują się po jego skromnym pokoju, to połyskliwe jak złote ziarno, to ponure niczym ciężki deszcz. A na twarzy starca cały czas piękna pogoda.

A potem siedzą z profesorem przy koślawym stole. Iwanka zawsze ma ochotę przetrzeć go mokrą szmatką. Chętnie zaprowadziłaby porządek w całym mieszkaniu, ale nie śmie tego proponować.

Dziwne, bo oboje piją zawsze czarną herbatę, lekko aromatyczną, niemającą nic wspólnego z ziołami.

Boi się oceny profesora, ale nie zachęca go. O nic nie pyta. Nigdy dotąd nie zawiódł. Wytrawny słuchacz.

Babcia Łesia, patrząc teraz na nią, powiedziała, że połyka kluski jego słów jak wygłodniała geś. A połyka! A cieszy się, jak to chwala. Dobrze były niskie brzmienia, dźwięczne. Tak myślała! Palce szybko przypominają sobie, do czego stworzone. Mówi jej profesor, że nie tylko palce powinny. Ona też. Jeszcze jest czas, aby zaczęła robić to, co robi tak pięknie. Codziennie! Co...!

Aż zaczyna martwić się o profesora. On tak się wzrusza, rękę kładzie na kamizelce, może i serce słabe?

Uspokaja go, przysiada obok. Jak tylko taka możliwość nadarzy się, to choćby od jutra rzuca pracę, obiecuje. Mama też by się cieszyła – wzdycha i uśmiechnięta zmienia temat.

Musi profesorowi Drohobycz pokazać. Magiczny, cynamonowy. Ulicą Krokodyli pójda, kwas chlebowy niejedni piją. Na cerkiew, na domy drohobyckie, na zagumieniki razem popatrzą. Jak to, nie wie profesor, co to zagumieniki? Jakież tam gumowce! Ogrody wielkie, kwitnące, warzyw dorodnych pełne. I sady. W maju to dopiero widok przedni, jak kwitną wszystkie, białe niczym panny młode. Nic, tylko zachwycać się. Usiąść, w dal patrzeć, mleko osikowe z zimnego kubka popijać...

Kiedy już zbiera się do wyjścia, profesor wciąż roztrząsa jej aranżację. Wreszcie, śmiejąc się przekornie, krytykuje ładunek liryzmu.

– Zbyt może wiele go było, zwłaszcza w części drugiej... Osobiście wolałbym mniej cukierków, więcej ekspresji...

– *Peredał kuti medu*, tak u nas mówią – śmieje się Iwanka. – No, inaczej powiedzieć, więcej dałam miodu niż potrzeba! – wyjaśnia staruszkowi, a po chwili namysłu dorzuca, że i Pan Profesor – Miodyński! To nie ma co dziwić się, że zagrała za słodko!

Drohobycz

Anna Matwijenko z coraz większym niepokojem szuka w rzędzie płyt koncertu wiolonczelowego Schumanna.

Położyła na dolnej półce, obok Dvořáka. I nie ma. Trafia na znajomą okładkę, kiedy już zwątpiła w sens bezładnego przewracania płyt. Jest na siebie zła. Za nieład. Bałagan. Przecież pamięć wciąż ma znakomitą. Gdyby nie to, rzadziej brałaby krople na uspokojenie. Wszystko przez pamięć. Głowa jak magazyn rzeczy niepotrzebnych. Sumienie cięższe od skały. Wspomnienia gorzkie. Piołun przy nich lukrem.

Podnosi płytę do światła. Zdmuchuje drobinki kurzu, zanim czarny krążek zawiruje na talerzu gramofonu.

I jak zawsze siada podenerwowana na kanapie, czekając na pierwsze akordy koncertu a-moll. Uspokoi się, gdy już wiolonczela wyjdzie z cienia i zwycięskim smyczkiem poprowadzi orkiestrę własną drogą. A wyjdzie. Zabrzmi odważną gamą niskich tonów, pokaże, co potrafi. Potrzeba tylko cierpliwości.

Wiolonczela już naciera, choć nie walczy. Przedziera się bez kłopotu przez las innych instrumentów. Radośnie biegnie własną linią melodyczną. Wystarczy przymknąć oczy, żeby lepiej zobaczyć Iwanekę. Jak siedzi przed orkiestrą. Biała bluzka i granatowa spódnica. Koniecznie. Że też ona zawsze tak obciąga te fałdy spódnicy! Nieładnie to wygląda. Gdyby jeszcze włosy bardziej zaczesła, mocniej spięła. Uwięziła niesforne kosmyki, które teraz po twarzy roztańczone. Posłuchałaby choć raz matki. Ale nie, uparta, jak jej ojciec.

Anna Matwijenko mocniej zaciska wargi. Szczelniej otula się pledem. Spogląda na ścianę ze zdjęciem pomniejszonego Jegora Matwijenki, kontrolera jakości. Jakby go chciała wzrokiem przeprosić. I nie za to, że uparty. Bo kto jak kto, ale Jegor Matwijenko nigdy uparty nie był. Nie to, co ojciec Iwanki...

Igła gramofonu już dawno dotarła do kresu. Teraz głucho zagłębia się w winylowe rowki. Anna Matwijenko tego nie słyszy. Rzadko się zdarza, by głośniej słyszała siebie niż muzykę. Czasami jednak tak bywa i w takich chwilach nawet krople na uspokojenie nie pomagają.

Warszawa. Żoliborz. Zakład fryzjerski

Nad zakładem fryzjerskim wisi kolorowy szyld „Julia” Wnętrze jest niewielkie, z paroma ledwie fotelami dla klientek i stanowiskiem do mycia głowy, ukrytym za ścianką-kwietnikiem.

Tylko tyle widać przez witrynę, nie licząc wesołego bałaganu, jaki panuje w każdym zakładzie.

Iwanka lubi myśleć, że uwijająca się wokół kobiecych głów dziewczyna to jej dobra znajoma. Koleżanka z drohobyckiego podwórka, Julka, z którą śpiewała kiedyś w chórze, albo jedna z tych uczennic matki, najbardziej niepokorna i rozbrykana. Koniecznie taka, bo często się śmieje i chętnie rozmawia z klientkami. Iwanka dawno to zauważyła. Zawsze gdy przechodzi obok zakładu, zwalnia. Czasami nawet przystaje i przez chwilę ogarnia wzrokiem wesoły tłumek paradyjących w ręcznikach. A właścicielka jak dyrygent, tyle że zamiast batuty grzebień albo nożyczki.

Bywa, że fryzjerka, wiedziona jakimś instynktem, nagle odwraca głowę i ich spojrzenia się spotykają. A może to nie instynkt, tylko te duże lustra? Całą moją ciekawość gromadzą. Znają mnie! Przeżona tym odkryciem, umyka spod zakładowej szyby, ale następnego dnia znowu zwalnia, zagląda.

Dzisiaj kolorowy szyld nie przyciąga jej uwagi. Beznamiętnie odczytuje wesołe litery i nie znajduje w nich nic zabawnego. Jak mogła sądzić, że ten fragment ulicy, z wciśniętym w stare mury bazarkiem i fryzjerską witryną, jest jak wypisz, wymaluj, drohobycki zaułek? Bzdura! Obce miasto i ona sama!

Łatwo przychodzi Mykole jednym esemesem plany zmieniać. Z kolegami wieczór spędzi. W interesie ich wspólnym pewnie znowu pijany wróci i powie, że tak trzeba. Nie istnieje inna droga do przyszelego domu na przedmieściach Lwowa, z ogródkiem i pralką wyposażoną w program do suszenia. A że Iwanka uparta, cały czas dom nieistniejący stawia, okna firankami stroi, to jakie on, Mykoła, ma wyjście? Nic, tylko o trasę walczyć, repertuar doskonalić, pić, z kim należy...

Mniej już Iwankę boli to obarczanie jej winą za marzenia. Zobojętniała. Dawno przestała w ten głupi dom wierzyć. Tylko Mykole wciąż się wydaje, że ona dalej taka naiwna, głupia...

Ciąży siatka pełna pięknych sukienek. Wszystkie jak na Iwankę szyte. Może trochę za długie, bo Agata wyższa. Da je skrócić w Pętelce. Ale nawet i bez tego wygląda w nich ślicznie. Najpierw wziąć nie chciała, zapierała się, nie i nie. Bo czy wypada służącej takie drogie, eleganckie *rzeczybrać*?

Agata w śmiech, że koniecznie musi, bo inaczej pójda do kosza. Więc już bez kłótni, bez nie i nie, wszystkie ostrożnie spakowała. Jak jakiś skarb. Tę w jaskrawe maki na różowym tle wyśle Oksance. Niech szyku zada! Cały Lwów będzie się oczami do takiej łąki przyklejał...

Oksana daleko. Za daleko, żeby ogarnąć nowe życie Iwanki. Dlatego już i nie ma po co zbyt szczerych listów pisać. Złe szybko przemija, a w takim durnym liście na zawsze zostaje. No i przez to listy Iwanki coraz krótsze, rzadsze...

Kiedyś tam wejde, obiecuje sobie, odprowadzając smętnym spojrzeniem ulubioną witrynę zakładu. Poproszę o ładne uczesanie. Nic szczególnego, żadnych tam kaprysów, żeby na Miłę Kunis czy Angelinę Jolie. Włożę jedną z tych pięknych sukienek i wejde na pewno.

Iwanka ponownie przekłada siatkę z ręki do ręki, zanim przejdzie na drugą stronę ulicy. Stamtąd do przystanku już niedaleko.

Lwów

Julia Oszurko trzęsa się z zimna, choć w całym Lwowie wszystkie okna były przez noc szeroko otwarte i nikt nie mógł spać z powodu upałów. Taki komunikat podawano następnego dnia we wszystkich stacjach miejskiej telewizji.

Julia Oszurko również nie mogła zasnąć. Jej ciałem trząsał niewidzialny chłód. A gdy próbowała schronić się przed nim pod ciężką kołdrą, dopadał ją senny koszmar. Co zamknęła oczy, to otwierała je przerażona, że nie zdąży na koncert w Kijowie. Spóźni się albo wsiądzie do złego pociągu.

Kiedyś tak się stało. Miasto afiszami oblepione. Na każdym rogu papierowa Julia Oszurko ze smyczkiem zwycięsko nad głową uniesionym. Wielbiciele czekają, orkiestra nerwowo stroi instrumenty, a ona w tym czasie do Odessy zmierza! Taka pomyłka, taki wstyd! W połowie drogi wprawdzie wysiadła, samochód zamówiła, do Kijowa ruszyła, kierowcę jak pastucha popędzając. Ale tam już po wszystkim. Brawa rozdane. I wiedziała, kto je przywłaszczył. Zawsze ta sama...

Lepiej nie spać, czuwać. Wielbiciele już czekają. A ci całe życie dla niej najważniejsi. Jedyna taka bezcenna kolekcja Julii Oszurko. Rozproszona po świecie, niepoliczalna. Rosnąca w jej wyobraźni jak monstrualny płód, wciąż dzielący się na osobne istnienia, które od dawna mieszkają w jej osobistej przestrzeni. Nikt o tym nie wie. Może tylko koty, bo wciąż im tu ciasniej, coraz bardziej najeżone i skulone w sobie.

Lepiej nie spać. Czuwać. Noc coraz chłodniejsza, ciemno. Na pewno Anastazja Owerkowicz, żmija przebiegła, chciałaby i teraz ją w Kijowie zastąpić, słuchaczy odebrać, kłaniać się nisko na stołecznej scenie. Jej to sprawka, że czarno za oknem. Na pewno kazała lampy uliczne wyłączyć, Ormiańską w mroku pogrążyć, żeby Julii światło nie obudziło. Żeby pociąg, a najlepiej całe życie przespała.

Przebiegłość Anastazji Owerkowicz jest wyrafinowana jak najtrudniejszy koncert. Zadba o to, by Julia zapadła w kamienny sen, gdy trzeba grać. Ale tak to nocami spać nie pozwala. Podstępnie budzi. To kołdrę ściągnie, to szczurów stado oknem wpuści i patrzy z ukrycia na przerażenie Julii. No bo jakże to, żeby po domu, w którym są koty, szczury samopas biegały?

Już kilka razy Julia przyłapała ją w swoim mieszkaniu. Któregoś dnia siedziała na starym piecu, w halce tiulowej, podwójnej. Uszyła ją dla Julii gorseciarka stołeczna, kiedy okazało się, że ma grać na koncercie specjalnym dla towarzyszy z partaktywu. Ze łzami Anastazję prosiła, niech odda halkę, pamiątkę bezcenną, z nitek wspomnień utkaną. A ta głucha! Wielka głucha skrzypaczka z Turki! Zamiast zniknąć, rozwiąć się, w kurzu halkę utyliła, frojmycha, czarownica skrzekliwa. Wprawdzie Julia zdarła z niej wreszcie łaszek nieszczęsny, ale rano znalazła tylko żałosne strzępy. Trupie fiszbiny. Martwe płatki tiulu po całym domu przez koty poroznoszone.

Albo w stojącym zegarze siedzi. Wzrok Julii Oszurko z niepokojem spoczywa na nieruchomych wahadłach. Tam też Anastazja lubi się ukryć. Jednej nocy obudziło Julię nierówne bicie serca. Przeróżliwie głośne. W pierwszej chwili chciała uwolnić je z piersi i wyrzucić z siebie. Jak truciznę. Dopiero gdy strach zelżał, spostrzegła, że to nie serce. To zegar wali na trwogę, a za szybką szydercza twarz Nastii drwiąco na nią patrzy. Związała więc wahadło wstążką czerwoną. Życie zegarowi odebrać musiała i teraz nawet nie wiadomo, która naprawdę jest godzina, a pociąg czekał nie będzie.

Poza tym zimno.

Ruszyła do szafy. Piękna suknia, dzieło najpierwszej lwowskiej krawcowej, Sofii Dudar, cierpliwie czekała na kolejny koncert. Julia Oszurko, zanim ją zdjęła, mocno wtuliła w pudrową tkaninę poźółkłą twarz. Z trudem powstrzymała się od łez wzruszenia, pełna obaw,

że na delikatnej materii pozostaną plamy. Dawno tak wylewnie z nikim się nie witała. Nikt też nie czekał na nią z podobnym poświęceniem. Wytrwale walcząc z armią moli, wdychając zatechłą naftalinę, a przy tym dbając o formę bufiastych rękawów, wąską talię i doskonałą prezencję.

Szybko pozbywa się nocnej koszuli. Sprawdza w lustrze toaletki, czy przypadkiem nie podgląda jej Anastazja. Ale w lustrze drży tylko nagie, bezbronne ciało Julii, powleczone zbyt dużą skórą, bezradnie zwisającą z suchego szkieletu.

Pudrowa suknia nie chce porządnie leżeć.

– Trzeba ją będzie po koncercie przerobić – szepce do siebie Julia, drepcząc po pokoju. – I modystkę nową znaleźć, bo kapelusze już przez mole zjedzone. Do niczego.

Zanim włoży ciężkie futro, uwalnia wahadło zegara, a czerwoną wstążkę wyrzuca przez okno. O czymś zapomniała. No tak, koty. Trzeba im miski napełnić, bo nie wiadomo, kiedy wróci. Wprawdzie sąsiadka z dołu zajrzy, jedzenia dosypie, ale milej kotom czekać przy pełnej misce.

Kiedy otwiera balkonowe drzwi, za oknem powoli ustępuje mrok. To dobry znak. Będzie się lepiej podróżowało. Na ulicach pusto. Przemknie w stronę dworca niepostrzeżenie. Specjalnie zostawiła buty, żeby o chodnik nie stukały.

Z trudem staje na krawędzi balkonu. W chwilę potem wszystko wydaje się proste. Dawno nie miała tyle powietrza w ustach. Ktoś w jej głowie gra Schumanna. Trzeba przyznać – doskonale. Wiadomo, Anastazja! Ale teraz już wszystko jedno. Niech gra. Julii Oszurko dobrze się leci nad kamiennymi płytami ormiańskiej katedry. Pudrowa falbana powiewa jak latawiec. I wreszcie nie jest jej zimno. Również o tym, jak leciała, mówili w porannych wiadomościach. Najpierw o upale, a potem o Julii Oszurko na tle zdjęcia, gdzie w heroicznym geście trzyma smyczek wysoko uniesiony nad głową.

Warszawa. Żoliborz. Centrum handlowe...

To był dobry pomysł – wejść do drogerii w godzinach szczytu. I choć początkowo Krystian obawiał się tłumu kobiet, odetchnął z ulgą, gdy wyłowił wśród nich znajomą sylwetkę dziewczyny z naprzeciwka.

Od kilku tygodni właśnie tak nazywał Iwankę. Wiedział, że nie mieszka u Wolskich, ale spędzała na Dygasińskiego więcej czasu niż on. Wracała do domu późnym popołudniem. Czasami jej towarzyszył. Rozmawiali o błahostkach, o Stasiu, cenach polskich płyt i repertuarze w kinach. Potem Krystian skręcał do sklepu, a ona żegnała go skinieniem dłoni i biegła na swój autobus.

Teraz dostrzegł, że w gwarnym dziale drogerijnym czuje się tak samo zagubiona jak on. Przywitał ją radośnie, zerkając na zawartość koszyka. Szybko schowała swe zakupy za plecami.

– Nie można zaglądać. Zabronione! – Zmieniła zakłopotanie w śmiech, a Krystian nie mógł ukryć zmieszania. Kupowała podpaski i prawdopodobnie krępowało ją jego wścibskie spojrzenie.

– Przyszedłem po krem dla mamy. – Nadrabiał miną, ale jego trądzikowa twarz stężała od nagłej czerwieni.

– Pomóc ci? – spytała i ruszyła do półek z kosmetykami.

Wracali niespiesznie. Krystian uparł się nieść wielką torbę proszku do prania. Przy placu Wilsona jak zawsze przymknął oczy, a gdy je otworzył, dostrzegł, że widok jego towarzyszki cieszy przechodniów, chętnie zatrzymujących na niej wzrok. Szukał pasującego do Iwanki epitetu i po krótkich lingwistycznych zmaganiach doszedł do wniosku, że jest słoneczna. Zastanawiał się, czy jej o tym powiedzieć, ale uznał, że na tak daleko posuniętą szczerość byłoby za wcześnie. Zamiast tego, ku własnemu zaskoczeniu, wyjawiał jej swój sekret:

– Nie mam prawa jazdy ani komórki. Podniosła na niego zdziwione oczy.

– To bardzo... inaczej niż wszyscy! – rzekła prostodusznie. – U nas mówią, nie będzie ryba rakiem. I prawda to. Najlepiej sobą być, swoje mieć, nie patrzeć, co drugiemu potrzebne...

– Uważasz, że to normalne? Być facetem bez komórki i samochodu? – upewnił się, przekładając worek proszku do drugiej ręki.

– I owszem, że normalne – zapewniła. – Jeżeli tych rzeczy nie potrzebujesz, to i po co gromadzić? A jak zakochasz się, to już i telefon kupisz! Ot, i będzie po twojej tajemnicy! – Roześmiała się dziewczęco i tak szczerze, że ochoczo jej zawtórował.

Mamę zastał przy kryształach. Delikatnie podnosiła jeden po drugim, badając pod światło spustoszenia, jakich dokonały niewidzialne smugi nalotu.

– Popatrz, synuś, pani Trudzia ale to nic nie dba o zastawę! Musisz chyba ojcu powiedzieć, żeby jaką inną tu kobietę przysłał, bo przy tej my fortunę stracimy...

– Przecież nie lubisz, jak ktoś obcy dotyka. – Krystian przyskoczył do matki w obawie, że nie odstawi o własnych siłach potężnej karafki. – Jutro wykąpiemy kryształy, dobrze? – Odłożył naczynie na miejsce. – Krem ci kupiłem.

– Skąd wiedziałeś, że ma być nivea? To bodaj niemiecki. W każdym razie już Niemki wiedzą, jak o cerę dbać. Wystarczy nivea, a przy innych dolegliwościach to one na wacik siusiąją. Jedna, dwie kropelki. Posmarujesz chore miejsce i zaraz poprawa. Kiedyś taka Niemka przyjeżdżała na Mazury, jak tam jeździliśmy na wczasy. Pokazała mi co i jak. A była wcale, wcale. Zdaje się, że nawet twojemu ojcu wpadła w oko. Ale nie powinna, uważasz. W końcu ojciec twój polski oficer, a tu Niemka... No, opowiedz, jak w pracy. Dobrych chyba

masz pacjentów, bo przynajmniej nie donoszą na ciebie. Chyba że papugi. Major Drąg miał papugę i ona, proszę cię, wymawiała imię jego kochanki, aż się żona wszystkiego domyśliła. Cóż to był wtedy za skandal... Zdaje się, wybuchła trzecia wojna światowa. To co? Dziś nie opowiesz mi o zwierzątkach? Zmęczony jesteś? To odpocznij sobie, synuś. Ja i tak chciałam teraz tabletkę wziąć, bo jakieś czarne myśli mnie naszły. Pewnie przez kryształ. Ale zaraz przyjmę i będzie dobrze. Spokojnie. Żebym tylko zaręczyn Luizy nie przespała. Jak znam życie, to Juan dziś się oświadczy, a ja będę tu jak kłoda bal maturalny śnić. I mleka mi przynieś. Więcej nic nie potrzeba...

Żoliborz. Zakład fryzjerski

– Chodzi tylko o to, żeby je uczesać – mówi Iwanka, zbyt cicho. – Umyć i uczesać – dodaje nieco głośniej.

– Jasne.

Fryzjerka ma mocny, a nawet gruby głos, ale uśmiech ten sam co zza szyby. Zaprasza ją za kwietnikowe przepierzenie. Iwanka zamyka oczy. Ręce fryzjerki są duże, ale delikatne. Chciałaby przez chwilę wierzyć, że siedzi w drewnianej balii, a babcia Łesia namydla jej głowę szamponem. Potem długo, długo je masuje, narzekając na Iwankowe zadrapania i siniaki. Pełno ich na całym ciele, jak to w wakacje...

Dobrze, że tu przyszła właśnie dziś. Pusto, jeśli nie liczyć staruszki uwięzionej pod wielką suszarką. Czyta kolorową gazetę, ale najwyraźniej ciąży ondulowana głowa, a oczy walczą z sennością.

– Majątek takie włosy. – Fryzjerka fachowo owija je ręcznikiem. – Powinna pani farbę jakąś reklamować! – Śmieje się. – Najlepiej barwy natury, bo inne tylko zaszkodzą! No i ścinanie surowo wzbronione. Pod karą śmierci!

Jest tak miła, że Iwanka odczuwa wielką potrzebę zwierzeń. Wystarcza jedno pytanie, do jakiej okazji dobrać fryzurę, aby oszczędne na początku zdania popłynęły bez zahamowań. Wszystko powiedziała tej obcej dziewczynie. Że to na pogrzeb. Że wprawdzie pogrzeb daleko, we Lwowie, a ona tutaj, ale chociaż w ten sposób chciałaby... Myślała, że pojedzie, będzie tego dnia ze swoim narzeczonym, synem zmarłej. On jednak wolał sam. Taką wolę trzeba uszanować. A jego mama znana skrzypaczka. Nawet tu, w Polsce, oklaskiwana. Kiedyś piękna, bogata. Potem bardzo samotna. Jak to na emeryturze. No i źle się stało, że nikogo przy niej nie było. Trudno będzie o tym zapomnieć. Sumienie gryzie...

Iwanka przeprasza za te łzy. Sama nie wie dlaczego. Właściwie to pierwszy raz od czasu, jak się dowiedziała...

A kawę wypije chętnie. Dziękuje fryzjerce, kiedy ta stawia przed nią parującą filiżankę. Przyznaje, że już dawno chciała tu wejść. Czekala na jakąś specjalną okazję. Szkoda, że taka smutna się trafiła. Ale może tak musiało być?

Fryzjerka delikatnie modeluje włosy Iwanki grubą szczotką. Układa je starannie, pasemko po pasemku.

Ona podobnie uważa. Musiało tak być, i już. Nic się nie dzieje na darmo. Wszystko gdzieś zapisane. Każda podróż, spotkanie, znajomość. Musi istnieć jakiś wielki rozkład ludzkiej jazdy. Kiedyś myślała, że Pan Bóg ma gruby notes i w nim wszystko planuje. A potem taką miała w życiu kaszanę, że kto jak kto, ale Bóg nie mógł mieć z tym nic wspólnego. Bo najpierw umarła mama. Na raka. Za szybko i tak bardzo boleśnie. Aż wykrzywiona od tych całonocnych cierpień. Ojciec cierpiał razem z nią, bo to była taka para jak z jakiegoś filmu o miłości. Że choćby nie wiem co, oni zawsze razem. Obok siebie. Jak już mama musiała na własnym łóżku spać, to siedział przy niej. Wiecznie niewyspany. Tak to wyglądało, jakby się okropnie bał, że kiedy wyjdzie z jej pokoju, to ona wreszcie tych męczarni nie wytrzyma i mu ucieknie...

Julia zgarnia włosy z pochmurnego czoła.

Nie wie, dlaczego tej właśnie dziewczynie, obcej przecież, mówi o rodzicach. Zwłaszcza że wciąż ma do nich żal. W tej miłości egoistycznej, do siebie nawzajem skierowanej, o niej całkiem zapomnieli. Jakby była mniej ważna od któregoś z nich.

Bo ojciec to przecież oszczędził bardziej na własną prośbę... Wcześniej na nic nie chorował, ale po pogrzebie mamy wszystko mu się pomieszało. Rok za nią tęsknił tak bardzo, że całkiem wyparł jej śmierć. „Poszła tylko po zakupy” – mówił i wypatrywał w oknie, kiedy

będzie wracała w tej swojej chustce na głowie. Bo po chemii wypadły jej włosy i zawsze w tej chustce... A gdy była już noc, robił dwie herbaty. Stawiał dwa talerze i przy kolacji opowiadał, co się wydarzyło. Cicho przemawiał do matki, ale ona i tak słyszała każde słowo. Aż któregoś dnia, jak wróciła z pracy, to go znalazła z głową w talerzu. Zastawa dla mamy była cała...

Fryzjerka mocniej zacisnęła pasmo włosów Iwanki.

W każdym razie po tym wszystkim to ani w Boga nie wierzy, ani w ten jego notes. Może raczej w to, że kiedyś już żyła. Tylko za nic nie pamięta jako kto. Tego jednego nie może sobie przypomnieć. Pewnie była biedronką. Wiadomo, mały mózdzek.

Iwanka uśmiecha się i milczy. Chciałaby powiedzieć coś mądrego, dobrego, ale chyba język za słabo zna. Żadne słowa nie przychodzą z pomocą.

Tak się tym przejmuję, że na chwilę zapomina o Julii Oszurko, jej pogrzebie i Mykole, który wyjeżdżał na Ukrainę z wielkim żalem do matki. Umarła w złym momencie. Musiał się zwalniać, tłumaczyć. Całą złość na Iwankę przelał. A jak mu jeszcze szepnęła, że teraz we Lwowie mieszkanie puste stoi, mogliby wrócić, być bliżej matki choćby po jej śmierci, to tak na nią spojrział... Tak spojrział, że pierwszy raz strach poczuła. Uścisk przerażenia. Jak wtedy, gdy pieska swojego nieruchomego w kuchni znalazła. I później jeszcze na widok paczki, którą matka przyniosła ze szpitala z rzeczami ojca. Jego piżamą, klaserami i lupą. Wzdrygnęła się, aż przestraszona fryzjerka przerwała czesanie.

– Proszę powiedzieć, jeśli zbyt mocno szarpie.

Zapewniła, że nic nie boli. A tak ładnej fryzury to chyba nigdy nie miała. Szkoda, że nie na bal...

Żegnają się dość pośpiesznie. Starsza pani już czeka na swoją kolej. Iwanka dziękuje najładniej jak tylko potrafi, ale ze wzruszenia w polskie słowa wplatają się ukraińskie. Obie reagują śmiechem na ten językowy bałagan.

– Mam na imię Julka, będzie prościej.

– A ja Iwanka – podchwytuje z radością. – Że ty Julia, to wiedziałam. To było dzisiaj ważne dla mnie – wyznaje w drzwiach.

– Ważne?

– Tak. I ona była Julia. Julia Oszurko...

Lwów

Lwów przywitał Mykołę deszczem. Przez chwilę wahał się, czy wskoczyć do tramwaju, czy wziąć taksówkę. Wybrał taksówkę, widząc nadciągające chmury. Z sarkazmem pomyślał, że to pierwsza zmiana po tak długiej nieobecności. Kiedyś nie przyszłoby mu do głowy płacić taryfiarzom.

Niedaleko Ormiańskiej postanowił wysiąść. Ruszył biegiem w stronę Dzygi, unikając kolejnej fali deszczu.

Znajoma kelnerka wyrosła przed nim z żalobną miną. Ależ mały ten Lwów. Plotkarska klatka schodowa. Przyjmował kondolencje zły, że niezręcznie teraz będzie zamówić coś ciepłego. Na szczęście sama się domyśliła, że prosto z podróży. Nic nie jadł. Zaproponowała jajecznicę na koszt firmy. Nie zdążył podziękować, bo już inni poklepują go ze współczującymi minami.

Może to zmęczenie, może cała ta otoczka śmierci matki, którą teraz rozrywają przyjazne słowa współczucia, w każdym razie Mykoła czuje, że ma prawo albo i jakąś konieczność pozwolić sobie na łyzy. To zaledwie moment słabości, wymazany szybkim ruchem dłoni, ściśnięciem powiek. Wystarcza jednak, by dawni kumple z klubu zostawili go w spokoju.

Wyrosłem z tego miejsca, myśli, badając wzrokiem dobrze znane kąty. Właściwie tu się wychował. Wyrastał na jazzmana. Te transgraniczne maratony koncertowe. Od Lwowa po Lublin... Nieprzespane noce, nieuciszone ambicje, lekko skacowane nadzieje każdego następnego ranka... Wydawało mu się, że jest oklaskiwany, a to tylko te nadzieje waliły w głowie. Klaka opłacana złudzeniami...

Zabrał się do jajecznicy uspokojony. Nie znalazł w sobie żadnych wzruszeń. Żadnej więzi z tym miejscem. Umarło jak moja matka, uznał, sypiąc zbyt dużo soli.

Skrzywił się, gdy ta ładna kelnerka posłała mu zza bufetu obiecujący uśmiech. Mógłby ją mieć. Nagrodę pocieszenia na wyjątkowo zgrabnych nogach. Ale bardzo nie chce. Robi kiepską jajecznicę. Pewnie się zakochała, taka słona; uśmiecha się, zadowolony z tego żartu. Ogarnia go impulsywny śmiech, który próbuje bezskutecznie zdusić.

Ci od sąsiedniego stolika patrzą na jego drżące plecy ze zrozumieniem. Wiadomo, matka...

Warszawa. Żoliborz. Willa Wolskich

Wolska nie znosi pakowania. A już najbardziej, kiedy Agatka różne ładne rzeczy jej podsuwa. Prezenty.

Na darmo tyle kupuje. Po co jej, Zofii, na Pustkach takie cudenka. Jak choćby ta maszynka, co z każdego warzywa papkę robi. Kupę nieszczęścia, jak śmieje się Zofia. Jej niepotrzebna hałaśliwa maszyna, skoro papkę widelcem zwyczajnym zawsze ubije jak trzeba.

Agatka uparta, weźmie mama i weźmie, na prezent będzie.

Zofii aż mowę odejmuje z oburzenia. Jak to na prezent?! Komu?! Taką piękną rzecz oddawać, to chyba się Boga w sercu nie ma. Do kredensu włoży. Tam już dużo tych Agacynych darów leży, spoczywają jak w grobie. Ale kiedyś i zmartwychwstaną, jak się jakaś gospodyni w jej kuchni zakręci. Bo różnie to może być. A nuż się Heniek ustakuje. Cudem nie cudem, ale tak się zdarzy. Na nogi stanie. Truciznę od ust sobie odejmie. I wtedy tylko patrzeć, jak go kobietki w miłą niewolę wezmą! Wprawdzie Heniek już raz ślubował, ale mało to się słyszy, że i bez ślubu... Nie wydaje się Wolskiej, aby Bóg o to bardzo się gniewał. On też przecież telewizję niebieską ogląda, to wie najlepiej, jak się świat od śmierci syna jego zmienił, Jezusa Chrystusa.

Wolska z radością patrzy na roześmianą Agatę. Jakaż ona teraz wydaje się szczęśliwa, od czasu Iwanki. Pomogły prośby w kościele, przed ołtarzem składane o dobrą dziewczynę. Lepszej nie trzeba!

Najbardziej nie może się Wolska nadziwić, że dla niej, prostej kobieciny, tamta taka miła. Bo dla kogo jak dla kogo, ale żeby Wolską tak traktować jak jakąś księżną? To gosposia proboszcza ze Szczytowej takich zaszczytów nie zna! „A może kawkę ja zrobię pani Zosi. A naleśniczków usmażę chrupiących, ziółek zaparzę...”.

Mój Boże! Wolska aż wzdycha z zażenowania. I kto by pomyślał, że dla mnie to wszystko ktoś chciałby zrobić. Takiej zwykłej Wolskiej...

Agatka swoje. „Niech się jeszcze mama zastanowi, po co samej siedzieć. Tu na spacerek można, do kościoła blisko. Iwanka mamę lubi”. A po namyśle krótkim dodaje, że i jej z teściową dobrze.

I Wolskiej tu dobrze. W niebie być może tak dobrze nie mają. Bo jest wszystko, aż nadto. Całym Pustkom by tego bogactwa Agaty i Bronka wystarczyło. Ale jechać trzeba. Koty zapomną, obrażą się, a na koniec w lesie zgałganieją. Nie daj Boże, kuzynek szanowny, ten z pudełka, taką sobie porę na odwiedziny wybierze. A tu ani filiżanek eleganckich, ani Wolskiej! A i dom pewnie za nią już zatęsknił. Domy też tęsknią, jak ludzie. I pięknieją z nimi, i starzeją się. Nawet chorują. Wejdiesz do domu cierpiących, od razu czujesz, że i dom chory. Zapada się jakby. Lichociej... A już najbardziej u tych, co ich choroba duszy prześladowuje. Dusza jak uwiera, to i Boże nie pomoże, człowiek na straty i dom na straty!

– I na koniec, Agatko kochana – Wolska robi tajemniczą minę – trzeba wracać, bo Święta Panienska czeka, kurzem obrasta. I też ci szczerze wyznam, że ostatnio coś często Henryś mi się śni. Kto wie? Może powziął zamiar do mnie przyjechać? Trochę się na zupach moich odpaść? Bo jak sam, to nic nie tknie. Mniej niż te chude panie z telewizji. – Wolska śmieje się na samą myśl, że jej Heniek mógłby też w telewizji występować. – A tej pięknej walizki to już na pewno nie wezmę – wzbrania się Wolska. I w swoją starą, z dermy, upycha nocne koszule złożone w równą kostkę.

Lwów

– Robiłam, co mogłam, ale pani Julia, wiadomo, nikogo tu wpuszczać nie chciała. Nawet zakupy prosiła stawiać przed drzwiami.

Mykoła kiwa głową. Dziękuje Annie Mazało, sąsiadce. Ma serdecznie dość jej modlitewnego głosu, który powinien brzmieć nad trumną matki, nie tu, w przedpokoju.

Więcej kłopotu ze śmiercią niż z urodzinami... Wzdycha, myśląc o czekającym go pogrzebie. O koszmarze przedzierania się przez biurokrację zgonów, pochówków, świadectw i ceremonii. Nawet gdyby nagle zatęsknił za matką, zapragnął poświęcić jej chwilę głębszej refleksji albo zbliżyć się do niej, lista spraw do załatwienia skutecznie to udaremniała. Dlatego myśli, jest pewien, że matka swoim dramatycznym i głośnym odejściem chciała zrobić mu na złość. Zemścić się. A więc w pewnym sensie i z niego, Mykoły, uczynić współnika, jeśli nie mordercę.

W mieszkaniu panuje okropny bałagan. Rozrzucone kapelusze, futerał ze skrzypcami zaplątany w zwojach dziwnych sukien. I ten obrzydliwy zapach starości, zdziwaczenia. Zapach matki, która staje przy oknie i wypatruje swojej przeszłości. Ślad jego pierwszej kobiety. – Szkoda, że niekochanej – szepce Mykoła, czując wzbierające łzy. Trudno powiedzieć, z jakiego powodu znowu go dręczą. Czy z tęsknoty za miłością, której nie było? Czy może tylko dlatego, że wokół unoszą się drobinki niewidzialnego kurzu? Bardziej tu zadomowionego niż on, Mykoła.

Siada na swoim starym łóżku. Dopiero po chwili zauważa koty. Ma wrażenie, że patrzą na niego z niemym wyrzutem.

– Jeszcze i wy – mówi, wciąż siedząc bez ruchu. Dopiero po chwili zaczyna je delikatnie głaskać. Zachęcone, wskakują na stary pled. Pracowicie mną go łapkami, wciąż nieufne, gotowe bezszelestnie zniknąć, jak ich pani. Wreszcie usypiają, ale Mykoła jest pewien, że kontrolują go zielonymi szparkami oczu, dźwiękoczułe i wytrwałe w bezradnej kociej tęsknocie.

Warszawa. Bielany

Iwanka stawia na parapecie zapaloną świeczkę. Nic innego nie wymyśliła. Może jeszcze ten czarny szal, którym szczerze się otula, choć wieczór ciepły, czerwcowy.

Próbuje przywołać w pamięci twarz Julii Oszurko, ale powracają tylko jej niespokojne oczy. Rozbiegane spojrzenie.

Czyżby kobieta, dla której cierpliwie rysowała osobny pokój w przyszłym domu, istniała wyłącznie na płytach? Trochę też na ścianie z dyplomami? Na wiotkich fotografiach i w suszonych kwiatach, zżartych przez bezlitosny czas? Innej Julii Oszurko nie ma i prawdopodobnie nigdy nie było. Inną Julię Oszurko mogą znać jej koty, ale i to nic pewnego.

Mykoła trochę do matki podobny. Szorstki, niedostępny... Ale taki się jej wydaje z winy tych skórzanych kurtek, które w Polsce sobie upodobał, na sztuki wręcz kupuje.

Trochę drażni Iwankę to nagłe odkrycie. Kurtki śliskie i zimne, a Mykoła po prostu wiecznie zmęczony, pociesza się, żałując, że obok nie siedzi Oksana. Ona potwierdziłaby, że bez wątplenia zmęczony! I nie ma co dziwić się, że sen wybierze, a nie nocne igraszki. Pracę nad przyjemność postawi. Dla niej, Iwanki, rezygnuje z Iwanki, żeby potem Iwanka wszystko co najlepsze miała...

Oksana potrafi wyjaśnić, uspokoić. Przyjaciółka prawdziwa. Jej mogłaby powiedzieć o wszystkim. Tylko nie o nocach z widokiem na plecy Mykoły. Nie o szybkim, beznamytnym seksie, gwałcącym jej romantyczne marzenia. Tego nie powiedziałyby nawet Oksanie. Wstyd...

Dotyka piersi unoszących się lekkim oddechem pod czarnym kirem. Są piękne i twarde jak krymskie brzoskwinie. I zdaje się, że wszystko z nią, Iwanką, w porządku. Widzi przecież spojrzenia innych mężczyzn. Tak irytujące, pożądliwe, że czasami sprawdza, czy aby na pewno jest ubrana. Oczywiście, że jest! Dopięta pod szyję. W gorsecie żelaznym przed innymi paraduje. Dla Mykoły zrzuca go radośnie. Już nawet nie krępuje jej, jak kiedyś, własna nagość. Ale co z tego, skoro stoi przed nim i czuje się pominięta. W jego myślach nieobecna. Wystygła pizza, której nikt nie odebrał...

Ciekawe, czy mama ucieszy się z prezentu?

Kupiła na pchlim targu trzy analogowe płyty. W sam raz na drohobycki adapter. Nawet jeśli matka z jakichś osobistych powodów Polski nie znosi, muzyki to nie dotyczy.

Zdmuchnięta świeczka broni się jeszcze przed nieistnieniem. Wyrzuca w górę smużkę ciemnego dymu.

Iwanka czuje zimno sączące się przez nieszczelną szybę. Czas zakończyć tę stypę. Pożegnanie dziwne, bo na powitanie, poznanie czasu zabrakło.

A tobie, Julio Oszurko, moja matko niedoszła i nieznana, nie wiem, co powiedzieć na do widzenia. Iwanka wzrusza bezradnie ramionami. Czego ci *życzyć* na tej ciemnej scenie, którą sobie wybrałaś? Może wiecznego podziwu? Ponoć bez niego nie umiałaś żyć. Albo miłości? Ponoć z nią nie umiałaś żyć. Bo przecież nie świętego spokoju. Tego ci nigdy nie brakowało. Syn twój, Mykoła, mówi, że zawsze wolałaś święty spokój. Pragnęłaś go bardziej niż dziecka...

Podwójna wersalka wydaje się Iwance stanowczo za szeroka. Będzie spała na złożonej. Żałuje, że nie ma za ścianą Konrada. Byłoby różnie. Tym razem chyba naprawdę zakochany, myśli z nutką zazdrości. Kiedy wpada, by zmienić ciuchy czy nastawić pranie, aż trudno go poznać. Ogolony, pachnący i taki radosny, że od razu widać, o co chodzi. A jak się stroi na kolejną randkę, Iwanka musi go obejrzeć z każdej strony, doradzić. Czuje się wtedy trochę jak ojciec, kontroler jakości. Za współudział w rozkochiwaniu nowej dziewczyny dostała od Konrada niejedną bukiecik i miło było tłumaczyć się z tego przed Mykołą.

Kran w kuchni nieustannie kapie. Na szczęście przywykła i do kranu, i do szmeru windy, dobiegającego przez cieką ścianę. Nawet do sąsiedztwa ze zsysem, który tylko na początku wydawał się Iwance bardzo europejskim wynalazkiem. Zanim ustaliła, do czego nigdy nie przywyknie, boleśnie rozpamiętując swoją terazniejszą samotność, zadzwonił Mykoła.

Słuchała go i podziwiała to szczególne wycucie czasu. Zawsze potrafił pojawić się w chwili, gdy wkradła się w Iwanki uczucia obojętność. Ta sama, co podszeptowała jej, że nie musi słuchać cudzego kranu i obcej windy. Że zarobiła już dość, by móc zająć się porządkami we własnym życiu. Mykoła jednym telefonem, przytulaniem, pojawieniem się niespodziewanym sprawiał, że zawsze wybierała nieszczęsny kran i cudze zaniedbane kąty. A bilet powrotny rwała w pamięci na drobny mak.

I teraz podobnie. Wierciła się, kręciła. Spać nie mogła. Może z powodu wzbierającego poczucia winy? Bo on tam sam, samiuteńki. I skarżył się tak żałośnie, że wokół obcy ludzie stali, sami wścibscy i sensaci. Spragnieni jeszcze krwi i pogłosek. Tej cmentarnej wiedzy z pierwszej ręki. W majtkach czy bez majtek wyskoczyła? Ponoć głowa jej odpadła, ale przyszyli. Z mieszkania ją eksmitowali? Długi miała czy tylko wariatka?

Okropny to musiał być pogrzeb; wzdryga się Iwanka. I jeszcze Anastazja Owerkowicz wśród żałobników! Jak to możliwe? – zastanawia się sennie. Dawno przecież z Lwowa wyjechała. Nikt nie wiedział dokąd. Potem pisali gdzieś, że umarła. Legenda miasta i uczelni... Ponoć z Julią Oszurko całe życie konkurowały. Na koncertach, balach, w garderobach i sypialniach. Nienawidziły się... Oj, to tam! – upomina się Iwanka. Może plotki tylko!

Mykoła słowa na ten temat nie powiedział. Dopiero dziś, że zobaczył ją w tłumie. Z twarzą przekrzywioną, z uśmiechem szatańskim wpatrywała się w niego. Dziwna. Jakąś wstążkę czerwoną, niestosowną wplotła we włosy. Chciał z nią pomówić, podziękować, że przyszła, ale przepadła nie wiedzieć gdzie.

– Miałaś rację – powiedział na koniec. – Gdybyś obok mnie stała, inaczej by było.

I właśnie z tym zdaniem, powtórzonym kilkakrotnie szeptem, postanowiła zasnąć. Zapomnieć, że gdyby nie śmierć Julii Oszurko, daremnie czekałaby na taką pochwałę.

Żoliborz. Klinika weterynaryjna

Kiedy Krystian po godzinie jedenastej pojawił się w pracy, w klinice wrzało. W poczekalni i pootwieranych gabinetach kręcili się obcy ludzie. Kilku w mundurach i kilku w cywilu. Zbity w grupę personel patrzył z niedowierzaniem, jak ekipa policyjna przetrząsa wszystkie kąty.

Krystian przystanął obok innych. Miał wrażenie, że znalazł się na planie jakiegoś kryminału, gdzie jego dobrzy znajomi odgrywają role statystów. Po chwili uznał, że raczej czarna komedia, bo nie trup w szafie był obiektem ogólnego zainteresowania, ale sama szafa, a właściwie rozbebeszony i ziejący pustką sejf w szpitalnej apteczce.

– Kurwa, Krystian, co za pech! – jęknęła stojąca obok pani Mariola. – Że też to właśnie mnie spotkało... No nie wiem... chyba oszaleć to za mało... – Jej szept stawał się coraz bardziej donośny.

– Spokojnie. Zwyczajny włam! – rzucił, rozglądając się z ciekawością. – Pewnie jakiś ćpun albo zwyczajny złodziejaszek. Wszystko się wyjaśni...

– Chodź na papierosa – poprosiła i ruszyła szybko korytarzem, odmierzając szpilkami nierówny takt. – Słuchaj, co ja teraz mam zrobić?... – zaczęła, kiedy już stali oboje. – Nigdy przedtem to mi się nie zdarzyło, a wczoraj jak na złość! – Dmuchnęła głośno w higieniczną chusteczkę. – Nie patrz na mnie, jakbym aptekę okradła.

– Wcale tak nie pomyślałem – zadbał, by jego głos zabrzmiał zwyczajnie i szczerze.

– Że też Jolka tak mnie załatwiła... Ona ma piętnastoletnią suczkę... Sonię. To znaczy miała... Wiesz, przyjaciółka z ogólniaka jeszcze. I dziana baba, nie to, że jej nie było stać na klinikę. Sonię zawsze tu leczyła. Ale kiedy już nadszedł czas... Sama jej powiedziałam, że już trzeba, bo psa męczy... To chciała jej, tej Soni, oszczędzić szpitala. No i masz! Że mnie podkuś! Wzięłam usypiacza, w zeszycie nie zapisałam... A teraz co? Do pierdła ze mną? Przez starą sukę pójdę siedzieć czy jak? Nawet nie mam o tym komu powiedzieć, bo wszyscy z apteczki biorą. No, wiesz, nie dla handlu. Komuś czasami chcesz pomóc... Wiadomo...

Krystian podał pani Marioli kolejną chusteczkę. Wzięła ją i nie bacząc na obecność sprzątacza, najpierw starła płynący ciemną rzeką makijaż, a potem mocno wysmarkała nos.

– Trzeba o tym porozmawiać z dyrektorem. Najlepiej od razu.

Słowa Krystiana sprawiły, że lekarka bez zawahania sięgnęła po kolejnego papierosa. Z trudnością go zapaliła na wietrze.

– Jak to porozmawiać? Przyznać się? Przecież ten rozbój to nie moja robota!

– Powiedzieć to, co mnie. Sprawa będzie jasna – zapewnił Krystian.

Milczała. Pozbawiona codziennej kokieterii i rubasznych spojrzeń mogła budzić litość. Krystian, rozkoszując się tym niecodziennym widokiem, pomyślał nawet, że taką panią Mariolę zdecydowanie woli. Bezbronną i pełną wyrzutów sumienia. Miałby nawet ochotę objąć ją lekko i przytulić. Ale zamiast tego zgasił czubkiem buta dymiący w trawie niedopałek.

Wracał później niż zwykle, ale radosny. Tego dnia odwołano wszystkie operacje i zabiegi. W zasadzie tylko on miał pełne ręce roboty, bo dogłądanie pacjentów na bloku pooperacyjnym i porządkowanie boksów odbywało się normalnym trybem. Był wdzięczny pani Róży, że poprosiła go o asystę przy zmianie opatrunków, a po wykonanej pracy pochwaliła. „Będiesz kiedyś dobrym weterynarzem” – oceniła spokoj, z jakim niósł ulgę zwierzętom.

I nie było to jedyne miłe zdarzenie.

Idąc, napawał się swoimi drobnymi sukcesami. Radością pani Marioli, która po spowiedzi poczuła się tak szczęśliwa, że trzeba było mocno się starać, by nie paść ofiarą jej wdzięczności. Zaproszeniem od Hani i jej chłopaka na jakąś wspólną imprezę. „Może w

następnym tygodniu?” – rzuciła w jego stronę z motocyklowego siodełka, zapinając kolorowy kask.

Przystał na to, żegnając ją przyjaznym machnięciem. A gdy po intensywnym dniu wynosił śmieci z gabinetów, wyłączał światła i sprawdzał stan wybiegu dla psów, trafił na opuszczającego swój gabinet dyrektora.

„No, kolego, przynajmniej o ciebie jestem spokojny” – usłyszał. To poklepanie po ramieniu, mile ciężąca ręka szefa na jego barku zapewniły Krystianowi dobry nastrój na długo.

Szkoda, że ojciec nie trafił na tę scenę... – rozmarzył się, przecinając plac Wilsona.

Nie martwiło go, że czyjaś pochwała spłynęłaby po ojcu jak łza po policzku pani Marioli. Wystarczyła satysfakcja, że inni mężczyźni doceniali to, co ojciec przegapił. Co zignorował, zajęty wojskowymi tajemnicami swojego wydziału.

Żoliborz. Willa Wolskich

– Co za skurwysyństwo! – powiedziała Agata. W salonie Wolskich telewizor nazywał Ukrainki robotami do sprzątania, a następnie głośno przeproszał za zaistniałą sytuację.

Agata stała bezradnie, z pobladłą twarzą, więc Iwanka zamachała energicznie ścierką, jakby chciała przegonić przykrą chwilę.

Miło było uspokoić Agatę. Zapewnić w imieniu narodu ukraińskiego, że to nie jej, Agaty, wina.

– I u nas nie wszyscy święci – dodała, uśmiechając się z zakłopotaniem.

Sprzątała górę domu z ciężkim sercem. Zabolało. I też w imieniu narodu ukraińskiego. Tych lekarek, prawniczek, dentystek, które ze szmatą po polskiej kuchni latają, żeby ich dzieci już nie latały, matki umierały spokojniej, ojcowie mogli leczyć prostaty. Kobieta ze szmatą nie jest szmatą. Robotem bezdusznym zaprogramowanym na czyjeś szczęście. Można ręce oddać w niewolę, kiedy bieda, ale nie godność swoją... A różnica między robotem i człowiekiem wielka.

– Głupi odkurzacz, nawet źle traktowany, pracy nie odmówi – szepnęła – tyle że cierpieć nie będzie...

Spojrzała ciepło na Stasia. Miała wrażenie, że doskonale ją rozumie. Zawsze jej towarzyszył. Siedział na dywaniku i albo bawił się jakąś małą zabawką, albo udawał, że jej pomaga.

Drohobycz

W porze obiadowej, gdy w Warszawie Iwanka stawiała na stole wazę z barszczem ukraińskim, Anna Matwijkeno w Drohobyczu mocowała się z paczką, którą przyniosła Oksana. Całą złość, nagromadzoną podczas jej wizyty, przelewała na mocno związane sznurki i obręcze taśmy krępujące prezent.

Złość ukryła pod grzecznym uśmiechem, słodkim jak herbata dla Oksany. Potem to najtrudniejsze – wysłuchać z pozornym spokojem o jej sukcesach, planach małżeńskich. A praca!... taka się trafiła dobra, aż uwierzyć trudno. Dekoratorki butików luksusowych, ale już są zlecenia indywidualne. Na knajpki, restauracyjki. Konkurs dizajnerski wygrany, wszystko przed nią!

– I pięknie, i tylko cieszyć się! – Wzdycha, szczęśliwa. – Lepszy w domu groch, kapusta niż na wojnie gąska tłusta, jak mówią...

Ostatniego zdania Oksana już żałuje. Ale za późno. Obie pomyślały o Iwance. O jej wyprawie na wojenkę niepewną. Nawet jak wróci z medalem za odwagę, nic już nie będzie takie jak dawniej. I niepotrzebne te Oksany zapewnienia, że lepiej w Polsce sprzątać, niż we Lwowie karierę robić. Anna Matwijkeno z ulgą zamknęła drzwi za przyjaciółką córki.

A teraz te płyty. Podniosła pierwszą na wysokość okularów, wyławiając nazwiska solistów. Nie dojrzała do końca. Oczy mocno zacisnęła, ale nie pomogło. Płyta wysunęła się z drżących palców i upadła na podłogę.

Anna Matwijkeno zrobiła duży krok, aby ją ominąć, i ruszyła do kuchni.

W kalendarzu sprawdziła dzień tygodnia. Środa. Ucieszyła się. W środy zawsze wielkie porządki. Tyle pracy przed nią, a ona czas marnuje! Otwiera szeroko drzwi szafy i wyrzuca z niej całą zawartość. Cierpi razem z garsonkami, zbierającymi się w sztywny stos, ale nie ma litości. A gdy szafa całkowicie pustoszeje, siada wśród bezładnie rozrzuconych rzeczy i patrzy na nie z nienawiścią.

Maski. Karnawałowe przebrania. Przez wszystkie te lata chowała w nich duszę. Więziła namiętności, uśmiercała w uniformach kupowanych na miarę rozpaczy.

Majtki. Nawet mąż nigdy ich na niej nie widział. Może i dobrze. Majtki wielkie, brzydkie, XL dla bezpieczeństwa. Szerokie i pakowne. Jak futerał na skrzypce, które zagrały tylko raz...

Bluzki. Zapinane pod szyję. Wysoko. W kolorach wypranych z koloru. Bardziej mundury niż bluzki.

Staniki. Ani duże, ani małe. Wszystkie tanie, bez koronek i szyfonu. Biustonosze karne, uniwersalne. Pasujące na każdą smutną kobietę. Dobrze maskujące, odkształcające ciało sprawniej niż oprawca z krwi i kości. Dzięki nim rosną wzgórza brzucha, przesłaniając płaskowyz piersi. I chwała Bogu, że je wreszcie ukarała, swoje piersi, tym okrutnym orężem, żelazną fiszbiną. Bo wszystkie nieszczęścia przez nie. Przez te młode i twarde krymskie brzoskwinie, które dojrzały płomieniem w dłoniach ojca Iwanki. Jednak szkoda, że jego. O ileż łatwiej byłoby żyć z Jegorem przez te wszystkie oszukane lata...

Patrzy teraz martwym, choć mokrym od łez wzrokiem na tę niewolę kobietą. Sponiewierana garderoba bez słowa skargi kornie piętrzy się u jej stóp. A mimo to, mimo nagłej przewagi nad wypatroszonym obozem kobiecej zagłady, Anna Matwijkeno nie czuje smaku zwycięstwa. I zaczyna się obawiać, że zawsze już tak będzie.

Warszawa. Powiśle

Iwanka bez przerwy się myli. Próbuje myśleć tylko o zapisie, który profesor ustawił na lakierowanym pulpicie. Ale pięciolinia dwoi się i troi, palce błędzą wśród rozedrganych strun. Po kilku kolejnych taktach Iwanka rezygnuje.

– Zmęczona chyba jestem – mówi z zawstydzieniem.

– Na pewno.

Profesor obserwuje Iwankę od dłuższej chwili, przykrywając uśmiechem troskę o tę delikatną, bladą dziewczynę. Kiedyś miał studentkę podobną do niej. Zdolną, wrażliwą, kruchą jak porcelana. Gdy przestała przychodzić na zajęcia, zaczął odwiedzać ją w szpitalu. Ale na pogrzeb nie poszedł. Felicja nie pozwoliła z obawy o jego serce.

Delikatnie przejął instrument i skierował pulpit w swoją stronę.

– Dla mojej... zdolnej przyjaciółki ze Lwowa – szepnął, zanim rozpoczął delikatnym pociągnięciem smyczka suitę solo Jana Sebastiana Bacha.

Iwanka zamknęła oczy i pogrążała się w kolejnym zawstydzieniu. Jak mogła zapomnieć, że profesor jest nie tylko słuchaczem? Grał pięknie, ale nie tylko dla niej. Tego była pewna.

Słuchała pierwszej części utworu, odnajdując w niej własną niepewność i zagubienie. To jej, Iwanki, lęki wirują nad głową. Nieporadność, zawstydzienie. Płatek po płatku. Sypią się z gryfu jak kwiaty zdziczałych jabłoni w drohobyckich sadach. A gdy już sady zdają się bezbronne w swojej nagości, akordy zaczynają brzmieć surowo, odważnie. Ta część suity nie ma z Iwanką nic wspólnego. W muzyczną opowieść wchodzi jak do siebie inna kobieta. Czuje się dobrze w tym skromnym pokoju ze słabą żarówką, jej obecność tutaj zdaje się oczywista. Wiruje między Iwanką a profesorem wysokim, czystym dźwiękiem. Pewnie Felicja, żona. Może uznała, że już czas na herbatę. Stawia ją na okrągłym stoliku. Jeszcze trwa, taka bezbarwna, jakby niezdecydowana, ale gdy powietrze zaczyna drżeć, znika, aby pojawić się mogła ta trzecia. Iwanka wyobraża ją sobie jako zwiewne dziecko przywołane tak głośną nutą tęsknoty, że trzeba się bronić przed nadmiernym wzruszeniem.

Końcowe partie brzmią jak pożegnanie. Chyba zbyt boleśnie, bo profesor nagle przestaje grać. I zapewne z tego powodu Iwanka nigdy się nie dowie, kim jest ostatnia postać w tej historii. Profesor także będzie milczał. Dopiero nocą, gdy przebudzi go atak artretyzmu, sięgnie do nocnej szafki i spojrzy na zdjęcie swojej studentki. Schowa je szybko. Ponownie wyłączy światło, aby Felicja, czuwająca nad nim bezustannie, a po śmierci ze wzmożoną uwagą, nie martwiła się o jego niepewne, chore serce.

Drohobycz

W Drohobyczu wieczór. Anna Matwijenko jest zmęczona. Szafa świeci pustkami. Dawno powinna pozbyć się tych niepotrzebnych rzeczy – patrzy z dumą na trzy worki wypchane jej kobiecymi wspomnieniami. Dawną Anną Matwijenko, nazbyt zmęczoną samą sobą.

Nie wie, czy ktoś z tego daru skorzysta. Najchętniej wyrzuciłaby wszystko na śmietnik. Ale bieda wokół. Zanieś do punktu pomocy.

Anna Matwijenko ma mocno pomalowane usta. Trzyma w dłoni kieliszek z czerwonym winem i słucha polskiej orkiestry symfonicznej. Już się nie boi tego mężczyzny, który dał jej córkę i którego córka tu przysłała. W szarym papierze, na czarnym krążku. W prezencie.

– W prezencie! – Anna Matwijenko prychnęła krótkim śmiechem i wszystko wydaje jej się niedorzeczne. – W prezencie...

Solo na wiolonczeli znosi z wyjątkowym spokojem. Docenia maestrę wykonawcy.

Najpewniej minęło, myśli zdumiona, po raz pierwszy nie znajdując w sobie nienawiści. I kto by pomyślał, że wystarczy pozbyć się kostiumów, masek, odrzucić oszukańcze rekwizyty. Prawda pozbawiona dawnej teatralności jest cierpka jak wino. Uczciwa jak lustro.

Anna Matwijenko siedzi w czerwonej sukience, tej samej, którą jej przywiózł. Którą dał zamiast wspólnego życia. Zachwycił się szczerze, jak przymierzyła, zakręciła ogniście śmiałym ruchem bioder. A potem pruk. Nitka po nitce, mówiąc o żonie i synu. Płakała, gdy snuł plany rozwodu. Kochali się do świtu. Kiedy zasnął, spakowała jego podrózne rzeczy. Do torby wepchnęła zmiętą czerwoną sukienkę i wyszła z domu. Wróciła wieczorem. Już go nie było. W ciepłej pościeli znalazła jedynie jego zapach i tę sukienkę. Zrobiła wielkie pranie. Napaliła w piecu, podkładając do ognia list po liście, kartkę po kartce. Od tych miłosnych wynurzeń aż huczało. I chyba od tamtej chwili tak bardzo zaczęła dbać o porządek. O to, by wszystko w jej życiu było zawsze na swoim miejscu.

Warszawa. Żoliborz. Willa Wolskich

Jest jakaś wielka niecierpliwość w Agacie pochylonej nad wykrojem, starannie tnącej szafirowe płyty materiału. Pochłania ją praca i rozpiera radość. Obce doznania. Zaledwie półobecne w świadomości. W jakimś „dawno temu” i „kiedyś”. Równie abstrakcyjne jak stara maszyna Singer, wytoczona niczym działo na środek pokoju. Taszczyły ją ze strychu razem z Iwanką, śmiejąc się i sapiąc.

Agata już wie, jak trzeba się zabrać do planowanej kolekcji. To takie proste! – zdumiała się po przebudzeniu. Wystarczy ją uszyć! Koniec ze ślęczeniem nad projektami, z zagryzaniem twórczej niemocy niskokalorycznym ciasteczkiem.

Materiał poddaje się jej dłoniom i nożycom. Kręta droga szpilek i załamań tkaniny nie jest już tylko papierowym marzeniem. To dzieje się naprawdę i po raz pierwszy wstępuje w Agatę głęboka pewność, że powinna podążać właśnie tą drogą. Szpilek i załamań...

Staś siedzi na dywanie. Chce mieć swój udział w eksplozji matczynego szczęścia. Zbiera chabrowe skrawki i układa je po swojemu.

Agata przesyła synkowi uśmiech znad fastrygi. A gdy zębami odcina nazbyt długą nić, Staś powolnym ruchem wkłada do buzi kawałek materiału, nieporadnie ją naśladowując.

Kocha mnie! Zdumiona Agata mocniej wbija igłę w złożony materiał. Chce być do mnie podobny! Przez moment dręczy ją pytanie, czy we wszystkim. Rzuca w stronę synka podejrzliwe spojrzenie i uspokaja się. Staś bez pośpiechu układa swój szmaciany świat. W jego wyważonych gestach jest siła, której zabrakło chorym nogom. A w spojrzeniu spokój, którego zawsze brakowało jego matce.

Co za szczęście! Agata oddycha z ulgą. To ktoś zupełnie inny. Nie powtórzy mojego życia, jeśli będę zawsze tak blisko.

Jaka ładna chwila, myśli o synku i o sobie. Wstyd się przyznać, ale pierwszy raz przyszło jej to do głowy.

Iwance robota pali się w rękach. Podśpiewuje i pełno jej w całym domu. Tylko do pracowni Agaty nie wchodzi. Tam dzisiaj wielkie święto! – myśli radośnie, przemykając obok zamkniętych drzwi.

Na wszelki wypadek oddała się do kuchni. Tu można wesoło brzęczeć naczyniami, pani nie przeszkadza. Tej królowie śpiącej dotąd na sofie lawendowej. Zagubionej w swojej bajce i dalekiej. Aż nagle, jakby ciche życzenie Iwanki spełniając, ona przebudziła się! Życ zapragnęła... Żeby tylko ta kąśliwa Iga nie przyszła, zła królowa. Tabletkami snu nie zmorzyła Agaty, bo znowu niuńka z niej będzie. Bardziej od Stasia nieporadna. Gdyby jeszcze pan Bruno zechciał częściej kapcie wkładać, w domu swoim pięknym przebywać... Iwanka gorliwie miesza krupnik, jakby od tego zależało, czy spełni się jej kolejne marzenie. Musi w duchu przyznać, że ostatnio i tak u Wolskich dobre zmiany. Bruno częściej uśmiechnięty. Z nią, Iwanką, chętnie żartuje. Przekomarza się, jak jakiś student. Tylko wciąż z panią Agatą za daleko od siebie siedzą. Jakże przytulić się, do uszka miło szepnąć, kiedy on na fotelu z gazetą, a ona w drugim końcu salonu.

Iwanka dochodzi do wniosku, że duże pokoje złe, i cieszy się, że domu już nie chce. Mieszkanie wystarczy.

Marzenia Iwanki jak ciasto na pizzę. Teraz rośnie, ale jeszcze niedawno opadłoby wielkim zakalcem. Coś się musiało wydarzyć we Lwowie, coś równie doniosłego i ważnego jak pogrzeb Julii Oszurko, myśli Iwanka, sprawnie myjąc naczynia.

Gdy Mykoła wysiadł z pociągu, a ona zobaczyła go pierwsza, od razu poznała, że przyjeżdża inny. Na początku nie wiedziała, czy zgubił coś w tej podróży, czy odnalazł. Czy miejsce jej chłopca zajął ten przystojny, poważny mężczyzna, czy to wciąż jej chłopiec, tylko

od tamtego bardziej uważny i czuły. Niepotrzebnie przytulał ją tak mocno, na dworcu wrogim, obcych ludzi pełnym. Płakał prawie, przepraszając, że wszystko zaniedbał, zapomniał. O przebaczenie prosił, z ramion jej nie wypuszczał. Aż pogniewała się odrobinę. Bo jakże tak, nad nią, Iwanka, się rozczulać, kiedy po jego stronie wszelkie cierpienie. Bo sądzić, że ona ciemnych dni nie rozumie, na pogodę wspólną poczekać nie potrafi?... Wiadomo, jak bywa, raz matka rodziła, raz umierać mamy... Życie trzeba cierpliwie między jednym a drugim. I po to kiedyś ten jego pierścionek z tanim gagatem przyjęła, żeby mroki rozświetlił, jak im się nadarzy razem w ciemność iść... Chciała o tym wszystkim, a zwłaszcza o ciemności już tam, na dworcu, powiedzieć. Ale przez wzruszenie głupie, panieńskie, jakoś słowa przebrnąć nie mogły. Więc dobrze się stało, że szybko do domu pojechali. Już w windzie nieprzytomnie w siebie wczepieni, z trudem wysiedli na właściwym piętrze. Pełni obaw, że nie zdążą z tą swoją miłością, że dopadnie ich w całkiem obcym miejscu, biegiem puścili się do mieszkania... A tam piękna cisza. Szept namiętny, sufler stęsknionych. Jak *otec* w cerkwi ślub im dający. Przyzwolenie na piekło pożądania.

Zanim Iwanka poczuje mocną woń pyrkającej zupy, dreszcz minionej rozkoszy wraca z wyrazistą siłą. I pewnie pozwoliłaby mu wędrować po ciele gotowym do kolejnego miłosego uniesienia, gdyby nie przypalający się krupnik.

Po osiemnastej wtapia się w rozgrzane jeszcze miasto i po raz pierwszy ma wrażenie, że ono należy także do niej. Widocznie tylko szczęśliwi dostają tu obywatelstwo. Szczęśliwi i milczący...

Oduczyła się odzywać bez konkretnej potrzeby. Czasami ją kusi, by kupić w kiosku bilet po angielsku. Po angielsku zamówić kawę na wynos i podziękować za jakąś wielkomięjską grzeczność. *Thank you* za przepuszczenie w drzwiach, *thank you* w kolejce do metra. Za pomoc w wybraniu ładnych pomidorów, *Thank you* za to, że ja, Iwanka z Ukrainy, mogę tu między wami stać, siedzieć i czuć się jak we Lwowie. Za to wszystko, co dla mnie robicie, wielkie *thank you*.

Już dawno zauważyła, że po angielsku żyje się w Polsce łatwiej. Jakby na europejski kredyt. Można być mniej sympatycznym, bardzo pewnym siebie, a mimo to każdy stara się zasłużyć na magiczne *thank you*. Babcia Łesia, kiedy jej miasteczko skłócały narodowe konflikty, mawiała pogodnie, że nic tak ludzi nie podzieli jak historia.

„Pamiętaj, Iwanko, w zaszłościach nienawiść śpi. Obudzić się zawsze może – narzekała, stroniąc od niemirowskich waśni. – O dziada, pradziada kłócić się będą, choć ich wcale nie znali. Groby rozkopią, nic w nich nie znajdą, ale szukać nie przestaną. A szukając, zapomną, że z sąsiadem dobrym życie przepędzili, korowojem dzielili się. Biedę wspólnie klepali, kobyłkę lichą. I na nic to. Rachunek krzywd diabeł wystawił. A diabeł zawsze z innej parafii. Nawet w Afryce na białą malują go, bo jakże inaczej...”

W tramwaju uparcie patrzy na nią sympatyczny młody człowiek. Gdy przechwytuje jej spojrzenie, zrywa się z miejsca z zapraszającym gestem. Tramwaj prawie pusty, ale Iwanka nagradza ten gest. Siada z uśmiechem, a na jego miłe spojrzenie odpowiada pogodnie:

– Thank you.,.

Żoliborz. Willa Bieluchów

Zapach octu unosi się w całej willi. Bije ze ścian, opada z sufitu. Atakuje nozdrza, skacze do oczu. Jest wszędzie.

Powrócił z czasów dzieciństwa i młodości Krystiana. Z uporem przypomina mu o nocnym moczeniu, wypadku na deskorolce i pierwszej, nieudanej randce w okolicach Kępy Potockiej. Jak ona miała na imię? Laura? Laura... albo Kinga... Kapituluje, ponownie nachylając się nad niemowlęcą wanienką.

Matka mogłaby dzisiaj dublować królową Elżbietę, myśli, zerkając w jej kierunku. Siedzi wyprostowana w swoim fotelu, dostojna. Co jakiś czas daje mu znaki rozcapierzonymi dłońmi. Krystian odczytuje je bezbłędnie i zanurza w wanience te kryształły, o które jej chodzi.

Mogłaby dyrygować, myśli, bo co chwilę, jakby wywołane matczyną ręką, odrywają się z dna wanienki krystaliczne tony cienkiego szkła. Nie. Jest raczej jak strateg wysyłający swój desant w odmęty oceanu.

Kolejna porcja szklanych skarbów znika w octowej kąpiel. Potem, przetarte delikatną szmatką, lądują na blacie stołu.

– Muszą same obeschnąć, synuś – instruuje Bieluchowa głosem znawcy. – A soli dość dałeś? Bo bez niej żadna robota. Nadenerwujesz się, namęczysz, a osad swoje. Tego łabędzia, że niby bezużyteczny, ale piękny przecież, to kupiłam, jak trzy latka miałeś. Pomyślałam sobie, dla mojego królewicza na wyprawkę ślubną. Już ja wiem, co myślisz, synuś. Że wyprawki tylko dla dziewczynek. Ale ja Bogu dziękowałam za chłopca. Te dziewczuszka okropne. Taka jedna, co się tego samego dnia co ty urodziła, to już na oddziale położniczym tylko wrzask i pisk. Spać przez nią nie mogliśmy! Żebyś ty jednak miał jeszcze to szczęście i na taką Luizę trafił – rozmarzyła się. – Dobra, wyrozumiała. Zbytku nie chce. Tylko zajmować się swoim mężczyzną pragnie. Wszystko mu poświęcić.

Milknie, zamyśla się nad czymś.

– A wiesz? I ja taka kiedyś byłam – mówi po chwili z filuternym błyskiem w oku i znowu milknie. Wtula się w fotel, zacina w sobie. Pochmurnieje. I w niczym już nie przypomina królowej Elżbiety...

Kiedy matka daje się namówić na drzemkę, Krystian ściąga z siebie sweter i bawełnianą koszulkę. Upycha je szybko w pralce. Wskakuje pod prysznic. Musi. Inaczej nigdy nie pozbędzie się octowego zapachu, który znowu go dopadł, przywłókł ten drażniący smród dawnych lat. Pamięć o przejrziałych, fermentujących gruszkach walających się w ogrodzie. Były zawsze pełne rozmaitego robactwa. Ojciec kazał mu zbierać nadpsute ulęgałki, ignorując uporczywie wysyłane sygnały chłopięcej niemocy. Więc zbierał je, dbając, by nie zamieniły się w odleżynową miazgę. Tłamsił wstręt, podsycany octową wonią. A gruszki rozpinały się w jego rękach i wyrzucały na jesienny ogród całą obrzydliwość swojego wnętrza. Kosmate żuki, pokraczne chrząszcze, białe obślizgłe larwy toczące wspólnymi siłami miąższ owoców. Ojciec lubił siadywać na schodkach tarasu i niestrudzenie spod przymkniętych powiek obserwować syna. Jego samotną walkę z obrzydliwością świata. Krystian walczył, ale mimo uporu i zaciętej miny nigdy nie zdołał przytrzymać ojca na tych schodkach. Zawsze nadchodził moment, gdy Bieluch wstawał i znikał w drzwiach domu z obojętną miną.

Krystian zbiegł z piętra i skierował się do kuchni. W spizarnce znalazł kilka octowych zapraw matki. Wrzucił słoiki do plastikowego worka i ruszył do kontenerów na śmieci. Zawsze po kąpiel krysztalów tak się na occie mścił. I choć matka narzekała głośno, że giną

jej weki, z coraz większą podejrzliwością patrząc na panią Trudzie, on robił swoje. Unieściewanie octu było wciąż przyjemnością. Jedną z niewielu w domowej codzienności.

Nieopodal płotu zauważył Iwanę. Wiązała Stasiowi sznurówki, przemawiając tym swoim miękkim językiem. Bał się, że wciąż czuć od niego octem, wybrał więc bezpieczną odległość na powitanie.

Odpowiedziała wesoło, wciąż pochylona nad dzieckiem.

Ośmielony sukcesami dnia, odważył się posłać za parkan proste pytanie:

– Może wyskoczmy któregoś dnia do kina? Zmieszała się. Podniosła jasną twarz.

– Obiecać Krystiankowi nie mogę. Ja tu, w Polsce, nie sama... – Jej głos zabrzmiał jak niezręczne „przepraszam”.

– Jasne – rzucił lekko, bez śladu pretensji.

I może właśnie dlatego, kiedy już odchodził, uznając temat za wyczerpany, odezwała się ponownie:

– Ale dlaczego nie? Czasami wieczór wolny nadarza się... Tylko jak ty o tym wiedzieć będziesz, jak u ciebie komórki brak?

– I tu się mylisz! – odpowiedział z całą powagą, wyciągając z kieszeni mały telefon.

Śródmieście. Cybermax

Bruno zaskakuje Martę. Od kilkunastu dni zamiast burkliwego powitania daje dowody, że potrafi wprowadzić w dobry humor nawet niechętnie mu sekretarki.

Może wystarczy zmienić garnitur na letni, żeby zrobiło się cieplej? – myśli kąśliwie Marta, przyznając w duchu, że w przeciwieństwie do manier garnitury Bruna są bez zarzutu.

Pracy jest tyle, że nie ma czasu zastanawiać się nawet nad tą nagłą przemianą, która jednak niepokoi. A już na pewno nie jest jej, Marcie, obojętna. Łapie się na tym, ilekroć ukradkiem poprawia usta karminową szminką i sprawdza fachowym spojrzeniem nowe tipsy. Czy są nienaganne.

Biurko Bruna od kilku dni tonie pod stertą papierów. Próbuje je segregować, z wrodzoną sobie skrupulatnością ujarzmić wyniki badań rynku i analizy usług. Ale nigdy przedtem liczby nie były mu tak obojętne.

Oszalałem, myśli z przestrawieniem. To wariactwo. Potrzebne mi jak dziura w budżecie.

Określenie „dziura” nie spodobałoby się Grzegorzowi, myśli Bruno z sarkastycznym uśmiechem. Podobnie jak nie przypadłby mu do gustu nowy plan Bruna. Bo nie jest to kolejna, czujnie kontrolowana miłośćka, tylko zdumiewająca namiętność, która nie miała prawa zaszyć się w jego zimnym umyśle i prężyć obietnicą rozkoszy.

Zaczyna zazdrościć współnikowi wszystkiego, czym w głębi duszy pogardza. Bezszelestnych domowych kapci, kanapy z wylegającym się na jej brzegu krokodylkiem i terminarza pełnego dziecięcych spraw do załatwienia. Zazdrości mu unicestwienia w tym rodzinnym słoju z miodem. Co za idealne poczucie bezpieczeństwa... Genialna przerwy, chroniąca Grzegorza przed głębszym uczuciem. To jedyne wytłumaczenie trzydziestu lat z Danką, która bez przerwy albo miele ustami, albo rodzi.

Mniejsza z Grzegorzem! Ale jak tu odmówić Adamowi, który wykupił już dla nich krótki wypad do Pattai? Miało być wielkie święto lubieżnej uciechy, bezkarny seks z nurkowaniem.

Nic nie poradzę. Bruno wzdycha z rozmarzonym uśmiechem. Tajki będą zawiedzione, Adam rozczarowany. Ale nic nie poradzę. Zakochałem się...

Żoliborz. Willa Wolskich

W pracowni Agaty terkoce maszyna. Iwanka już kolejny dzień przechodzi obok z uśmiechem zadowolenia. Lubi tę nową Agatę, ukrytą za drzwiami. Wreszcie prawdziwe życie, a nie tylko kawa i ciasteczko, plotka i tabletki na uspokojenie.

Pracownię omija, żeby nie zapeszyć. I jedyne, co może trochę Iwanek martwi, to zmienność Agaty nastrojów. Już zdaje się pełna wiary, z postępów przy igle zadowolona. A po chwili jak balonik, co na tę igłę trafił! Zdaje się, całe powietrze do nieba uciekło.

Oj, brakuje tu babci Łesi... Już ona powiedziała by Agacie, uśmiechając się tymi swoimi zmarszczkami, że miło nie miło, ciągnij, łysa kobyło! I że popem trzeba zostać, żeby lekki chleb znaleźć. Ileż razy Iwanka powtarzała sobie te mądrości niemirowskie, kiedy sił do gam i pasaży dłoniom brakowało... A potem od nowa po wionolczelę sięgała. I warto było. Warto przez wzgląd na mamę i profesora, uściśla w myślach. Bo nagle traci zapal w walce z brudnymi szybami. Patrzy na swoje dłonie. Chciałaby je uspokoić, że to kolejne ćwiczenia. Małe życiowe wprawki. Ale dłonie jakby nie jej. Gumowozielone.

Obiad wszystkim smakuje, a Iwanka opęda się przed pochwałami. Że to właściwie według przepisu jej babci te pielmieni. Żaden rarytas, wręcz ubogie danie, bo mąki więcej niż mięsa.

Bruno filuternie krzywi się nad talerzem, że okropne, mówi, z grzeczności tylko tak zajada. Ale śmieje się z pełnymi ustami. A Staś razem z nim. Agata aż widelec odkłada. Na męża patrzy z niedowierzaniem. Pewnie się trochę tego wesołego Bruna wystraszyła, bo nagle staje się poważna. I dokładki nie chce. Pyszne, ale dziękuje. Dawno tyle nie zjadła.

W salonie zachodzi słońce. Spływa po lśniących szybach do cieniściego ogródka. Zachodzi jeszcze bardziej, gdy Agata proponuje, aby Iwanka szybciej dziś skończyła pracę. Na pewno ma jakieś plany. A jutro, jak zwykle, od rana wezmą się do roboty. Uśmiech Agaty jest co najwyżej grzeczny Huśta się na jej ustach niepewnie. Jak Staś na obręczy fotela.

Bruno udaje, że śledzi mecz. Gdyby Agata spytała go o wynik, musiałby strzelać. Na szczęście o nic go nie pyta.

Jest inteligentna, myśli Bruno. Przedwczesna radość to jej zmore.

Uśmiecha się pod nosem, choć Polacy przegrywają. Właśnie sobie uświadomił, że ma dla Agaty dwie wiadomości: dobrą i złą. Jak w kiepskim dowcipie.

O dobrej mógłby mówić stonowanym głosem. Z serdecznością i radością, jakiej nie odczuwał już dawno. Wystarczyło wyznać, z jaką klasą przerwał swój związek z Iloną. Byłaby z niego dumna. Powinna być, bo zrobił to dla niej, dla Agaty. Taki podał powód swojego odejścia. Szloch Ilony uciszył wyznaniem, że zrozumiał, jak bardzo na nią nie zasługuje. Awanturę i pretensje załagodził, wzbraniając się przed przejściem na utrzymanie kochanki. A musiałby. Chora żona i syn wymagający ciągłych medycznych cudów... „Nie oszukujmy się, maleńka. Nie zasłużyłaś, aby tak się poświęcać” – szepnął swoim dystygowanym głosem.

Iłona szybko doszła do wniosku, że rzeczywiście nie zasłużyła. Zmyła rozmazany makijaż i szybko nałożyła nowy. Jeszcze bardziej wyzywający. Przebrała się i ruszyli na ostatni spacer. Zjedli w Sobieskim pożegnalną kolację, obiecując sobie przyjaźń. Za przyjaźń i kolację zapłaciła Iłona, dając tym gestem do zrozumienia, że doskonale pojęła sytuację Bruna. Gdy wracał taksówką do domu, skasował numer jej telefonu. Jakby nie wierzył w przyjaźnię.

Szkoda, że jest i zła wiadomość, pomyślał Bruno, a jego westchnienie było idealnym komentarzem do niewykorzystanej sytuacji pod bramką. Zła wiadomość ma na imię Olga.

Indeks zamiast biznesu. Najpiękniejsze cycki świata. I, kurwa, ani na chwilę nie można o niej zapomnieć...

Żoliborz. Zakład fryzjerski

Julii mogłaby wszystko powiedzieć. Usiąść na jednym z opuszczonych przez klientki foteli i opowiadać. Co cieszy, co boli. A przy tym jeść przyniesione muffinki i pić świeżo parzoną kawę. Iwanka zwierza się z rozterek. Wszystkie dotyczą Agaty. A gdy kończy, ma wrażenie, że nikt dotąd nie słuchał jej z taką uwagą. Julia w śmiech, że to fryzjerska specjalizacja. I że kobiety głównie po to do niej przychodzą! Ciepłą wodą spłukać złe sny, suszarką ogrzać bóle. Nałożyć maseczkę na niewidoczne rany.

– Zakład terapii! – Iwanka jest zadowolona ze swojego dowcipu.

A Julia najpoważniej, że tak! Że wśród usług i walka z menopauzą, i amnezja na sprawy rodzinne. Dla młodych inne atrakcje. Obcięcie włosów, mocna zmiana koloru to jak zaczynanie od nowa. Wyjście z samotności, z kompleksów. Różnie.

– Sama tu przecież po to przychodzisz.

Iwanka chce wiedzieć po co, bo żadna tam ona samotna! Nawet jeśli tak było, to dawno z wiatrem, po wodzie spłynęło. Teraz Mykoła inny. Czuły. Pizzę klepie, a o niej myśli. Gra dla tłumu, do niej tęskni...

A Julia uparta. Że ludzie często uciekają w śluby. Myślą naiwnie, że w ten sposób samotność wykiwają. Więc jak tylko o to im chodzi, to w jeszcze gorszą samotność się wpędzą, bo we dwoje.

Z nią, Julią, tak na szczęście nie było. Niczego nie ślubowała, ale niejedna para może jej pozazdrościć. Jak na razie – odpukać – jest i miłość, i wierność. Do tego papiery ślubne nie są potrzebne. To kontrakty dla bogatych, nie dla szczęśliwych – Julia uśmiecha się, śmiesznie marszcząc nos.

– I tak bywa – niechętnie przytakuje Iwanka. Oczywiście. Dużo w tym racji. Jednak ślub dlaczego nie? Jak się jest pewnym, głęboko przekonanym?...

Odkłada kolejną babeczkę. Dziwne, z tej samej piekarni, a jakby mniej smaczna niż poprzednio.

Julia ma widać taki dzień, żeby wszystko zepsuć. A może wcale jej się dobrze nie układa? Bo skąd miałyby tyle niewiary, że nigdy nie można być pewnym, że tylko śmierć pewna, nie miłość? Ech, głupotki, babskie humory – Iwanka wzrusza ramionami, wsiadając do tramwaju.

Kiedy z szamponem i odżywkami tanio u Julii kupionymi dociera na osiedle, wciąż ma cichy żal do tej jedynej polskiej przyjaciółki. Że jakby nieco zgorzkniała. Przez dawne cierpienia nieufna. I pewnie nie do końca taka znów szczęśliwa – dochodzi do wniosku, przekręcając klucz w drzwiach. A gdy Mykoła wita ją długim pocałunkiem, Iwanka skwapliwie sobie dopowiada: Nie to, co ja.

Żoliborz. Willa Wolskich

Sukienka gotowa. Staś nie może oderwać od niej oczu. Dotyka paluszkami, jakby też nie wierzył, że Agacie się udało doprowadzić cokolwiek do końca.

Przez moment Agata zastanawia się, czy nie znieść jej do salonu. Pokazać Brunowi. Pochwaliłby.

Ostatnio jest miły. Gdyby Agata miała skłonność do przesady, uznałaby, że nawet wylewny. Czyli – poważny powód do zmartwień. Już kolejny tydzień dręczą ją podejrzenia. Zna Bruna wystarczająco dobrze, by odgadnąć, co się może kryć za tą radykalną zmianą męzowskich nastrojów.

W przeciwieństwie do dręczonej wątpliwościami Agaty Iga wie swoje. Wszystko przez Ukrainkę! I to wyłącznie jej, Igi, wina. Sama tę wywłokę wynalazła, że też, cholera, najpierw nie sprawdziła, jak toto wygląda. Za ładna na sprzątaczkę, to przecież oczywiste!

A kiedy ją zobaczyła, taką fruującą po salonach, w sukienki od Gabany wystrojoną, wiedziała, co się kroi!

– Wszystkie te wschodnie zdziury jeden sort! Z jednego pomiotu kurewskiego, a czułam to, Agata, ty mi uwierz, od razu czułam, że tak się nasza dobroć skończy!

Dla Agaty to nie takie proste. I na tym polega jej problem. Kiedy widzi zapracowaną, nieświadomą podejrzeń Iwanę, ma ochotę przeprosić ją za rosnącą podejrzliwość. Za chore scenariusze, jakie rodzą się w jej głowie, a w krótkich, dręczących snach nabierają realnych kształtów. Ale coraz wcześniejsze powroty Bruna do domu, jego wyśmienity humor, irytujące zainteresowanie sprawami domowymi czym wytłumaczyć, jeśli nie fascynacją?

I jak on na nią patrzy! – przeraża się, ilekroć przyłapuje Bruna na rozmowie z dziewczyną. Po każdej kolejnej fali rozpacz sięga po prozac. Stan zagrożenia zmienia się na krótką chwilę w błogą ulgę.

Najprościej byłoby zapytać. Ale to zadanie przerasta Agatę. Agatę niepewną i zatrwożoną od czasu, gdy odkryła, że przestała być żoną, że jedynie za milczącym przyzwoleniem Bruna gra tę rolę z nabytą przez lata rutyną. Przeczekuje dzień po dniu, akt po akcie, w nadziei, że jednak ich historia ma jakieś szczęśliwe zakończenie.

– Wyrzuć babsko na zbity pysk. Dobrze ci radzę. – To Iga, wycierając nazbyt mocno usta serwetką. Lunchu prawie nie zjadła, a szminkę starła w całości.

Z fotela w ulubionej restauracyjce rządzi życiem Agaty jak budką z hamburgerami. Wie na sto procent, że tej małej chodzi wyłącznie o płatny seks. Zdaniem Igi wszystkim o to chodzi, tylko co do płatności nie ma wśród ludzi zgody. Jedyne, co może dla Agaty zrobić, to iść na kompromis z tymi procentami. Dziewięćdziesiąt dziewięć. Nie sto.

– Sama nie wiem – szepnęła wtedy Agata. I rzeczywiście nie wie. Do teraz nie ma pojęcia, czy dobrze zrobiła, mówiąc Idze o dręczących ją kłopotach.

Po chwili namysłu chowa uszytą sukienkę do szafy. Przytula synka, obejmuje go mocno ramionami i schodzi z nim na dół.

Śródmieście. Cybermax...

Zwariować można. Bruno z niedowierzaniem łapie się na niekontrolowanych fantazjach erotycznych. Niby podpisuje doskonały kontrakt, obejmujący serwis i obsługę bankowych komputerów, a w głowie różowa haleczka Olgi. Jej zapach, niemający nic wspólnego z perfumami. Bruno wie, że tak pachnie młodość. Pamięta piąte przez dziesiąte. Umowę pełną znacznie większych liczb podaje kontrahentowi. Nie zdziwiłoby go, gdyby ten sztywny dyrektor domyślił się haleczki, poczuł zapach, przenikający teraz wyobraźnię Bruna. Gdyby zauważył, że Bruno stoi na krawędzi pożądania i w tym nieszczęsnym stanie podpisał wszystko.

Na szczęście wymiana uprzejmości trwa krótko, a dzięki staraniom Marty już po chwili jego gabinet wygląda jak przed wizytą.

Marta też tak wygląda. Jakby wybierała się na randkę życia. Komplement Bruna sekretarka przyjmuje z miłym uśmiechem. Ale gdy siada przy swoim biurku, natychmiast wysyła esemesa do Zośki, przyjaciółki, że strzelony, zatopiony, wszystko na to wskazuje. W odpowiedzi nadchodzi pełne uznania „woow!”

Zanim kolejne sprawy zaprzętą uwagę Bruna, dzwoni na pocztę kwiatową. Zamawia bukiet róż, dołącza bilecik z propozycją kolejnego spotkania. „Wielka niespodzianka” – prosi o dopisanie drukiem. Oddycha z ulgą na myśl, że Olga nie znosi dyskotek. Przynajmniej tak twierdzi. Ale poznałby, gdyby kłamała. Jest absolutnie idealna i nie znosi dyskotek. Zabierze ją do pałacyku Sobańskich. Zasłużyła. Zastanawia się jeszcze, czy nie poprosić, aby pożyczyła mu tę halkę. Trzymałby tu, w biurze. Po raz pierwszy zaczyna rozumieć smak okrutnej tęsknoty za czymś ciałem. Pomysł z halką nie jest chyba najlepszy. Woli ją zdejmować z Olgi, niż wyciągać z szuflady. Tak jest zdecydowanie przyjemniej.

Zanim Marta dołączy do śpieszących na metro, upewnia się, czy ma w torebce tę farbę do włosów. Ponoć zajebicie rozjaśnia. Nareszcie czuje, że wchodzi do gry. Jeszcze nie wie, czy chce zemsty za doznane na starcie upokorzenie, czy jazdy bez trzymanki, za którą ktoś zapłaci złotą kartą. Tak czy inaczej jutro, z nowymi włosami w zmysłowym odcieniu miedzi, jeszcze bardziej zbliży się do randki życia, jak mawia jej szef.

Pustki koło Szczytowej

Z Wolskiej leje się pot. Autobus przepełniony i wszyscy w nim posklejani jak źle zrobione pierogi. Strach pomyśleć, jak żyją ci w Afryce, kiedy tam zawsze takie upały. Przez chwilę wyobraźnią Wolskiej rządzi współczucie dla Czarnego Łądu, ale nagle przypomina sobie o celu swojej wyprawy i markotnieje.

Bo jakże obcymi ludźmi się przejmować, tysiące kilometrów stąd skwierczącymi na słończku, kiedy z Heńkiem taki kłopot. Zatruty, z wątrobą nadgniłą w szpitalu wylądował. Jak zadzwonili do Halembów, Wolska od razu się domyśliła, że Heniusiowi coś musiało się przydarzyć. I jak na złość zawsze jemu, najbardziej chorowitemu. I samotnikowi.

Czasami trudno Wolskiej zrozumieć Boże plany co do jej dzieci. Bo gdyby tak niebiosa bardziej sprawiedliwie te łaski przyznawały... Bronkowi tyle nie potrzeba pieniędzy. A znowuż Kaziczkowi – tylu kobiet. Zawsze bałamutnik z Kazika był. Na jaką pannę spojrzął, od razu topniała. Już drugą żonę ma, a kochanek nie zliczysz. Pewnie więcej niż topoli przy drodze.

Wolska obejmuje spojrzeniem znikające w pędzie drzewa i kręci głową z dezaprobatą. Wie, że grzeszy w myślach, wydziwiając na te niebieskie wyroki. Ale ksiądz ze Szczytowej nie takie rzeczy słyszał. Sam do świętych tylko trochę z twarzy dobroduszej podobny, nic więcej. No i są też przestępstwa z miłości popełniane. Jakby mniej niegodziwe. I do tej kategorii Wolska swoje matczyne udreki dopisuje.

Dobrze, że Broniek dał jej te dwieście złotych. Więcej chciał dać, ale się nie zgodziła. W chusteczce zmięte. Z sobą wiezie. Lekarzowi trzeba będzie grosik, żeby nad Heńkiem po deliberował. Siostrze czekoladę. Podziękować wypada. A Heńkowi umyśliła nową pizzę sprawić. Kiedyś taki to był czyścioch, że wody gorącej nastarczyć mu nie mogła. Codziennie nowa koszula. Od kilku lat koszula jakby ta sama w kratę burą, flanelowa. Ale kto wie, zwyczaje wracają. Jak człowiek wróci do zdrowia, to dobre zwyczaje do człowieka.

Taki gorąc, że najchętniej wytarłaby się w chustkę. Jak na złość nie może, bo pieniądze w nią wetknęła i teraz trzeba ręką sobie radzić. Aby przyjemniej podróżować, Wolska powraca myślami do Afryki. Bo przychodzi jej do głowy, że taki Murzyn wcale się myć nie musi. I tak zawsze na nim ciemna skóra. Nie widać. Tylko czarne i pot. Powiedziałyby o tym kobiecie, co siedzi naprzeciwko, ale czy to wiadomo, o czym ludzie chcą teraz rozmawiać? A już w szczególności, żeby o Murzynach, to Wolska musiałaby mieć dużo szczęścia – uznaje, mocniej wciskając się w rozgrzany fotel.

Śródmieście. Arkadia. Cinema City

– Jeśli lubisz filmy muzyczne, będzie ci się podobał – obiecuje Krystian, stojąc w kolejce po popcorn.

Iwanka rozgląda się wokół trochę onieśmielona i nie wiadomo, czy jest pierwszy raz w takim multikinie, czy tak na nią działa atmosfera przed seansem. Tłok, kuluarowe rozmowy, głośnie powitania grup przyjaciół.

Krystian poprzestaje na swym spostrzeżeniu. Na wszelki wypadek woli nie pytać. Jak najmniej zbędnej ciekawości. Byłoby świetnie, gdyby to ona przejęła inicjatywę, zapytała, opowiedziała o sobie, myśli, uśmiechając się do dziewczyny.

Podoba mu się, że jest ubrana zwyczajnie. Żadnych tam miniówek, brokatów czy wielkich obcasów, jak te laski ze Wschodu lubią. Buty ma do bani, bo kto teraz nosi takie czółenka, ale reszta jest okej – konstatuje. A gdy patrzy na jej twarz, nie ma już żadnych wątpliwości, że jeszcze nigdy nie był w kinie z tak ładną kobietą.

Kiedy siadają w swoim rzędzie, bardzo dba, aby nie wykonać jakiegoś ruchu, który mógłby ją niepotrzebnie zakłopotać. Dzięki temu Iwanka czuje się coraz swobodniej. Wreszcie na tyle ufa Krystianowi, że wyznaje mu obawy, jakie miała przed tym ich wspólnym wyskokiem.

– ...bo ja pierwszy raz nie z Mykołką w kinie. Dziś koncert gra. W innym razie to pewnie też chciałby tu być. On na Marleyu, jak wy to mówicie? Zęby potracił?

Krystian pyta ze śmiechem, czy szczerbaty ten jej chłopak, a zmieszana Iwanka zachodzi w głowę, co też znowu po polsku pokręciła.

– Mykołka taki, że ja i szczerbatego by lubiła – mówi, ale już ciszej, świadoma, że to wyznanie może być odrobinę nietaktowne.

Kiedy gasną światła, Krystian żałuje, że nie widzi jej wyraźnie, namacalnie. I choć aktorzy na ekranie robią wszystko, by skoncentrować na sobie uwagę, on co rusz wyłuskuje z mroku delikatny profil dziewczyny Trochę ubolewa, że ją stracił, że weszła niepostrzeżenie w cudze życie i bardziej teraz towarzyszy Marleyowi niż jemu. Ale tego przecież pragnął najbardziej, kilkanaście dni szukając właściwego repertuaru.

– Bardzo ci wdzięczna jestem – mówi Iwanka, kiedy opuszczają kino. – Ale do domu to ja już sama.

– Złapię ci taksówkę – nalega Krystian. Iwanka zbywa go głośnym śmiechem.

– Oj, ja nie drypcia jeszcze! I nie dama, żeby się z pańska wozić! Autobus zaraz pojawi się, a i bilety u mnie są!

Krystian nie nalega. Czeka cierpliwie do momentu, gdy autobus znika za betonową ścianą bloków, i lekko pogwizdując, rusza w stronę willowego osiedla.

Iwanka przykleja nos do szyby. Znowu ma wrażenie, że Warszawa jest wielką rozświetloną karuzelą, której nikt nie zdoła zatrzymać. Na jednym jej końcu ona, najczęściej sama, mocno trzymająca się siodełka. Na drugim Mykoła. Gdzieś między niebieskimi neonami a poświatą zapalających się teraz latarni. Daremnie go szukać po nocy.

W pustym autobusie ze zdwojoną mocą dopada ją samotność. Strofuje się za ten nastrój dziwny. Na nużę ci to? – pyta samą siebie, zła, że zdjeta niewytłumaczalną tęsknotą, znowu roi dawne czasy.

Bo Krystian jakby trochę do tamtego Janka podobny, co w babci Łesi wiosce dorastał. I w niej, Iwance, też dorastał. Aż zobaczyła w nim mężczyznę. Oboje tam, w nieruchomym pejzażu sennego jeziora owitego sznurem tataraku, odkryli się na nowo. Połączyli w supeł pragnień tak ciasny, że do dziś postronek boli. Piętno odciska. A teraz jeszcze, jak na złość, myślą się jej i nakładają na siebie te dwie miłe twarze. Janka i Krystiana. Nawet pryszczec te

same! Trochę jej wstyd, że nie czuje potrzeby myślenia o Mykole. Ale skoro są na tej samej karuzeli, to pewnie ona teraz na górze, a on na dole.

Na szczęście karuzela na chwilę staje i można z niej szybko wyskoczyć. A potem, jak zatrzasną się drzwi autobusu, pozostawić w nim swoje ciężące wspomnienia. Niepotrzebny bagaż. Niech jedzie dalej.

Żoliborz. Willa Bieluchów

– Wróciłem, mammo!

Krystiana niepokoi światło w salonie mimo tak późnej pory. Przed wyjściem położył matkę spać. Wspomniiał, że wybiera się z koleżanką do kina, i szybko tego pożałował. Bieluchowa w przypływie nagłego entuzjazmu obsypała go litaniami pytań, dobrych rad i zaklęć. Chciała koniecznie mieć swój udział w wieczorze syna i uprosiła go, by przynajmniej pozwolił jej zdezynfekować kilka nowych pryszczy oraz dobrać krawat. Wydawała się mocno zawiedziona, że Krystian w tak ważny dzień rezygnuje z krawata, ale emocje na tyle ją zmęczyły, że bez protestów udała się do sypialni z tabletką klonazepamu w kieszeni szlafroka.

– Mamo?!

Wszedł do pokoju, pomstując, że ciemno tu, jak w zapomnianej przez świat sali kinowej.

Najpierw zobaczył mozaikę złowrogo połyskującego szkła. Waląło się wszędzie. Na podłodze i stole. Dopiero po chwili dostrzegł matkę. Leżała wśród szczątków zbitego serwisu. Tak przerażająco nieruchoma, że przypadł do niej z nagłym łkaniem. Potem drżącym głosem wezwał karetkę.

Czekał na nią nieskończenie długo, choć przyjechała po paru minutach. Pomyślał, że czas jest najbardziej bezwzględny oszustem. Pewnie dlatego, że bywa aż tak względny.

Zasnął nad ranem, uspokojony przez lekarzy, że będzie dobrze.

– Proszę odpocząć – pożegnała go pielęgniarka, gdy powiedział jej wszystko o zdrowiu i chorobie matki. – Ale klonazepam stanowczo odradzam – dodała znacząco.

Żoliborz. Willa Wolskich

Pani Agata inna zrobiła się niż na początku – Iwanka ma ochotę głośno to powiedzieć. Patrząc jej w oczy. Zamiast tego szeptem swoją skargę prosto w ślepią orientalnego smoka na mongolskim dywanie. Odkurza.

Różnica pomiędzy tą a dawną Agatą jest subtelna. Pojawia się w wygięciu łuku brwiowego i półuśmiechu. W delikatnych unikach spojrzeń i słów. Nie zasiadają już razem do kawy. Zniknęły z półek katalogi mody, płaszczyzna wspólnej dysputy nad wzorem i tkaniną. Seminarium zachwyków i utyskiwań. A i to jeszcze nic! Iwanka nawet nie obejrzała gotowej sukienki. Domyśliła się tylko, że praca nad nią skończona. Pokój Agaty znowu wypełnił się ciszą i półmrokiem.

Dobrze, że chociaż pan Bruno jak dawniej. Radosny i dowcipkujący. Nie ma co użalać się, kwękać – Iwanka sprawnie wyciąga naczynia ze zmywarki. Dla Stasia tu jestem i pracy uczciwej, ot co.

A może to tylko chandra jakaś? Związku ze mną niemająca, bo cóż tam ja... – pociesza się i natychmiast zastanawia, jak można Agatę uszczęśliwić. Tak jej ostatnio solianka po lwowsku smakowała, że może i dzisiaj? Na dobry humor, uśmiech wdzięczny.

Mięso przyprawia, podśpiewuje, patrząc na Stasia. On też miesza w garnuszku jakiś swój obiad wymarzony. Łyżka obija się o metal, dźwięczy. A buzia skupiona jak u dorosłego. Jeszcze trochę i z nią, Iwanka, pichcił będzie.

Agata staje w progu kuchni. Zje coś w mieście. Iwanki dania za tłuste. Poza tym jest umówiona. Wróci po południu.

Czochra na pożegnanie synka.

– A ze Stasiem trzeba iść do fryzjera. Tylko lekkie strzyżenie, żeby nie wyglądał jak księżyc w pełni... – Próbuje się uśmiechnąć, ale nie jest to udana próba, więc pośpiesznie wychodzi.

Śródmieście. Złote Tarasy

Lipcowy deszcz zmywa pamięć po upałach. Agata nie broni się przed nim parasolką. Jest spragniona odczuwalnej wilgoci i zimna. Jak wysuszone drzewo.

Iga patrzy z dezaprobatą na jej ociekającą wodą twarz. Sama nie weszłaby w takim stanie do windy, a cóż dopiero na salony. Nie dość, że tak fatalnie Agata wygląda, to jeszcze trzeba będzie jej powiedzieć prawdę. Że też ona, Iga, musi wypytywać własnego pracownika o to, czy poszedł z jakąś pindą do kina, czy nie. Na szczęście sprytnie to rozegrała. Wystarczyło zapytać, w jakie dni grywa w klubie. A on jej przypomniał, że w tamtą sobotę zamienili nawet kilka słów. Zapomniała, że wpadły z Marią na szybkiego drinka. I wszystko, niestety, jasne.

– Możliwie największa kawa – rzuca Agata w stronę rudej kelnerki.

– Niezły ten sweterek – chwali Iga, ale wie, że żaden komplement, żadna kawa tu nie pomogą. Ma dla Agaty złe wieści. Cudownie złe, bo potwierdzają jej, Igi, przenikliwość. Kompletna idiotka, myśli teraz niechętnie o Agacie. Kurwiszona cwanego udomowiła, ubrała, nakarmiła. Mężowi podsuwa jak zakąskę pod nos. I wreszcie zdziwiona, że prezencik łaskawie dostrzegł, chętnie skorzysta. Jedno B run owi trzeba przyznać. Wciąż go dobry gust nie zawodzi, co widać po jego nowych kobietach i garniturach. Tak przynajmniej mówią na mieście.

Iga bawi się łyżeczką zawieszoną nad kleksem bitej śmietany.

Nie jest jej przykro, że dobry gust Bruna nie dotyczy Agaty. Znowu zrobiła się żałosna. A już ta jej próba ratowania małżeństwa... No, proszę cię – wzdycha Iga pod adresem Agaty – żeby jedna uszyta sukienka miała cokolwiek zmienić w ludzkim życiu, to cały świat pedałowalby na maszynie Singera!

– Zapytałam tego Mikołaja, o co prosiłaś. – Oczy Igi wyrażają bezmiar współczucia i Agata już wie.

Od początku wiedziała. Nawet jeśli Iwanka miała wybór, kino z ukraińskim kucharczykiem czy teatr z Brunem, to żaden wybór. Było jasne, że kłamie.

Przez chwilę Agata czuje się tak, jakby zgubiła coś bardzo osobistego, ważnego, i wie, że tego już nigdy nie odzyska. Przepadło. A razem ze stratą boli ta resztką ocalonej ufności, którą w sobie znalazła, zanim wyjęła z marynarki Bruna bilety do Polonii. Gdyby były przynajmniej trzy, pomyślała wtedy, zawstydzona, ale skłonna do małżeńskiej ugody, do upokarzającego kompromisu.

Iga chce znać nowe szczegóły, nowe fakty zbierane każdego dnia przenikliwymi oczami Agaty.

Ale ona nagle obojętnieje na niezdrową ciekawość Igi. Wcześniejsze przypuszczenia mogły być dziełem wyobraźni. Kłamstwo Iwanki już nie. Kłamstwo Iwanki stało się prawdziwe jak jej barszcz ukraiński, jak lśniące do przesady okna. Namacalne niczym ona sama, tańcząca z odkurzaczem po Agaty domu, wsysająca się w jej rodzinę jak brud. Przy tym kłamstwie wszystko inne wydaje się niewinnym drobiazgiem. Te uśmiechy pomiędzy kuchnią a salonem, rozmowy o wiolonczeli, której pewnie Bruno z bliska nawet nie widział. Ten lipcowy bukiet, bo wyczytał gdzieś na ukraińskich stronach, że ma imieniny... Przy kwiatach było Agacie przykro. Nie pamiętała, kiedy jej ofiarował choćby kawałek łąki, ale to głupstwa. Co innego wyjście na *Boską* z boską Jandą... I po co wymyślała kino z kolegą? Tak głupio dać się złapać...

Wystarczyło zapytać, czy zostanie na wieczór ze Stasiem, podwójnie płatne. Z góry... Oczywiście, że zostanie. Zawsze, z chęcią wielką. I nie trzeba płacić podwójnie. Tylko tym razem to niemożliwe! Już bilety kupione do kina, prezent spóźniony imieninowy, ze znajomym swym się wybiera. Tak jej przykro...

Agaty oczy wyrażają okrągłą pustkę. Iga zna to spojrzenie. Tak patrzą na Igę jej porcelanowe lalki zwożone z całego świata. Nic tak nie wzrusza Igi, jak śmierć czająca się w szklanych oczach. Bo gdyby nie to, mogłaby wierzyć, że lalki któregoś dnia do niej przemówią. Podziękują za miłość. No, w ogóle, za Igi obecność w ich życiu. Ale wystarczy spojrzeć im w oczy i już wiadomo, że taka chwila nie nastąpi.

Agata z okrągłą pustką w oczach wygląda jak ozdoba bezcennej kolekcji. Dlatego Idze robi się naprawdę przykro i choć dalej uważa, że każdy ma to, na co zasłużył, chciałyby szybko przywrócić oczom Agaty ich zwyczajny blask.

Niech będą sobie wkurwione, wściekłe, złe, ale jednak z ludzkim uczuciem, myśli, przejęta jej wyglądem. Nie wie, dlaczego to robi, ale nagle, bez wstępów i kręactwa, opowiada, co naprawdę wydarzyło się między nią a mężem.

Bo kłamała, mówiąc, że pogoniła go w diabły. Przecież nigdy by tego nie zrobiła.

– Nie temu mężczyźnie, zapomnij, Agata, ja? Takiego faceta to się nie zostawia żadnej kurwie, choćbyś miała do końca życia mieć sen, w którym wciąż cię z tą samą kobietą zdradza. Co się kładziesz do łóżka, to masz od razu taki film: twój mąż i ta zdzira. A ty leżysz obok i na to patrzysz. I nie możesz przestać. Nie uciekniesz. Mogłabym tak śnić i każdej nocy umierać, ale w nagrodę miałabym cały dzień, żeby się nim cieszyć, tym moim niewiernym mężem. Kochać go do kolejnego snu. Bo wiesz, Agata, ja głupia jakaś jestem. Niby samodzielna, na męskie tyłki mnie stać. Płacę i rządę. Pogardzam babami bluszczami, mdłymi zabusiami od jajecznicy dla spaszego misiaczka. Tym sprzętem seksualnym sponiewieranym, rzadziej używanym od samochodu... jadę po tych głupich babach, a sama... widzisz przecież, nic lepiej...

Głos Igi niebezpiecznie drży.

– No więc powinnaś wiedzieć, że było inaczej. To on odszedł, słuchaj, tak jak stał. Pamiętam, że w koszuli, którą mu w Hiszpanii na wakacjach kupiłam. Najpierw powiedział, że to już koniec. W taki zwyczajny dzień mi o tym powiedział, żadnej kłótni, nic! Na obiad mieliśmy wtedy wołowinę po seczuańsku, specjalnie papryczki świeże pobiegłam do marketu kupić, i czerwone wino. Wołowina doskonała mi wyszła. Nic za ostra, no, mówię ci, pycha. Jemy ją sobie, nawet płytę włączyłam z piosenkami Osieckiej... Jemy, a on mi to mówi. Że mnie nie kocha, mówi. Nawet ze smutkiem. Więc jak już to powiedział, zaczęłam się śmiać. Widzisz to? Śmiałam się, bo nie miałam pojęcia, co mogę zrobić. I już wtedy wiedziałam, że go nie zatrzymam. Pewnie, że potem się poryczałam... Żeby tylko... Zostań! – błagałam i nawet do głowy mi nie przyszło straszyć go, szantażować. Jeszcze nie odeszliśmy od stołu, jak mu wybaczyłam. Ale wszystko na nic. Zostawił mnie dla takiej Wioletty z tej swojej pipidowy. I wrócił tam do niej, choć starsza ode mnie pięć lat. Ponoć wcześniej kilka razy się jej oświadczał, ale nawet słyszeć nie chciała. Miała chore serce i takie tam zawirowania. A potem przeszła pomyślnie przeszczep. I taką pompę jej wstawili, że chyba od razu z wielką miłością do niego... No to teraz pomyśl sobie, kurwa, że bywa jeszcze gorzej...

Iga wciąż nie wierzy, że to powiedziała. Zbiera drżącą ręką kapiące łzy. I znowu swoim zwyczajem wyciera usta w serwetkę tak, że nie ma na nich śladu szminki. Agata patrzy na nią w milczeniu. Ale Iga nie jest pewna, czy cokolwiek widzi.

Żoliborz. Zakład fryzjerski...

Julia pyta, czy tak jest dobrze, nie za krótko. I chwali, że świetny dzieciak. Inne się drą, jakby je ze skóry obdzierała, nie z włosów. A Staś, proszę bardzo, prawdziwy dżentelmen, mówi.

– To mój narzeczony! – Iwanka przytula chłopca delikatnie. – Trochę za późno przyszedł na świat i starą żonkę będzie mieć. Ale najważniejsze, że się kochamy. – Otrzepuje Stasia z resztek przystrzyżonych kędziorków.

Staś ma zadowoloną minę. Podoba mu się tutaj. I wielka suszarka, i lustro.

Tylko Iwanka w tym lustrze nie wygląda dobrze. Pewnie lustro kłamie.

Julia też martwi się Iwanka. Nie wie, co jej doradzić. Może powinna porozmawiać z Agatą? Zapytać, co się stało? Czasami jedno słowo narobi więcej szkód niż tsunami.

– I u nas taka jest mądrość. – Iwanka uśmiecha się. – Że słowo nie strzała, a głębiej rani.

– No proszę ciel To ja sama wymyślam mądrości, nad którymi cała Ukraina się głowiła? – żartuje Julia, wyciągając w stronę Iwanki próbki maseczek do twarzy. – Bierz, za darmo dawali, to dla ciebie też wzięłam – kłamie bez mrugnienia okiem.

Kiedy wychodzą z zakładu, jest jeszcze tak ciepło i ładnie, że Iwanka postanawia zrobić małemu niespodziankę. Wprawdzie czeka ich długa droga, ale narzeczeństwo zobowiązuje, myśli.

Gdy stają wreszcie przed sklepem muzycznym na Andersa, Staś niechętnie przestępuje jego próg.

Iwanka prosi, żeby się nie bał. Dawno chciała mu zrobić taką przyjemność. Jej pomysł na pewno mu się spodoba, obiecuje. Będą sobie razem wolniutko chodzić wokół instrumentów. Zaprzyjaźnić się z nimi. Z bębenkami, tubami srebrnych trąb. Ze skrzypcami i flecikami, co rzędem stoją, prościutko, jak żołnierze na warcie.

Staś lubi delikatne dźwięki. Przysłuchuje się im z uwagą. Oboje budzą sympatię miłego sprzedawcy. Iwanka pyta go, czy może zrobić chłopcu nietypowy prezent, i mówi szeptem, o co chodzi, sprzedawca z aprobatą kiwa głową, wskazując na jedną z wystawionych wiolonczeli.

Kilka ruchów smyczka i sklep wypełnia refren piosenki, którą chłopiec tak lubi.

Staś jest zachwycony. Siedzi cichutko jak myszka u jej stóp i słucha z otwartą buzią.

Iwanka uświadamia sobie, jak bardzo są do siebie podobni. Oboje boją się wyjść ze swoich światów. Siedzą w ciemnych pokojach strachu. Wrażliwi na każdy fałszywy dźwięk, na wszelki wypadek nie wychodzą. A jeśli nawet podejmą taką próbę, może się okazać, że nic z tego. Że takie z nich klucze, nie pasują do żadnych drzwi.

Wracają wolno. Wolniej niż zwykle, Staś uparł się, że sam będzie niósł cymbałki, piękny prezent od Iwanki.

Śródmieście. Cybermax

Bruno śmieje się głośno. Olga przed chwilą spełniła jego prośbę i przysłała „rozebrane” zdjęcie. Na ekranie koralowa rafa, a przy niej pięcioletnie dziecko z maską tlenową zamiast twarzy. I rzeczywiście, w samych majtkach.

Rozczuła go ta mała z fotki, choć też i trochę przeraża. Nikt z jego pokolenia nie był w dzieciństwie na egzotycznych wakacjach.

Teraz na szczęście trochę wyrosła, konstatuje, ale myśl, że jego romans w jakimś sensie ociera się o pedofilię, gasi uśmiech. Młodość Olgi, będąca jej jedyną wadą, jest jednocześnie tym, czego Bruno pożąda najbardziej. Co przywłaszcza w krótkich chwilach erotycznego szaleństwa, żeby potem nerwowo tęsknić do następnego spotkania.

Zamyka stronę, gdy Marta wnosi kawę.

Drażnią go jej stukające obcasy. Rozrywają ciszę. Dzieli ją na małe, wojskowe przestrzenie. Poligony nachalnej obecności, odmierzane monotonnym stuk-puk.

Na szczęście Olga ma dziś czas. Zabiera go do kręgielni. Z tego powodu Marta i jej obcasy zostają objęte amnestią. Gdy Bruno podnosi wzrok znad laptopa, ma wrażenie, że coś się przytrafiło jego sekretarce. Wygląda inaczej. Starzej? W każdym razie zatrzymało się na niej sporo rodzajów czerwieni.

– Przysnęłam na słońcu. – Marta jest bliska łez. O przeterminowanej farbie do włosów, wiadomo, nie wspomina.

– Całkiem... odważnie. – Bruno zdobywa się na aprobującą minę i szybko ucieka w akta. Woli nie myśleć, co powie Grzegorz na widok tej nieszczęsnej indiańskiej squaw. Teraz w żaden sposób nie pasuje do wystroju wnętrza. I nawet nie wie, że ma problem.

Marta odbiera kilka telefonów i faksów, dopiero potem spogląda w lusterko. Nie powinna w nie dzisiaj patrzeć. Lepiej zgodzić się z szefem, że jest odważna. To dobry początek. Nawet nie początek, tylko pewnego rodzaju porozumienie. Marta mierzwi amarantową grzywkę i lekko pudruje czerwony nos. A co do odwagi, to się jeszcze zdziwisz, panie Bardzo Ważny Biznesmenie, na co mnie stać. Mruży do lusterka oczy i z nową energią zabiera się do pracy. Przeszkadza jej tylko hałaśliwy telefon. Pewnie to znowu ona, Agata. Głupia. Na telefon to można pizzę zamówić, nie męża. Okropność, być czyjaś żoną. To takie... upokarzające – myśli Marta, przełączając rozmowę z opłaconą przez firmę grzecznością.

Bruno jest wściekły, że Agata z tymi awanturami, tak w biały dzień, do biura. Znowu musi ją zbyć, pozostawić po drugiej stronie słuchawki z pretensjami o jakąś Iwanę. Oszalała do reszty, myśląc, że z kuchnią poszedłby do łóżka. Ale nawet podoba mu się sposób myślenia żony. Im bardziej podejrzewa go o romans z Iwaną, tym mniej Bruno czuje się winny. Zasugerował jej ostatnio wizytę u doktora, tego od czubków. „Chore fantazje trzeba leczyć” – poradził dobrotliwie. Rzuciła się na niego z pięciami. I po raz pierwszy miał ochotę jej oddać. Walnąć z całych sił. Ale na szczęście inaczej zaplanował wieczór, więc tylko wziął parasol i tyle go widziała.

Gdy wreszcie pozbywa się Agaty z jej maniacką podejrzliwością, prosi Martę, aby zadbała o jego spokój. Żadnych rozmów. Nawet z żoną – podkreśla i za ten ładny gest zostaje nagrodzony uwodzicielskim uśmiechem.

Bielany

Mykoła nie może patrzeć na zboląłą minę Iwanki.

– Przesadzasz – ucina ze złością. – Myślisz, że my dla nich coś znaczymy? Jesteś robot do sprzątania, automat kuchenny, zapomniałaś?

Jego gniew boli bardziej niż atmosfera w domu Agaty. Znowu to samo! Beszta ją jak szturmaka. Kolczasty taki. Bodiak. Nie przytuli, warczy, zmęczeniem odgradza się.

Już nie ten z niego Mykołka, co łzy żaloby w Iwanki miłość wycierał. Że chwilami nie wiedziała, czy matką dla niego, czy kochanką. Już i nie kochanką nawet, ale jakąś rozpustnicą. Takiej jej potrzebował, miał. Co teraz?

Wolno zbiera talerze. Będzie je gorliwie myła z tłustych plam, jakie zostają po złych słowach, resztkach złudzeń. Pamięci tak nie wypucuje. Może starać się i szorować do bólu delikatnych palców, a nie wypucuje. Wszystko nie tak.

Pewnie stoi przy zlewie i ryczy – Mykoła z ulgą wyciąga się na łóżku. Niech ryczy. Same z nią kłopoty. Gdyby wiedziała, jaka jest czasami podobna do swojej nudnej matki, ryczałaby jeszcze głośniej.

A przecież oszczędza ją. Nie mówi, jak czasami ma dość tych jej pretensji i oczekiwań. Przecież do pracy tu przyjechali, nie na wielkie migdalenie! Potrzebują pieniędzy, a ta nic, tylko ślubną wyprawę w marzeniach kupuje.

Uspokojony sięga po gazetę. Może szukają gitarzysty na wesele? Obrzydliwość, ale zawsze lepiej grać na cudzym niż na własnym. Ucieszył się z tego żartu.

Dopiero po chwili zrozumiał, że to wcale nie brzmi jak żart.

Marszałkowska

Marta przedziera się przez Marszałkowską w godzinach szczytu. Testuje mijanych mężczyzn, sprawdzając, czy robi na nich wrażenie. I proszę bardzo! Robi! Wręcz się za nią oglądają!

W aptece kupuje kojącą maść, od razu wciera pół tubki w rozpaloną skórę. Zabić Zośkę za ten pomysł z solarium to za mało, uznaje, włączając się w pędzący tłum.

Zanim wsiądzie do autobusu, ma czas na kawę. Siada w ogrodowej kawiarence, spocona i zła. Woli myśleć o jutrze. O tym, jak przez noc jej twarz nabierze szlachetnej brzoskwiniowej barwy. I może Bruno wgrzyzie się wreszcie pożądliwie w ten podsuwany mu do konsumpcji owoc? Dziś uznał ją za odważną. Gdyby jeszcze wiedział, jaka jest zdeterminowana... Zwykle ma, czego chce. Jej ostatni sponsor też kurze z dupy nie wypadł. Mógłby spokojnie powalczyć z Brunem na karty kredytowe i roczny przychód. Marta z sympatią myśli o właścicielu hurtowni urządzeń sanitarnych. Dzięki niemu na chwilę odzyskuje dawną pewność siebie. W innych konkurencjach nie miałyby szans, bo stary cap z włosami w uszach – uznaje sprawiedliwie. Gdyby nie te kłaki i zaniedbane zęby, może jeszcze by z nim wytrzymała. Ale miała dość ordynarnego seksu wśród łazienkowych armatur i muszli sedesowych. Trzy minuty jęczenia. Trzy dni podmywania tyłka drogimi płynami do higieny intymnej. Dobrze, że w porę odeszła. Łatwo polubić niezłą kasę, zapomnieć o własnej dumie.

Wśród wchodzących dostrzega ze zdumieniem Bruna. Z córką? Bez przesady! Krzywi się z obrzydzeniem. Kto tak się obściskuje z własnym dzieckiem?

Otwiera szeroko menu, śledząc parę niemal ocierającą się o jej stolik. Siadają w przeciwległym kącie ogródka.

Ależ w nią wpatrzony, w tę gówniarę...

Szybka zmiana planów. Nie będzie dziś piła kawy. Ma inne sprawy do załatwienia. Miesza się z falą przechodniów i kieruje w stronę internetowej kawiarenki. Jak dobrze, że kiedyś zapisała numer komórki Agaty. Przezorność to podstawa bycia sekretarką. A dbałość o morale szefa – obowiązek. Jedyna nieprofesjonalna wpadka to chwila naiwności. Jak mogła zapomnieć, że Bruno nie ma córki.

Żoliborz. Willa Wolskich

Esemes jest krótki. Cztery słowa. Agata zna go na pamięć. Leży pod kołdrą, zziębnięta, nieruchoma. Wsłuchana w muzykę domowych porządków. Brzęczenie, bieganina, odkurzanie. A to wszystko w rytm upiornego walenia w cymbalki. Zabiera mi obu jednocześnie. Bo Stasia też...

Stara się nie myśleć o Iwance, ale koszmar trwa.

Pewnie wkrótce zaczniesz przymierzać moje nocne koszule...

Dziwne. Agata nie ma o to żalu. Jest zmęczona i obojętna. Przełamuje stan apatii tylko po to, by ponownie przeczytać esemesa. Jego treść budzi uśpioną kluchę strachu i ujawnia się czerwonymi plamami na szyi. Dopada też Agatę rój nienawistnych myśli. Trudno powiedzieć, kogo dotyczą bardziej, Bruna czy Iwanki, ale dobre i to, przynajmniej mam jeszcze w sobie jakieś uczucia, myśli, szczerzej otulając się kołdrą.

Schodzi na dół dopiero późnym wieczorem. Staś zasnął na kanapie. Bruno stuka w klawiaturę laptopa.

Ubrana w piękną szafirową suknię podaje mężowi komórkę z esemesem. Mówi, że to dla niej żaden news, ale wolałaby dowiedzieć się od niego, Bruna, niż od życzliwej...

Głos Agaty jest drewniany, gdy to mówi. Brunowi jego barwa kojarzy się, nie wiadomo dlaczego, z różańcem matki. Tym przywiezionym z Fatimy Wiele by dał, aby móc na chwilę przenieść się z dusznego salonu na portugalski brzeg oceanu.

Żoliborz. Szpital Bielański

Bieluchowa wciąż wydaje się osłabiona, ale w dobrej formie. Rozmawia z Krystianem głośno, informując przy okazji pozostałe pacjentki o stanie swego zdrowia i umysłu. Krystian życzliwie słucha, ale wcale nie jest pewien, czy słowa matki są kierowane do niego. Z doświadczenia wie, że raczej nie. Przypominają mu się poradnie lekarskie, poczekalnie wypełnione obcymi ludźmi i nieposkromiony zapał konwersacyjny matki. To zapraszanie wszystkich do ułomnego wnętrza syna, wtajemniczenie w zawilóści jego ciała. W niedoskonałość i ból. Ohyda.

Na szczęście teraz matka jest bohaterką samej siebie i w ciszy uprzejmie słuchającej ją sali rozwija opowieść, wobec której Krystian pozostaje uczuciowo obojętny.

– ...no i teraz, synuś, już kolejny dzień klonazepamem nie przyjmuję. A doktor mnie chwali. Coś łżejszego daje. Mówi, że jestem bardzo grzeczna i silna. Aż się uśmiełam, że silna jestem, bo ty przecież wiesz, że bez tego paskudztwa to ja żyć nie mogłam! A powiem ci, że dobrze się stało, jak sobie pomyślę dzisiaj o tym moim wypadku. Że wtedy, wieczorem, koniecznie chciałam tego łabędzia z kryształu poprawić, boś go pupą do salonu odwrócił, ogonkiem. – Bieluchowa śmieje się z trudem. – A dzięki temu, że półka na mnie spadła, to przynajmniej już tej trucizny nie będę brała, co tak tumani. Jak mi doktor powiedział, że ludzie od tego umierają, to pierwsza myśl mnie naszła taka, Boże, co ja robię mojemu synusiowi! Mam teraz terapeutę. Pamiętasz, jak sam chodziłeś do psychiatrów? Ty niepotrzebnie, wiadomo. Tata się uparł, rozkaz dał i trzeba było. Ale ja muszę na te zajęcia chodzić. Na razie jak dama leżę tu sobie. A terapeuta do mnie zagląda. Już umówiona z nim jestem na spotkanie. Tak, tak, Krystianku. Twoja mama odludek na randkę się wybiera! Chociaż pożartować trzeba, takie to wszystko trudne.

Bieluchowa otrząsa łzę po własnym wybuchu śmiechu. Nikt więcej nie reaguje na jej żart.

Ale gdy Krystian poprawia poduszkę wymykającą się spod siwych włosów matki, kobiety patrzą na niego z aprobatą i na wymiętych twarzach próbują wykrzesać cień uśmiechu.

Żoliborz. Zakład fryzjerski

– Zwolniła mnie.

Iwanka nie może powstrzymać łez, choć tak bardzo się stara.

– Przyczyny nie podała, tylko że ma kogoś innego, nową dziewczynę.

Julia ją uspokaja, że nic się nie dzieje. Załatwi Iwance pracę w sklepie spożywczym, u znajomej. A drugi etat u niej, u Julii, w zakładzie.

– Na włosach nie znam się.

– Nie musisz się znać. – Julia przyjaźnie mruga oczami.

– Wystarczy, że je umyjesz, masaż klientkom zrobisz. Obopólna przyjemność – zapewnia, coraz bardziej zmęczona uciążliwym monologiem. Że Iwanka pechowa, że wszystko dobrze było, a teraz wali się, że i Mykołka nie taki, jak dawniej... – To zacznij od nowa. Bez Mykoły i wspomnień. Silniejsza musisz być, nie taka rozmemłana jak szampon jajeczny!

Julia traci cierpliwość. Lubi tę dziewczynę. Nawet nie wie za co, dlaczego. Nieważne. Może kiedyś też taka była, lelum polelum. Ale, do cholery, dosyć tego biadolenia! W jakich ona czasach żyje, gdzie się uchowała! Inne Ukrainki proszę bardzo! Idą przez tę Polskę, aż huczy. A to takie jakieś pogubione... Może tylko grać powinna na tej swojej mandolinie czy wiolonczeli i zbierać brawa?...

Julia nie zna się na artystkach. Jedyne, jakie poznała, to dziwki z pobliskiej agencji, co wpadają czasami na czesanie. Ale one w innych instrumentach specjalistki. Przez chwilę zastanawia się, czy nie powiedzieć tego Iwance. Szybko jednak rezygnuje.

– Dasz radę. – Julia zgarnia jasne kosmyki z czoła dziewczyny. – Mamy dziś jeszcze jedną klientkę, a potem gdzieś sobie razem pójdziemy i pobeczemy.

Żoliborz. Willa Wolskich

Iga zna lepszy sposób na spędzanie czasu niż leżenie w łóżku i zdychanie z opuchniętymi oczami. To dobre po pierwszej zdradzie. Nie ostatniej.

– Dość tego. Zabieram cię do klubu – mówi, sprawnie przeglądając szafę. Trafia na szafirową sukienkę i z niedowierzaniem obraca ją w każdą stronę. Zachwyty Igi jest tak spontaniczny, że Agata jej wierzy. A nawet trochę współczuje, kiedy Iga bezskutecznie próbuje wbić się w chabrowy ciuszek.

Opowieść Igi o ich wspólnym wypadzie do klubu brzmi jak planowanie wyprawy dookoła świata.

– Muszą być dzinsy, bo wiesz, te klimaty. I koniecznie luzacki podkoszulek. Może ten? I biżuteria. Wprawdzie ciemno tam jak w dupsku, ale nie szkodzi. I tak będą cię oglądać z każdej strony. A z wywłoką nie pójdę, zapomnij. Całe życie ciężko na reputację medialną pracuję...

Nie wiadomo, co bardziej męczy Ige, żmudna praca stylistki czy nieustająca paplanina. Jedno i drugie wzrusza Agatę.

- Wyrzuciłam ją – mówi nagle. – I dobrze.
- Nie zapytałam o nic, tylko zwyczajnie, że już koniec.
- Bo koniec.
- Staś nie znosi tej nowej.
- Polubi. Wygląda pocziwie.

Iga nie jest pewna, czy ma rację. Drzwi otworzyło wyjątkowo antypatyczne babsko. Jedno z tych, które szczęśliwie nie są do kochania. Mają za to wolne noce, więc i możliwość zajmowania się dzieckiem przez całą dobę. Dwójką dzieci – sumiennie poprawia się Iga, patrząc na zakopaną w zmiętej pościeli Agatę.

Drohobycz

Anna Matwijkenko jest podenerwowana. Wypiła już zioła. Poszła na długi spacer. Nie pomogło. To wszystko z powodu snu, do którego wdarła się jej córka, twierdząc, że nie może znaleźć ojca okularów. Okularów i lupy. A on na nie czeka.

Iwanka całą noc przewracała dom do góry nogami. Anna, zawstydzona, bezradnie kręciła się przy niej i nie mogła z siebie wydusić, że te okulary i lupę wyrzuciła.

Zwyczajnie. Zapakowała w filcowy woreczek po jakichś butach i położyła w śmietniku. Nie żeby z obierkami po kartoflach, z resztkami jedzenia. Ale jednak. Już potem zawsze było jej niezmiernie przykro, że te dwa najbardziej osobiste drobiazgi, stanowiące udoskonalenie Jegora Matwijkenki, wylądowały w końcu tam, gdzie inne śmieci.

W tym okropnym śnie rozboleła Annę Matwijkenko głowa i skoczyło jej ciśnienie. A Iwanka wcale się tym nie przejęła! Dopadła zamkniętą szufladę. Tę z dokumentami. I choć matka prosiła, błagała: „Nie otwieraj! Nie wolno!” to ona jak w amoku, jak jakaś głucha, ciągnęła z całych sił i bełkotała coś niezrozumiale.

Leżała przy tej szufladzie, tak chlipiąc, tak zawodząc, czego ona, Anna, nie mogła już wytrzymać. Postanowiła więc dać jej ten kluczyk nieszczęśny, ale jak na złość przestał pasować.

Tak ją to zdziwiło, że klucz może nie pasować, nie otwierać zamka, do którego został stworzony, że z wrażenia zapomniała o Iwance. Przegapiła moment, w którym córka wyszła. Pozostało tylko dręczące przypuszczenie, że jakimś cudem Iwanka domyśliła się prawdy i ruszyła na śmietnik. A tam ten zboczeniec, Panas Chyriak. Jak to on, łopuch parszywy, za krzakiem bżyny przyczajony. I co, jeśli znowu ją nastraszył?...

Anna Matwijkenko na wszelki wypadek spogląda z okna w stronę śmietników, ale podwórze wypalone sierpniowym słońcem. Puste. Gdzieniegdzie tylko nieśmiałe źdźbła trawy próbują powstać z popiołów. Nadaremnie.

Warszawa. Powiśle...

Iwanka nie wie, powiedzieć profesorowi o kłopotach czy przemilczeć. Właściwie to już je przemilczała. Lekcję opuściła. Bo trudno grać, kiedy tak źle. A jak już się zacznie nieszczęście, to i końca nie ma. „Bieda cię znajdzie, choć i słońce zajdzie” – mówiła babcia Łesia i wykrakała.

Dobrze, że kubek kołymski ma, prezent dla profesora. Dłużej będzie mu herbatkę ciepłą trzymał. I o Iwance przypominał. Jej ulubiony. Muzyczny. Na festiwalu młodych talentów zdobyty razem z wyróżnieniem.

Sierpień dyszy upałem jak zgoniony pies. Aż ciężko oddychać.

Profesor nie śpieszy się na powitanie Iwanki. Krzątania większa niż zwykle, ale nikt nie otwiera.

Wreszcie szpara w drzwiach.

Iwanka nie wie, do kogo mówi. Twarzy nie widać, tylko starcze oczy. Mimo to powtarza z uporem, że ona do profesora. Na lekcję. Zawsze tu przychodzi. Ostatnio tylko nie. A poza tym w każdy poniedziałek...

Drzwi się otwierają. To kobieta. Starsza, utykająca.

– Wejdz – mówi cicho, a Iwance robi się słabo. Pewnie od upału, bo choć już późne popołudnie, gorące powietrze wciąż się tłoczy i wypełnia próżnię.

Iwanka nie rozumie, że profesora nie ma. Jakże to? Nigdy stąd nie wychodził. Sam mówił, że lepiej w domu, bezpieczniej – kłóci się z upartym spojrzeniem milczącej kobiety. I że przyniosła mu kubek. Od dawna chciała, ale sposobności nie było. A to zapomniała go wziąć, a to, wstyd powiedzieć, ale brudny stał, niedomyty, więc jakże taki sprezentować...

Przed Iwanką leży koperta. Ma ją zabrać. Profesor prosił. I ucieszył się, że jej ostatnio nie było. I tak nie mógłby drzwi otworzyć. A to już dawno przygotował. Bo był taki akuratywny. I owszem, o wszystkim zawsze pamiętał.

Po twarzy kobiety lecą łzy. Wyciera je fartuchem. Prosi Iwanke, aby już poszła. Sprzątania tu jeszcze dużo. Niech weźmie kopertę. No i ten kubek też. I niech się czasami pomodli. To pomaga. Ona, ta kobieta, nie wie, co jeszcze mogłaby Iwance poradzić. Chyba nic więcej.

Mykoły nie ma. Dziś jest w klubie. Jak zawsze zostawił bałagan. Przebierał się w pośpiechu i mył. Rozrzucił trykotowe koszulki. Kupuje ich tyle, że strach. Taki modniś się zrobił.

Iwanka robi herbatę w kołymskim kubku. Siada przy stole i kładzie na nim kopertę. A gdy otwiera, wysypują się z niej pieniądze. Bilon i banknoty. Te, którymi płaciła za lekcje. Jest jeszcze kartka. Zwyczajna. Starannie wycięta, na której okrągłą kaligrafią ktoś napisał:

„Dziękuję Ci, Iwanko”.

Centrum. Klub jazzowy

Mykoła jest w swoim żywiole. Gra z zapamiętaniem i nie zauważa, że do stolika muzyków dosiadają się kolejne osoby. Jego improwizację docenia cała sala. Trzeba dłużej postać na scenie, podziękować za brawa.

Agata czuje zakłopotanie. Dostaje jakiś alkohol na lepsze samopoczucie, ale wciąż nie bardzo rozumie intencje Igi. Chyba nie sądzi, że w ramach zemsty jest gotowa flirtować z jakimś ukraińskim chłopaczkiem. Bo ten z gitarą, rzeczywiście, ciacho, ale to przecież jeszcze nie mężczyzna.

A może jednak? Ściąga tyle spojrzeń. Nie tylko kobiecych – Agata odnotowuje zachwyty w oczach siedzących nieopodal gejów.

Co ja właściwie tu robię? – próbuje pytać wzrokiem Igę. Zostaje źle zrozumiana. Iga szybko zamawia drinka.

– Od razu poczujesz się lepiej – zapewnia.

Alkohol zaczyna znieczulać Agatę na miejsce i czas. Skwapliwie wymazuje z jej tymczasowej pamięci Bruna, Iwanke i wszelkie wątpliwości.

Iwanke jednak nie do końca. Jest ciekawa, co tak naprawdę łączy tego całego Mikołaja od pizzy z jej domową pomocą. Dziewczyna zawsze sprytnie zbywała temat, mówiąc, że długo się znają, przyjaźnią. Ale ilekroć o nim mówiła, Agata słyszała zakochaną kobietę. Pewnie dlatego uspiła swoją czujność, zlekceważyła zagrożenie. Pierwsze podejrzenia przełknęła jak pestkę dyni w tej Iwankowej gałuszce.

Za chwilę wszystko się wyjaśni. Chociaż nie! Nie powinno. Iwanke należy obejść milczeniem. Niech się sama tłumaczy. Niech opowie temu lwowskiemu batiarowi, co narobiła i komu! Trzeba ją zbyć milczeniem i bawić się znakomicie. Po to przyszła! W końcu zaistniałe kurewstwo to sprawa między Agatą a Ukrainką. Nawet Bruno jest poza.

– Boże! – Agata krztusi się od nagłego ataku śmiechu. – Boże! Iga, ja nawet nie wiem, jak ona miała na nazwisko, ta cała Iwanka...

Mykoła okazuje się miły i rozmowny. Nawet dowcipny, zważywszy, że jednak lepiej gra na gitarze, niż mówi po polsku. Najwyraźniej wcale nie chce mu się dzisiaj pracować. To Agacie schlebia.

Zgadza się na propozycję Igi. I już mówiąc do niej po imieniu, zastrzega, że w pracy będzie dalej paniował. Nie inaczej. Paniowanie wszystkim się podoba. Szczególnie Agacie, która nie pamięta, kiedy tak szczerze i głośno się śmiała.

Mykołę trzeba z coraz większym trudem wyciągać na scenę. Tak sobie upodobał rozmowę z Agatą. Im więcej próbują sobie powiedzieć, przekrzykując gwar, tym bardziej zaczynają lubić.

Lubienie. Polsko-ukraiński pakt o uczuciowej nieagresji. Miasta partnerskie Warszawa-Lwów z bezpośrednim tłumaczem niuansów życia. Tego mi chyba najbardziej brakowało, myśli. Dawno żadna kobieta, dojrzała kobieta, nie poświęciła mu tyle uwagi.

Po dwóch godzinach mogłby wyznać jej całą prawdę o swojej matce. O największej macierzyńskiej klapie w dziejach Lwowa, kładącej się cieniem na korowód zasług i sukcesów Julii Oszurko. Ba! Na każdy dzień ich wspólnej niedoli, przerywany na szczęście jej licznymi podróżami. Powiedzieć o odrzuceniu, jakie go spotkało w przeciwieństwie do kotów i sprawiło, że nie potrafi kochać. Niech ona, Agata, się nie gniewa. Jej też nie mogłby kochać, bo właśnie sobie uświadomił, że to jedna z tych rzeczy, których go nie nauczono.

– W miłości trzeba być samoukiem – szeptem Agata. Nie bardzo wierzy w to, co mówi, bo historia Mikołaja jakby boleśnie znana, bliska...

Odpowiedziałyby, ale trzeba grać.

Niechętnie zostawia towarzystwo. Bierze gitarę na wyraźną prośbę w oczach Agaty. I zanim sala znów oszaleje, dedykuje jej utwór. To własna kompozycja. Napisana dla kogoś wyjątkowego, dla prawdziwego przyjaciela. Pierwsze wykonanie...

Warszawa jest jak stara, zmęczona upałem kobieta. Leży nieporuszona. Ciężko oddycha stojącym pod latarniami powietrzem. Ulice puste. W ciszy miasta kroki Agaty i Mykoły mieszają się jak dwa odrębne koncerty, jednocześnie wygrywane na czarnych klawiszach asfaltu.

Mykoła pyta Agatę, czy to możliwe, że już kiedyś się poznali. W tym albo innym życiu lub mieście. Może dorastała we Lwowie. Na sąsiedniej ulicy? Może jest wielbicielką pizzy na telefon i miał przyjemność widywać ją wcześniej, upaprana leciuchno sosem czosnkowym lub salsą?

Nie. We Lwowie nie była. Za pizzą nie przepada. Ale też ma wrażenie, że go skądś zna.

Zdaniem Mykoły to znak. Przecież nie ma przypadków. Nic przypadkiem się nie zdarza. Nieszczęścia może. Te są nieobliczalne. Ale w tym wypadku można mówić tylko o szczęśliwym trafie. Przeznaczeniu...

Przeprasza Agatę. To brzmi, jakby on miał jakieś niecne plany. Nic z tych rzeczy! Nawet do głowy mu nie przyszło! Może to też źle brzmi, ale zbyt ją szanuje. Nie chce już miłości, z których w najlepszym razie pozostaje przyzwyczajenie. To przez nie, przez tę skorupę tych samych gestów i słów, stajesz się więźniem czyjegoś oczekiwania.

– Chcę znów wiedzieć, co naprawdę jest ważne – mówi Mykoła głosem rozpieszczonego chłopca, ale nie budzi w Agacie macierzyńskich uczuć.

Brakuje tylko, żeby tupnął nogą i zabrał swoje zabawki... zabawkę, myśli.

Lekko uśmiechnięta, pyta, o co właściwie mu chodzi. Co sobie po niej obiecuje. Przecież nawet jej nie zna.

– Przyjaźń. – Mykoła czuje zakłopotanie. – Tylko przyjaźń – podkreśla.

– Skąd pomysł, żebyś została twoją przyjaciółką? – Agata patrzy przed siebie. Pyta lekkim głosem, ale jest spięta i uważna.

– Bo wtedy mógłbym powiedzieć ci o wszystkim. Nawet o tym, jaki ze mnie drań. Co zamierzam zrobić, choć to obrzydliwe... Wstrętne... A wyrzutów sumienia u mnie żadnych... Tego obcemu nie wyznasz. Tylko przyjacielowi... Agata wzrusza ramionami.

– Cóż poradzić? Nie mnie jesteś winien tę spowiedź. Przygląda mu się z ukosa.

Więc jednak ma dziewczynę. A raczej miał – to matę sprostowanie wydaje się Agacie i ważne, i zabawne.

Pokusa, aby powiedzieć mu prawdę, jest ogromna. Niechby ten pewny siebie przystojniak poczuł się zdradzony jak ona. Zrozumiał, że spóźnił się z tym marzeniem o samotności. Już dawno jest sam. Oszukany i żaloszny. Tak samo żaloszny jak fakt, że idą tu, warszawską ulicą, razem, gdy ich partnerzy też są razem...

Mykoła jest strapiony. Za dużo powiedział. Właściwie wszystko, co dotąd ukrywał nawet przed sobą.

– Muszę wracać. – Agata dopina krótką kurtkę. Rozgląda się za taksówką.

– Jestem twoim dłużnikiem. – Mykoła nie wie, co zrobić z rękami. Czuje się po tych zwierzeniach jak idiota. – Co powiesz na wspólną kawę? Obojętnie kiedy. Mam ci tyle do powiedzenia...

– Nie.

– Powinnaś. Pomogłaś mi...

– Raczej zaszkodziłam. – Śmiech Agaty brzmi krótko i szyderczo.

Na jego dźwięk Mykoła lekko się wzdyga, ale milczy. Patrzy trochę bezradnie, jak Agata stanowczym gestem przywołuje jedną z leniwych taksówek kręcących się po Śródmieściu. Kiedy do niej wsiada, wydaje się inną kobietą. Nieco podobną do Iwanki. Daleką i obcą.

Żoliborz. Willa Wolskich

Bruno czekał na Agatę w nadmiernie oświetlonym salonie. Staś spał. Jakaś obca, potworna baba, która zamieszkała z nim pod wspólnym dachem, też już się wyniosła do przeznaczonego dla niej pokoju.

Mógłby nie czekać, ale chciał jej osobiście powiedzieć, że wyjeżdża. Na dłużej.

Z ulgą przyjął propozycję Grzegorza, aby zająć się otwarciem nowego biura we Wrocławiu. Olga jest zachwycona. Nic jej nie trzyma w Warszawie. Pracę magisterską może pisać wszędzie. Najchętniej w Drohobyczu, bo Schulzem się zajmuje. Więc *Ubi tu Caius...* – szepnęła na wieść o przeprowadzce i jak sprytna małpka zawisła mu na szyi. Miła pieszczołka, ale Bruno na jej wspomnienie solennie sobie obiecuje, że wreszcie zacznie chodzić na siłownię.

Pierwszy raz opuszcza dom. I syna. Zastanawia się przez chwilę, jak to możliwe zupełnie nic nie czuć. Co się musiało tu zdarzyć, że z ulgą porzuca miejsce wypełnione wieloletnią obecnością. Rzeczami. Słowami...

Łatwiej ustalić, co się nie zdarzyło – wykrzywia ironicznie usta. Zawsze tak robi, gdy jest poirytowany.

Oddycha z ulgą na myśl, że wyprowadza się także od szaleństwa Agaty. Wprawdzie zawsze je traktował jako jej osobistą sprawę, ale Agata nigdy nie potrafiła ograniczyć się w swoim szaleństwie do samej siebie. I z tego powodu jej szaleństwo też stało się jakby wspólne. Kolejne chore dziecko, które stanęło między nimi, uniemożliwiając jakiegokolwiek porozumienie.

Ktoś powinien się nią zająć. Bruno sprawdza, czy wciąż ma numer telefonu do psychiatry Agaty. Ma. Jutro zadzwoni. Powie o ostatnich obsesjach. Scenach zazdrości, wyrzuceniu służącej. Opłaci terapię. To powinno załatwić wszystko.

Patrzy na zegarek. Ma dość czekania. Właściwie może spędzić noc w firmowym pokoju gościnnym. Adam, niezawodny menedżer, skompletował najnowsze filmy. Może wśród tych pornoli znajdzie się coś właściwego na dzisiejszy wieczór. A może właśnie odpowiedni pornol?

Zostawia Agacie wiadomość, że jutro się z nią skontaktuje. Wychodząc, nie gasi światel. Uznaje, że ten dom jest i tak stanowczo zbyt mroczny.

Pustki koło Szczytowej

Wolska przewraca się z boku na bok. Znowu ją dusi ta zмора, cholerstwo. Żadną modlitwą nie wyplenisz z duszy. W Szczytowej miła kobieta z kiosku mówiła, że na zморę dobre są świece. Jak się na oknie trzy postawi, wskażą drogę tej przybłędzie. Wyprowadzą ją i z piersi, i z chałupy. Ale Wolskiej świeczki się skończyły, jak ostatnio prądu nie było. Trzeba się więc we dwie, razem ze zморą, pod krochmałem sztywnym męczyć i pocić.

Na szczęście jest o czym myśleć między zapoconymi snami. Bo Heniek już lepszy. Gotowane może jeść. Już nie przez rurkę, że jak mu obiad wlewali, to się Wolskiej słabo robiło.

Polubiła Zofia Wolska ten szpital To sobie w rogu pokoju usiądzie. Na tych cierpiętników znad okularów popatrzy, bo czterech ich tam pokotem leży. A obrus sam się haftuje, tak szybko wzoru przybywa na białym płótnie. I przyjemne wnętrze. Czyściutko, biało. Pomocna też jest, bo siostrzyczki śliczne, zwinne, ale coś rzadko do chorych zachodzą. Nawet im się Wolska specjalnie nie dziwi. Do takich półtrupieńców żadnej ładnej pannie nieśpieszno. I trochę to niesprawiedliwe, myśli Wolska, że trzeba ślicznymi paluszkami to nocnik podsunąć, to pieluchę jednemu z drugim zmienić. Stare chłopcy, a zapaćkane to jak niemowlęta.

Wolska obrzydliwa nie jest, w tym sensie, że przecież własnych dzieciśk doglądała, tyłki myła. A i przy Wolskim, jak zaniemógł, też trzeba było ludzkie brudy, to wymioty, to kupy sprzątać. Poza tą rurką, co ją szczęśliwie Heńkowi odjęli, Wolska może dotykać wszystkiego.

Żeby Heniek tylko taki marudny nie był, co się odezwie, to „mama już idzie, no, mama już idzie do domu” – jak wierszyk powtarza...

Pójdzie, pójdzie. Zdąży kociątka dopieścić. Z Panienką Najświętszą poplotkować. Do pudełka, do kuzynka szanownego zajrzeć. Posłucha z radia o tragediach dużo większych niż te, co ją w życiu dopadły. Ucieszy się, że nie lata samolotami, co spadają. Że na statek elegancki wsiadać nie musi, który na płytkim, a utonie. Że willi wielkiej nie ma, co spłonęła z ludźmi bardzo zamożnymi w środku. Jakież to szczęście panią być na Pustkach, pomyśli i już wieczór ją znajdzie. Gdyby jeszcze zморa bez tych świeczek poradziła sobie w opuszczeniu Wolskiej, to niczego więcej nie potrzeba. Grzech ciężki chcieć więcej, jak się tyle ma....

Warszawa. Bielany

Iwanka nie płacze, choć Mykoła tego bał się najbardziej; że łyzy, histeria, może nawet prośby... Pytania, na które nie ma odpowiedzi, bo nikt nie wie, dlaczego przestaje się kochać. Po prostu. Przestaje, i już.

Najbardziej obawiał się tego, że trzeba będzie ją długo uspokajać, tłumaczyć wciąż od nowa, to nie twoja wina, zawsze byłaś cudowna, ze mnie drań – mówić i mówić.

Ale teraz, gdy patrzy na Iwankę, jej skupioną twarz, opanowanie, też nie czuje się komfortowo. Trudno powiedzieć, co lepsze.

– I nie ma nikogo innego – dodaje. Tak na wszelki wypadek. Dziewczyny zwykle chcą znać takie szczegóły. Właściwie tylko tyle jej ma do powiedzenia i to go najbardziej przeraża. Że po tylu latach nic więcej.

Wspomina o przyjaźni. Bardzo chciałby. Ma świadomość, że być może tak łatwo mu tego ona, Iwanka, nie wybaczy. Ale jeśli nie dziś, to przecież kiedy minie trochę czasu, oboje się oswoją z nową sytuacją, zawsze będzie można do tej rozmowy wrócić. Powinni. Tego Mykoła jest pewien. A zresztą... Przecież nie wiadomo, co przyniesie następny dzień. Może to tylko krótkie rozstanie? Odpoczną od siebie. Nie wiadomo, co się zdarzy jutro...

Kiedy Iwanka pyta drżącym głosem, co z nią nie tak, odpowiada bez zastanowienia, że z nią wszystko w porządku. W najlepszym. To on ma problem. Chyba nie potrafi kochać. Cierpi katusze, gdy ma być za kogoś odpowiedzialny. Bo dlaczego od czasu jej przyjazdu stracił radość życia? Nie znosił powrotów do domu, bo tu była i czekała na kogoś zupełnie innego. Na chłopaka ze swoich marzeń. Jakiegoś porąbanego romantyka czy kogoś w tym stylu. Gdzie jemu, Mykole, do tych jej mrzonek! Nawet udawać nie potrafi, że jest inny, niż jest... I wcale nie chciał jej kolacji, jej ciała, spacerków, ślubów, cerkwi i tej całej zabawy w wielkie walentynki! Okazało się, że nie chciał. Duszno mu było w ciasnocie jej ramion i pokoju z widokiem na kiepską przyszłość we dwoje. I gdyby jeszcze milczał, odkładał, litował się, to na pewno zrobiłby jakiś paskudny błąd. Może stłukłby ją nawet. Może wyrzucił z siebie te wszystkie pretensje, jakie mu się nabierały. I więcej ich na wspólnym koncju niż pieniędzy...

Pokusa, aby to wreszcie usłyszała, jest ogromna, ale Mykoła milczy. A gdy wreszcie się odzywa, nie patrzy jej w oczy.

– Przepraszam cię. Z tobą wszystko w porządku. To ze mnie drań.

Iwanka rozgląda się po pokoju, jakby tu była po raz pierwszy. Wie i nie wie, co się przed chwilą stało. Wierzy, choć jeszcze nie wierzy.

Mówi, że dawno palmy nie podlewała, ale teraz to bez znaczenia. Nie pamięta, czy wspominała mu o Agacie, że straciła pracę. Właściwie trudno powiedzieć dlaczego. Może pierogi przesoliła?

Próbuje się uśmiechnąć, ale żalony grymas w niczym nie przypomina uśmiechu. Julia, fryzjerka, inną obiecała załatwić, ale teraz już nie potrzeba. Musi tylko do Julii pójść, powiedzieć co i jak, żeby jej nie fatygować. I że profesor umarł. Za darmo u niego grała. W kopercie co do grosika oddał pieniądze za lekcje... Na bilet do Drohobycza prawie wystarczy...

Pobędzie tu jeszcze dwa, trzy dni. Spakuje się. Wiadomo, jak to przed podróżą. Mamie jakiś prezent spróbuje kupić. I Oksanie... Cóż więcej może powiedzieć Mykole? Chciałaby, to pewne! Ale sama nie wie już co...

Cichy płacz przynosi ulgę. Wymyka się spod kontroli, gdy Mykoła próbuje ją objąć. Delikatnie, ale stanowczo uwalnia się z uścisku.

– Nie – mówi przez łyzy. – Lepiej nie.

Drohobycz

Annie Matwijkeno służy wrześnie aura.

Sąsiedzi ze zdumieniem patrzą na jej metamorfozę. Kupiła amarantowy jesienny płaszcz, w którym z daleka można ją rozpoznać. Zaczęła nosić rozpuszczone włosy, co spotkało się z żywą reakcją pokoju nauczycielskiego. Debatę na temat, czy w wieku Anny Matwijkeno tak nosić się wypada, czy nie wypada, zakończyła decyzja dyrektora. Że wypada, gdyż zaproponował jej dodatkowe godziny, i to w kilku klasach. Radością z niespodziewanych pieniędzy Anna Matwijkeno postanowiła podzielić się ze swoim nieżyjącym mężem, Jegorem, i zamówiła mu nowy nagrobek. Z przyzwoitego granitu. Taki, który spełni wymagania nawet najbardziej surowego kontrolera jakości.

W dniu, w którym Iwanka składała do walizek swoje rzeczy, nieświadoma tego Anna Matwijkeno postanowiła uporządkować szufladę. Tę z ważnymi papierami.

Długo napawa się szczęściem, przeglądając stare świadectwa Iwanki. I te ze szkoły podstawowej, i te ze szkół muzycznych. Jej pierwsze listy, przysyłane z letniska i z wakacji w Niemirowie. Pamiątkowe zdjęcia, portreciki robione na zamówienie... Wyblakłe kolory i uśmiechy. Ładne dziecko. Może trochę chudziutkie, na zabiedzone wyglądające. Zwłaszcza tu, przy mocno zbudowanej Oksanie z toporną nóżką.

Zatęskniła za córką, ale inaczej. Bez skurczu dotkliwego bólu, że nie ma jej obok. Bez niezadowolenia, zwykle silniejszego od tęsknoty i trwającego dłużej niż ona. Zatęskniła po prostu, po matczynemu. Po nowemu, co sprawiło jej niespodziewaną radość. Za małą dziewczynką z jasnym warkoczykiem. I chyba po raz pierwszy uśmiechnęła się, myśląc, że ta mała już dawno umarła. I była to śmierć jak najbardziej potrzebna.

Blaszane pudełko z dokumentami Jegora Matwijkenki też jest zamykane na kluczyk. Jakby było osobną szufladką w zamykanej szufladzie.

Anna Matwijkeno trzyma tam rodzinną tajemnicę wagi państwowej. W małym blaszanym pudełku spoczywa pięć lat jej nieudanego małżeńskiego życia, zdrada, niespokojne sny. Wyrzuty sumienia, samotne noce. Zła miłość do niewłaściwego mężczyzny. Czy zła? Tego Anna Matwijkeno nie wie. Ponoć nie ma złych miłości, tylko ludzie czasami co do niej się myślą.

W blaszanym pudełku poza przeklętym czasem małżeńskim jest też dowód odwagi jej męża, kontrolera jakości. Certyfikat prawdziwego patriotyzmu. Akt odwagi. Żółte papiery, jak mawiają niektórzy, z Perkałaby. Mój mąż ma dę in Perkałaba, myśli z dumą Anna Matwijkeno. Dlaczego tak późno zdobyła się na dumę? Dlaczego nigdy nie powiedziała Jegorowi, że to był wielki zaszczyt spotkać w życiu kogoś tak dzielnego jak on.

Gdy po pięciu latach wrócił z psychiatrycznej kliniki, podleczoney torturami wariat, który zadarł z systemem, głupiec, rzucający się z gołymi rękami na ojczyźniane monstrum, Anna Matwijkeno przyjęła go we flanelowej nocnej koszuli. Stała w niej przed nim tak, aby od razu zauważył wysoko zawieszoną ciążę.

Jegor Matwijkeno długo wpatrywał się w jej brzuch. Wyniszczony niczym największa kancera mijającej epoki, programowo milczący, mógł na tym poprzestać. Tylko stać i patrzeć. Ale on podszedł do niej. Bez słowa położył rękę na wypukłości i zapytał, czy to dziewczynka. Zawsze chciał mieć córkę.

Anna Matwijkeno płacze. Uspokaja się, gdy widzi, że papiery z Perkałaby są zagrożone jej łzami. Przeciera je delikatnie i wkłada do blaszanego pudełka. Jak tylko Iwanka przyjedzie do domu, choćby z krótką wizytą, będzie trzeba jakoś jej o tym powiedzieć. Najwyższy czas, aby się dowiedziała, że jej ojciec, Jegor Matwijkeno, kontroler jakości, był prawdziwym bohaterem...

Warszawa. Kępa Potocka

Iwanka patrzy na dwie walizki. Do domu zabierze o jedną więcej. Są małe. Powinna sobie poradzić. Sprawdza w przegródce, czy schowała bilet. Schowała. Wyruszy rano. Mykoła zdąży ją odwiedzić na dworzec. Uparł się.

Postanowiła nie dzwonić do matki. Będzie dodatkowa niespodzianka. A to, że bolesna dla Iwanki, nieważne. Nic już nie jest ważne. „Co było, minęło, po wodzie spłynęło” – podpowiada Iwance daleki głos babci Łesi. I trzeba znowu przyznać jej rację.

Ostatni spacer po Warszawie. Właściwie tylko z Julią musi się pożegnać. Powiedzieć jej co i jak. Pójdzie przez Kępę Potocką. Wprawdzie już późno, ale wróci tramwajem. Co za szczęście! W portmonetce odkrywa tramwajowy bilet. Jeden jedyny. Wchodzi do windy, zadając sobie pytanie, czy rzeczywiście szczęście? Czy tak je sobie wyobrażała? Przegania tę myśl. Natrętną jak dręczący ją od dwóch tygodni niepokój, związany z opóźniającym się okresem. Pokusa, aby kupić test ciążowy, jest wielka, ale Iwanka odkłada to na potem. Na Drohobycz.

Wczesny wieczór nad Warszawą udaje letnią porę. Łatwo dołączyć do fali spacerowiczów i ruszyć przed siebie.

Pokochałaby to miasto, gdyby dało jej taką szansę. Ale nie dało. Poskapiło przyjaciół, miłych wspomnień. Uparło się na Iwanke, osamotniło ją i wypłuło. Jak szmacianą lalkę, którą nawet pies obejdzie wielkim łukiem.

Najtrudniej pogodzić się Iwance z samotnością. Z tą nieludzką zapłatą, jaką otrzymała za pracę i miłość. I wcale nie byłoby jej źlej, gdyby wiedziała, że nie jest ani sama, ani samotna. Że tuż za jej plecami idzie, być może bardziej od niej samotny Krystian. Ma zarzucony na ramię plecak i pogwizduje fałszywie jakąś piosenkę Adele.

Gdyby wiedziała, że Krystian znowu chce ją zaprosić do ciemnej kinowej sali, tym razem na mroczny film o umieraniu, gdyby знаła jego plany, może poczułaby ulgę, może strach. W każdym razie wypełniłoby ją jakieś uczucie inne od całkowitej apatii, która teraz osiadła na jej twarzy i sprawiła, że ludzie mijali ją obojętnie. Nawet mężczyźni.

Krystian przyspieszył i tak niefortunnie pojawił się u jej boku, że złapała się za serce.

– Oj, jaka ja durna! Tak przeraziłam się, a to ty, Krystianku – mityguje się, wciąż zaskoczona.

Krystian nalega, żeby zwolniła. Usiadła na chwilę na pobliskiej ławce. Kiedyś musi jej o wszystkim opowiedzieć. I chce to zrobić dziś. Właśnie teraz, właśnie tu! Uśmiecha się prosząco.

Iwanka blednie. Tłumaczy, że to zły moment. Właśnie przegrała, jakby życie straciła, drepcze do koleżanki jakby po swoich wczorajszych marzeniach. Pożegnać się. Krystianek niech uszanuje jej decyzję. Nic mu nie ma do powiedzenia. Może gdyby się poznali kiedyś, u babci Łesi, jak jeszcze tyle zdarzyć się mogło. Ot, pewnie i dobrze by się im razem filmy oglądało. Ale dzisiaj za późno. Na nic tu słowa. Przeprasza Krystiana. Jeszcze i jego na koniec rozczaruje. Taki widać los jej pisany, żeby zostawić po sobie tylko...

Krystian nie pozwala jej skończyć. Kładzie dłonie na wiotkich ramionach, ale w tym geście wyraża się taki bezmiar współczucia, że Iwanka czuje się przez chwilę jak wdowa, której ktoś składa kondolencje. Tymczasem ona ich nie chce.

– Muszę już iść – mówi, bojąc się, że zaraz tu, w środku parku, wybuchnie niepohamowanym płaczem.

Wreszcie godzi się usiąść na ławce. Może dlatego, że jednak Krystian trochę ją przeraża. Wygląda inaczej niż zwykle. Trudno powiedzieć, co w nim innego. Pewnie ta sprawa z mamą tak go inaczej usposobiła – myśli Iwanka, słuchając opowieści o karetce i szpitalu. O jakichś

stłuczonych kryształach i łabędziu, którego Krystian jej przeznaczył, ale się zbił, więc już po prezencie...

Gdyby jednak w ten letni wieczór nie usiadła obok Krystiana, to jeszcze wciąż istniałaby szansa na pracę uczelnianą. Bo postanowiła już, że wróci do zawodu. Przynajmniej spróbuje. Może profesor Zabulewicz znajdzie dla niej etat asystentki? A jeśli nawet nie, przecież mogłaby zacząć od sprzątanania w konserwatorium, cierpliwie czekać, aż się jakieś miejsce zwolni. Choćby ze względu na pana Miodyńskiego powinna tak zrobić.

Więc gdyby nie ta uległość, z jaką przycupnęła na ławce, miałyby znacznie więcej czasu na posklejanie tych nieszczęsnych zdarzeń, roztrzaskanych jak szklany Krystianowy łabędź. Prędzej czy później zapomniałaby o Mykole. Może nie tak szybko jak tego pragnęła. Ale doczekałaby dnia, kiedy wspólne zdjęcie bez żalu zamknęłaby w szufladzie z archiwalnymi świadectwami.

No i kto wie? Może urodziłaby dziecko, o czym na razie woli nie myśleć. Ostatnio kupiła nawet podpaski na szczęście, choć z tego, co czuła, powinna raczej wziąć z półki jakiś skuteczny test ciążowy.

Gdyby więc nie ta ławka, wystarczyłoby Iwance życia na myślenie o niejednym. Na koncerty wiolonczelowe Brucha i Offenbacha, na gałuszki i film z Miłą Kunis w roli głównej też. Na doktorat związany z twórczością niepełnosprawnych muzyków. Na spacer po Drohobyczu, gdyby Julia zechciała do niej przyjechać, bo właśnie zamierza adres jej zostawić, zaprosić.

Właściwie wszystko stało się tak nagle, że aż zaniemówiła. Najpierw poczuła ukłucie, a potem świat stanął na głowie. Jak kiedyś, gdy pędziła rowerem z Czarciego Garbu. Nie, to nie Janek pochyla się nad nią. To twarz Boba Marleya, który nagle wyłonił się z mroku. Zdążyła pomyśleć, że na pewno można jakoś wyleczyć ten jego okropny trądzik. Wielki muzyk, a kłopoty zwyczajne, pomyślała jeszcze, zanim postanowiła odskoczyć, przerażona przykrą bliskością. Mięśnie zatrzymały ją w bolesnym skurczu. Ból powoli mijał, ale w jego miejsce wkradła się zimna senność. Jakże nieprzyzwoita – na ławce, w publicznym miejscu. I w dodatku Iwanka już wie! Jest pewna, że ten chłopiec z trądzikiem to wcale nie Janek! Powinien nim być. Bo ona znowu pędzi na złamanie karku – i kto ją zatrzyma? Opatrzy? Kto weźmie w ramiona? Ale tym razem rower pnie się w górę. Po ohydnych wągrach cudzej twarzy. Po chorych oczach, które zaczyna wypełniać spokój i ulga. Być może ten sam spokój spowija Iwankę. Nie jest już niczego pewna. Wie i nie wie, co się przed chwilą stało. Wierzy i nie wierzy...

Ten z krostami przytula ją z całych sił. Coś szeptem jej do ucha. O Śpiącej Królownie? Mówi, że ma na imię Masza.

Ależ to rosyjskie imię! – protestuje Iwanka. Jej głos pozostaje jednak w środku, nie ma sensu klócić się o cokolwiek. Bob Marley zaczyna grać. Gdyby jeszcze na wiolonczeli. Ale wiolonczela daleko. W Drohobyczu. Czy aby mama ją czasami odkurza?

Ot, bajki jakieś. Po prostu robi się coraz chłodniej. A wszyscy się uparli, żeby ją dziś straszyc. Nie taka ona strachliwa. Tylko że ciemno, a jej wciąż nie ma w domu. Mama już zmartwiona, to pewne. Zupa z dyni stygnie, a Iwanki nie ma...

– Tu jesteś, przy mnie – szeptem Krystian. – I jeszcze chwilę pobędziemy razem. Dopiero potem będę musiał zostawić cię samą. Ale nie bój się. Już nikt cię nie skrzywdzi. Moja w tym głowa. Właściwie powinienem opowiedzieć ci o sobie...

Zdumiewa Krystiana, że potrafi tak szczerze i bez ogródek mówić o wszystkich upokorzeniach, jakie go spotkały. Nie wspomina tylko słowem o psie, który zginął przy placu Wilsona.

A może i o tym powinienem wspomnieć? Może to jest prawdziwy początek mojej historii? – zastanawia się, mocniej podtrzymując osuwającą się dziewczynę. Denerwuje go trochę jej

bezwładność. Takie chuchro, a ciężka. I ręka Iwanki, która osuwa się z jego ramienia. Źle to wygląda, musi uważać, by przetrwali w pozie zakochanych jeszcze jakiś czas.

Właściwie Krystian łapie się na tym, że po raz pierwszy stać go na taką szczerość. I to wobec kogoś niemal obcego. Cieszy się, że swoje najgłębiej skrywane sekrety powierza pięknej dziewczynie, nie jakiejś wywołce. I jest pewien jej dyskrecji. W ten sposób będą już zawsze razem. Kiedyś pragnął być z Maszą na zawsze razem. Ale nie żałuje, że stało się inaczej. Z Maszą nie przeżyłby chwili tak doskonałego szczęścia.

Kiedy znika ostatni przechodzień, Krystian z trudem staje nad brzegiem parkowej sadzawki. Krótki plusk i po nim wszechobecna cisza. Nigdy nie sądził, że można tak bez krwi i przemocy, spokojnie i mądrze odejść...

Żoliborz. Willa Bieluchów

Następnego dnia w drodze do pracy Krystian kupił kilka popołudniowych gazet. Każdy tytuł w innym kiosku. Kiedy wrócił do domu, z największą satysfakcją przeczytał, że na Kępie Potockiej znaleziono ciało Iwanki M., obywatelki Ukrainy. Wyniki sekcji zwłok znane będą za kilka dni. Ze wstępnych ustaleń wynika, że przyczyną zgonu był podany domięśniowo lek, po którym obezwładnioną ofiarę wrzucono do akwenu znajdującego się w parku...

Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie...

Krystian nie poczuł urazy z powodu tego, że nazwano go kimkolwiek. Bo rzeczywiście. Widział i wie. Starannie wyciął prasowe doniesienia i powiesił na magnetycznej tablicy. Otworzył brulion. Przy ostatnich zdaniach dotyczących Iwanki zanotował wczorajszą datę i po dłuższym namyśle dopisał: „Ukrainka”.

Epilog

W czasie kiedy Iwanka umierała, Mykoła złożył zamaszysty podpis na kontrakcie trasy koncertowej. Żadne tam cuda, występy w małych domach kultury z określonym przez impresaria repertuarem, ale pieniądze zupełnie przyzwoite. Solistka zespołu też, co zauważył już na pierwszej próbie. Zamierzał jednak poprzestać na tym spostrzeżeniu. Przez chwilę zastanawiał się, czy powiedzieć Iwance. W końcu jest wymarzona trasa! Może łatwiej by się jej wyjeżdżało ze świadomością, że i on opuszcza Warszawę. Uznał, że jednak nie powie, ale po raz pierwszy zabrakło mu Iwanki. Zawsze potrafiła szczerze cieszyć się jego sukcesami. I pod tym względem będzie na pewno trudniej...

Agata była zdumiona, gdy telefon w nowym apartamencie we Wrocławiu odebrała jakaś młoda kobieta. Że to nie głos Iwanki. Poznałaby przecież. Choćby po akcencie. Oschle poprosiła, aby mąż oddzwonił w ważnej sprawie. Po tej krótkiej rozmowie wróciła do wypełniania papierów rozwodowych.

Iga sprawdziła, czy drzwi do mieszkania są dobrze zamknięte, po czym usiadła przed telewizorem z otwartą butelką wina. Nie mogła jednak skupić się na zagadkach kryminalnych, choć za nimi przepadała. Przeniosła się więc do pokoju, w którym czekała na nią kolekcja porcelanowych lalek. Długo na nie patrzyła, ale lalki nie były gotowe, by wyrazić cokolwiek plastikowym wzrokiem. Zniechęcona zasnęła, nie wiedząc kiedy. Obudziła się przerażona, myśląc, że leży w kałuży krwi. Ale to była tylko plama rozlanego wina.

Bruno zlekceważył prośbę Agaty i nie oddzwonił. Kochali się z Olgą, jak tylko wrócił z pracy. A potem, po kolacji, kochali się dalej. Był z siebie zadowolony, bo tego dnia zapisał się wreszcie na siłownię.

Staś nie mógł spać. Nowa opiekunka zmierzyła mu temperaturę i trzeba było wzywać lekarza. Nie znosiła tego domu. Tego dzieciaka i jego głupiej matki. Ale takich pieniędzy nie zarobiłaby nigdzie, starała się więc nie okazywać swych uczuć. Wystarczyło jednak spojrzeć na nią, by wiedzieć, co myśli. Kiedy przyjechał lekarz, od razu się zorientował, że nie jest babcią małego. Jeszcze tego brakowało! – pomyślała wściekła. Babcią to już nie będzie za żadne pieniądze. Na szczęście nie wszystko jest do kupienia...

Julia miała dwie klientki w salonie, kiedy w lustrze dostrzegła idącą chodnikiem Iwanę. Rzuciła się do drzwi, wołając głośno jej imię. Ale gdy przechodząca kobieta się odwróciła, trzeba ją było przeprosić. Pomyślała, że tak to już jest. Ludzie przychodzą tylko wtedy, gdy czegoś chcą. Namieszają, naszastają obietnicami i do widzenia ślepa Genia... Niepotrzebnie uwierzyła, że to przyjaźń.

Marta długo przekomarzała się przez telefon z bossem od armatur łazienkowych, zanim wyraziła zgodę na randkę. Właściwie żadna to randka. Hotel i dymanie. Obiecał, że nie pożałuje. Nie zamierzała żałować. Od czasu gdy zeszła jej opalenizna i włosy nabrały właściwej barwy, była w doskonałym humorze. Nowy szef, który zastąpił Bruna, stara się być dla niej bardzo miły. Marta jednak już szefom w tej firmie nie ufa. Nadal jest profesjonalnie grzeczna, nieco zimna i niedostępna. Jak jej własna nokia. To chyba dobra taktyka. Ostatnio szef zabrał ją na lunch. Być może wkrótce znowu zacznie nosić prezerwatywy w torebce. Ale

w torebce od Louisa Vuittona, którą sobie kupi za trzyminutowe szaleństwo wieńczące noc z biznesmenem od desek klozetowych.

Zofia Wolska całe popołudnie krzątała się po domu. A wieczorem wpadła w przerażenie, bo Najświętsza Panienska jakimś cudem znalazła się na podłodze. Okruchy gipsu jak ciernie wgryzały się w roztrzęsione ręce Wolskiej, kiedy zbierała szczątki święte z podłogi. Jedyne, co ją pocieszało, to to, że na ten upadek Panienski przynajmniej podłogę wyfroterowała. Jakby przypuszczała, że coś podobnego może się zdarzyć. Ot, takie szczęście w nieszczęściu.

Wszystkie kawałki i drobinki gipsu włożyła do pudełka po butach, które dostała od Agaty. Buty nigdy nienoszone wyniosła na stryszek. A pudełko w sam raz pomieściło skarb j ej przenajświętszy. W Szczytowej skleja, naprawią. Wyjęła białe płótno i zaczęła obrabiać obrus. Ściegiem prostym. I życie dobre, kiedy proste, myśli Wolska. Zastanawia się, czy jej gipsowej Paniencie nie jest zbyt ciemno albo ciasno w tym pudełku. Uspokaja się, że to tymczasowe więzienie. I dla ludzkiej duszy ciało też jak tymczasowy areszt. Uśmiecha się dobrotliwie, jak przystało na kogoś, kto już niczego się nie boi, bo wie, że po śmierci nawet to może być tylko lepiej.

Pociąg relacji Warszawa-Lwów

Mykoła siada w wagonie tak, żeby na nikogo nie patrzeć. Nie ma bagażu. Tylko podręczny, z garniturem. Iwance się podobał, jak przymierzył go przed pogrzebem matki.

Do granicy podróż przebiega spokojnie; prawie do granicy, bo już w Przemyślu jednak koszmar. Jest wściekły na tę ukraińskość szczerbatą, zaniedbaną. Na ten zaduch, na biedę wrytą w zniszczonych twarzach.

Udaje, że śpi.

Z przeciwległego kąta przygląda mu się jakaś wiedźma. Nikt już takich pstrokatych spódnic nie nosi. Najchętniej dałby jej parę groszy, żeby kupiła coś spokojnego. Cyganicha bazarowa...

Wiedźma nie spuszcza z Mykoły wzroku. Je bułkę, sypie wokół okruchami, głośno mlaszcze i przełyka.

Powróżyłaby chętnie temu młodzikowi na świat obrażonemu. Powiedziałyby mu, co szczęście da, co kłopoty przyniesie, w którą stronę iść powinien, żeby na radość natrafić. Nie żałowałyby mu tych nocy nieprzespanych miłośnicie. Tych ranków wiary pełnej w lepszą dolę. Obiecałyby królową jaką. Żeby z nią królewskie dzieci miał, na dużym łożu wygodnie spał, jak ten basza wszechmogący...

Ale żeby wróżba prawdziwa była, wierzyć trzeba, pragnąć i czuć. A ten młody pan jakby już i sam nie oddychał. Może tylko powietrze łyka z przyzwyczajenia. Nic dobrego na jego czystej dłoni nie wypisał los. Więc i niech tak zostanie, miłej podróży i każdy w swoją stronę. Świata nie zbawisz, ludzi nie naprawisz. Do tego Bogiem trzeba być albo choć bohaterem jakim. A tu, w przedziale, nikogo takiego nie ma.

Wyciera ręce w spódnicę pełną kolorowych ptaków i odwraca wzrok od Mykoły.

Z przesłuchania matki Krystiana B.

Warszawa, 20.08.2012

Krystianek zawsze taki spokojny był. Jak go urodziłam, to pamiętam, że siostry na oddziale zdumione, jakie cichutkie dziecko, mówiły. I żadnych chorób. Tyle co tym jąderkom pomóc trzeba było, bo samoistnie zstąpić nie chciały. A zeza wcale nie miał. Okulista wtedy pomylił się i te okularki zupełnie niepotrzebnie tak długo Krystianek nosił...

Na wywiadówki to głównie ja chodziłam. Mąż bardzo zajęty, bo jednak oficer, ciągle służba, za cały wydział do spraw tajnych odpowiedzialny. Panie w szkole nachwalić się nie mogły. Pytały nawet, jaką ja metodą wychowuję Krystianka, że tak się pięknie rozwija. A ja, że sercową! I w śmiech. Bo też jaką mogłam metodą, jak nie miłością? Już myśleliśmy z mężem, że nie doczekamy syna. Późno go urodziłam, trzydzieści osiem lat na karku, a tu cięża. No, ale choć trudna była, wiecznie leżałam na podtrzymaniu, kroplówki, migreny, to warto było wycierpieć dla takiego zucha.

Co jeszcze mogę powiedzieć... Chyba o tym, jak on, nasz Krystianek, ładnie się wyrażał. Ten język ma taki mądry. Malutki był, a już wyrazami trudnymi się posługiwał. „Naturalnie”, „oczywiście” „uprzejmie dziękuję”. Nawet do naszego listonosza tak się zwracał. Tylko samotniczek rósł. Ani siostry, ani brata. Dobrze, że choć kuzynostwo miał. Wprawdzie młodsze, ale zawsze tak chętnie opiekował się Adunią i Wojtusiem, dziećmi szwagra.

A z tym zwierzątkiem, co się z mężem nie zgodziliśmy, to tylko dlatego, że z cerą kłopoty miał, od dzieciaka. Najpierw pryszczki, wystarczyło, że się zanadto zgrzał, a potem to już trądzik, doktor mówił, że od zrogowacenia. A tak mu się nasilał, buzia jak arbuz czerwona. W średniej szkole to nawet przez tę buzię raz i drugi na lekcje nie poszedł, tak się wstydził. Wiadomo, jakie teraz te dziewczyska. Wyśmieją chłopaka i potem kłopoty z kobietami. Nieufność dla nich.

Ja z mojej strony robiłam wszystko, żeby dziewczynki szanował, ale matki są różne i dziewczyniska też. Wiadomo, gorsze to od chłopców. Jak im się grzeczny trafi, ułożony, to już po nim. Jednego przecież chcą, każdy to wie, co takie siksy z gimnazjum zrobić chłopakowi potrafią...

I jeszcze dodam, że mój syn na pewno tego nie zrobił! On by zwierzęcia nie skrzywdził. Niech panowie policjanci zapytają w pracy, w weterynarii, ile on ma serca dla zwierząt, a cóż dopiero człowieka...

Z przesłuchań Krystiana B.

Warszawa, 20.08.2012

Moi rodzice zawsze żyli jak pies z kotem. Pewnie dlatego nie chcieli się zgodzić na kolejnego psa (śmiej).
A tak poważnie, to o czym mam mówić? Naprawdę o dzieciństwie? Jakie dzieciństwo ma syn oficera? Wiadomo: rozkazy i nagany (śmiej). No więc szkoda mi było matki. Najpierw uzależniła się od ojca, potem od klonazepamu. Wolałem, jak spała, niż jak cierpiała, to chyba normalne, nie?

W szkole szło mi dobrze, ale byłem wstydlivy. Ojca to wkur... denerwowało. Wiecznie mnie zapisywał do jakichś psychiatrów. Chodziłem na te wizyty, ale przecież tylko idiota by mówił prawdę o sobie. No, na przykład, że ściągnąłem kuzynce Adzie majtki. Chciałem, żeby ona wstydziła się bardziej niż ja. No i udało się. Kiedyś, na imieninach ojca, opluła mnie tortem. Na szczęście nikt tego nie widział.

Nie, poza tym nigdy nikogo nie dręczyłem. To raczej mnie dręczono. Pamiętam, jak taka jedna Monika, picza z ogólniaka, najpierw wlaźła na obozie do mojego namiotu, wiadomo po co. Nic jednak z tego nie wyszło, to z zemsty nagrała filmik, jak śpię w opuszczonych gaciach, i rzuciła go do sieci.

Albo jak starałem się o pracę... Facet wydawał się miły, niby mnie zatrudnił w materiałach budowlanych, a po tygodniu chciał mnie przelecieć na workach z cementem. Myślał, że jestem gejem. Bo taki delikatny, z rumieńcem. I dziwnie miękki mu się wydałem. Zamiast sprać gościa, to się odwróciłem na pięcie. Nawet po wypłatę nie poszedłem.

Czy ja wiem? Żebym jakoś specjalnie ubolewał, jak się stary wyeksmitował, to nie. Nawet się ucieszyłem, że będę miał większy pokój, ale potem zostałem w swoim. Jego gabinet to mi się tylko z pornolami kojarzył. Ciągłe je oglądał. A w internecie wiecznie siedział na stronie dupyzokolicy.pl.

Matka to co innego. Ona się przejmowała. Ale szybko uciekła w swoją bajkę. Ciągłe te same teksty. Do znudzenia. Jak przemywałem pieprzonym octem jej kryształ, to, można powiedzieć, pełne uniesienie. Ale poza tym zero kontaktu. Biedna stara. Też ma ostro zryty beret. Tyle że na własną prośbę. Ślubu brać nie musiała, w ciąży ze mną wtedy nie była. To co, wystarczy? Bo dzisiaj już nic więcej nie powiem.

Warszawa, 22.08.2012

Masza zaczęła u nas pracować, jak kończyłem ogólniak.

Mama na początku bardzo się cieszyła, bo wiadomo, sama to już niczego nie była w stanie ogarnąć. Muszę przyznać, że jak zaczęła przychodzić Masza, to bardziej dbałem o cerę. Była miła, więc myślałem, że mnie jakoś szczególnie lubi. Widziała przecież, co to za roz... no, powalony dom. Matka w serialach swoich, ojciec w swoich. Te kretyńskie kryształy, całe ściany w podróbkach, polskie Bizancjum...

Właściwie to poza mną nawet nie miała z kim pogadać. Masza. Jak mówiła, to aż się śmiałem, tyle tych ruskich słów wstawiała. Ale podobało mi się. Przynajmniej była wesoła i miała po kolei w głowie.

Na studia zdałem bez kłopotu. Weterynaryjne. Problem się zaczął podczas sesji. Przed egzaminami. Matka wtrącała się we wszystko niemiłosiernie. Kazała mi włożyć garnitur w prążki. Włożyłem, ale zamiast na uczelnię poszedłem do kina. W kinie jest ciemno, więc przynajmniej nikt się na mnie nie gapił jak na eleganta z Zielonki. Przesiedziałem tam do

nocy, a rano powiedziałem matce, że już nie studiuje. Potem pracowałem. Dorywczo. Trochę tu, trochę tam. Nawet się dziwiłem, że stary jakoś specjalnie nie rozpacza z powodu tych wiecznych zmian. Ale on już miał inne plany i mnie w nich zwyczajnie nie było. Pewnie dlatego.

W sprawie związków, jak mam być szczery, to właściwie nic takiego się w moim życiu nie działo. No, poza marzeniami. Myślałem o tym, żeby coś wynająć, ale samemu, bez kobiety, to bez sensu. Brałem pod uwagę Maszę. Ale jak uciekła z ojcem, musiałem inaczej się ustawić. A tak nawiasem mówiąc, akurat na jej temat dzisiaj nie chcę się wypowiadać. I proszę to zapisać: oskarżony odmawia odpowiedzi na pytania dotyczące pomocy domowej. Czy sprzątaczkę. Niech to pani zapisze, jak sobie chce...

Warszawa, 25.08.2012

Nie pamiętam, żebym miał skłonności do agresji. Raczej jestem opanowany. Co innego wstyd. To tak. Nigdy nie wiedziałem, kiedy na mnie spadnie potliwość i wypełnie rumieniec jak u dziewicy. Panieńska choroba, jak mówiła moja matka. Matka zresztą nie znosi kobiet. Za to ojciec znosił. I to dosłownie, z sypialni na dół, jak mama brała kąpiele borowinowe w Ciechocinku. Myślał, że śpię, a w domu zrobił taki burdel, że pewnie tej nocy nawet Wolscy nie zmrużyli oka, nasi sąsiedzi...

Jak długo kombinował z Maszą, tego nie wiem. Musieli się dobrze ukrywać. Trzeba mieć pecha, żeby odważyć się na oświadczyń, kupić kwiaty, czekoladki, włożyć garnitur w prążki i właśnie tego dnia dowiedzieć się, że własny ojciec cię uprzedził.

To chyba było najgorsze. Jak przyszedłem z tymi kwiatami, a matka kiwała się na fotelu. Tam i z powrotem. Listu od ojca nawet nie przeczytałem, bo po co. Kwiaty i bombonierkę dałem mamie, że niby dla niej kupione. Ale ona kiwała się dalej. To wezwałem lekarza. Miesiąc z tego wychodziła, a ja co drugi dzień myłem octem kryształ, żeby sprawić jej przyjemność.

Jeśli chodzi o pracę w klinice, to bardzo ją lubię. Zwierzęta są miłsze od ludzi. Gryzą i drapią, kiedy czują się zagrożone. Ja też taki jestem. Jakby trochę do nich podobny.

Pomysł z tą szafką przyszedł mi do głowy w ostatniej chwili. Potrzebowałem tylko dwóch ampułek, ale bezpieczniej było skierować podejrzenia na jakiegoś domniemanego złodzieja. Tego wieczoru, gdy po pracy dobieierałem się do szafki, stróż oglądał noc kabaretową. Łatwo mi poszło. Łatwiej, niż myślałem. Więcej kłopotu było z pozostałymi lekarstwami. Trochę się napracowałem, żeby je ukryć w śmietniku. Przecież nie jestem jakimś handlarzem trucizną!

Kontakty z ojcem? Jakie mogłem mieć kontakty, skoro odszedł? Maszy też nie widywałem. Tylko raz, w sklepie. Obserwowałem ją zza regałów. Kupowała ogórki kiszane i poczułem zazdrość, że ojciec zje zupę ogórkową, którą ona świetnie przyrządza. Zazdrość o zupę, nie o nią. I wtedy zrozumiałem, że już jej nie Kocham.

Warszawa, 27.08.2012

Nie wiem, od kiedy zacząłem interesować się emigrantkami ze Wschodu, a właściwie ich śmiercią... Nie pamiętam dokładnie. Najpierw szukałem na ten temat wiadomości w necie. Ale powiem szczerze, że wcale tych morderstw dużo nie było. Aż dziwne, bo się słyszy, ilu ludzi cierpi z powodu tych swołoczy.

Na przykład pani Wolska. Kiedyś widziałem z tarasu, jak Iwanka, no, wiadomo która, rozmawiała z panem Brunem. Tak byli sobą zajęci, że aż mnie zrobiło się przykro. A co dopiero pani Agacie, ona też ich widziała. Stała w oknie z tymi swoimi mrocznymi oczami.

Czy wtedy zrodził się ten mój pomysł?

Pewnie tak. Sam przeżyłem podobne upokorzenie. Moja matka też. A jeśli chodzi o Agatę, to nie pozwoliłbym nikomu jej skrzywdzić. Nawet dziewczyny nie miałem na dłużej, bo żadna jej nie przypominała.

Szczerze mówiąc, bałem się, że wymięknę. Moja odwaga kończyła się na komentarzu, jaki umieściłem pod stroną randkizrosjanka.pl, jest taka. Napisałem drukowanymi literami „śmierć ruskim kurwom”. Musiało minąć sporo czasu, zanim zrozumiałem, że nie chodzi o słowa, ale o czyn.

Czy żałuję? Jak mogę żałować, skoro nie miałem innego wyjścia. Musiałem nadać mojemu życiu sens. No i ratować Agatę. Toteż...

Szkoda tylko, że ta Iwanka była jednak dość sympatyczna. Znacznie łatwiej usypia się wredne suki. Wiadomo.

Podziękowania

Bardzo dziękuję Bożence Antoniak, tłumaczce moich książek, za bezcenną pomoc i życzliwość w objaśnianiu lwowskich realiów. Dobry duch nie opuścił mnie także podczas „warszawskich peregrynacji”. Objaśnianie stolicy i spacer po językowych zawiłościach zawdzięczam redaktorowi, Panu Janowi Koźbielowi. Dziękuję za każdy przyjazny gest.

Basia Kosmowska